

Lauren Henderson

Zbyt dużo blondynek

Too Many Blondes

Przełożyła: Maja Kitel

Wydanie oryginalne: 1996

Wydanie polskie: 2004

TMN

Podziękowania

Serdecznie dziękuję Andrew, trenerowi i wspaniałemu bramkarzowi, który pozwolił mi się sportretować w tej książce i nawet bardzo się nie wzdragał. Wszystkie wady tej książki są oczywiście jego winą i nie mają nic wspólnego ze mną.

Jestem też bardzo wdzięczna moim podejrzany - Caroline (niedoszłej znakomitej redaktorce), Francis, Jenni, Lisie i Sandy. Mam nadzieję, że nie zepsułam im wakacji, zamykając je na klucz w pokoju w towarzystwie pierwszego szkicu tej powieści i nie wypuszczając dopóki nie wyraziły swojej opinii. Dziękuję też Kate i Giacomo, chociaż on nawet jej nie przeczytał, tak samo zresztą jak pierwszej. Co za drań.

1.

Przyjacielska atmosfera, która kiedyś panowała wśród pracowników klubu gimnastycznego Chalk Farm, ostatnio gdzieś się ulotniła. Ducha wspólnoty wzmacniało już tylko brandy, które Lou trzymała w szafce na dokumenty, a napięcie wiszące w powietrzu dałoby się ciąć zardzewiałą piłą łańcuchową. Ale nie spodziewaliśmy się morderstwa. Nawet najwięksi cynicy spośród nas byli nieco zaskoczeni, kiedy znaleziono trupa.

Na szczęście policja nie wiedziała o moim uprzedzeniu do blondynek, inaczej chybaby mnie od razu aresztowali. Ale zgodnie z wszelkimi standardami biologii i przyzwoitości w tym klubie pracowało po prostu za dużo jasnowłosych pań. Gdyby któraś z nich umarła w mniej podejrzanych okolicznościach, uznałabym to za efekt działania doboru naturalnego Darwina.

Tylko że śmierć tej kobiety była mniej więcej równie naturalna jak jej kolor włosów.

* * *

W sobotni wieczór w porze fajrantu przez Camden przelewały się takie tłumy, jak w godzinach szczytu na Oxford Street. Rozkołysani pijaczkowie, bandy ryczących wyrostków, upudrowane gotyckie twarze z sinymi wargami, wyzierające z pokładów czarnych ubrań - wszyscy przepychali się przez mokre od deszczu ulice. Na dużym skrzyżowaniu pod wyjściem ze stacji metra migotały światła, zielone, żółte, czerwone, ignorowane przez absolutnie wszystkich z wyjątkiem trąbiących wściekle samochodów. Tam właśnie mieszkałam - i bardzo mi się to podobało. Nigdzie nie czułam się lepiej niż tu.

Tom najwyraźniej miał inne upodobania.

- To gdzie mówiłaś, że idziemy?

- Do klubu Silver - westchnęłam. - Kultura alternatywna. Pewnie ci się tam nie spodoba. Ale wstęp jest za darmo, więc jak nie wytrzymasz, to zawsze będziesz mógł się przenieść do jazzowej sali w Electric Ballroom, okej? Przecież sam chciałeś gdzieś wyjść.

- Tylko dlatego, że nie miałem nic lepszego do roboty.

Z Tomem spotkałam się przypadkiem tego samego wieczoru w jego ulubionym pubie, Freedom Arms, parę kroków za rogiem Camden High Street. Zajrzałam tam na chwilę, żeby

strzelić sobie szybko coś mocniejszego zanim pójde tańczyć. Tom pił w samotności i wyglądał dość żałośnie, więc zaproponowałam mu, że go zabiorę. Jest jednym z moich najstarszych przyjaciół. Ostrzegłam go, że muzyka nie będzie mu odpowiadała, ale najwyraźniej puścił to mimo uszu.

Dotarliśmy do klubu, mieszczącego się naprzeciwko metra Camden Town, nad pubem, który był niegdyś świetną knajpą, dopóki nie zaczęli tam wpuszczać turystów i kandydatów na przyszłych yuppie, co zrujnowało całą atmosferę. Już teraz przed wejściem zebrała się spora kolejka chętnych, ale zignorowałam ją i poszłam prosto do wejścia, mijając pierwszą parę bramkarzy. Wychyliłam się zza słupa i pomachałam do Jamesa, właściciela Silver.

- Hej, to ja. Mogę kogoś wprowadzić?

- Pewnie. Ona jest w porządku - rzucił do bramkarza, który stał obok. - Chodź na dół, Sam - dodał, obracając się do mnie.

Kiedyś serdecznie mu dziękowałam za każdym razem, kiedy mnie wpuszczał, ale zawsze to ignorował, więc już nie zadawałam sobie tego trudu. Zachowywał się wobec mnie w sposób niezwykle wielkoduszny. Kiedyś chodziłam z jego przyjacielem i kilka razy spotkaliśmy się na imprezach. Nie całkiem rozumiałam, dlaczego to miałoby mnie uprawniać do wchodzenia za darmo do jego klubu, ale skoro on tak uważał, to nie zamierzałam protestować. Zastanawiałam się tylko, czy Tom będzie pod odpowiednim wrażeniem.

Otworzyłam drzwi u stóp schodów i przystanąłam na moment, żeby odetchnąć klubową atmosferą. Jeśli mogę powiedzieć, że miałam poczucie przynależności do Camden, to na pewno koncentrowało się ono wokół tego lokalu. Ściany pokrywały ulotki z koncertów, a podłoga była drewniana. Pośrodku stał duży bar, otoczony chmarą podejrzanych ludzi, którzy pili i palili znacznie więcej niż powinni. Nad ich głowami wisiały wielkie głośniki, z których płynęła ogłuszająca, pulsująca muzyka, ale o tej porze nikt jeszcze nie tańczył. Poczułam, jak wzbiera we mnie energia. Świat leżał u moich stóp.

- Chcesz drinka? - zapytałam Toma.

Co za idiotyczne pytanie. Zamówiłam whisky dla niego i lager dla siebie, po czym stanęliśmy przy barze i zaczęliśmy szukać towarzystwa. Może lepiej: ja zaczęłam. W klubie Silver raczej nie bywali ludzie, z którymi Tom mógłby zawierać bliższe znajomości.

Mój przyjaciel był w ponurym nastroju. Jest poetą, ale z powodu braku sukcesów na polu sztuki bezustannie grozi, że zostanie nauczycielem w szkole podstawowej. Nagle zrozumiałam, że być może popełniłam błąd, przyprawiając go do swojego klubu. Ta muzyka naprawdę do niego nie pasowała. Tom nigdy nie wyrósł z soul. No i w dodatku chyba nikt poza nim nie miał na sobie wełnianego swetra i sztruksowych spodni. A Tom najwyraźniej dobitnie zdawał sobie z tego sprawę.

- No i co o tym sądzisz? - spytałam wesołym tonem. Tom wykrzywił się w odpowiedzi.

- Wszyscy są ubrani na czarno - odparł. - Czy to nie wyszło z mody?

- Ten rodzaj czerni jest wieczny - stwierdziłam. - Na przykład popatrz na nią - dodałam, wskazując dziewczynę, stojącą po drugiej stronie baru, która mogła mieć najwyżej siedemnaście lat, ale wyglądała jak nowe wcielenie fanki Siuksów i Banshee: kruczoczarne włosy, skóra obowiązkowo biała jak ściana i usta wymalowane śliwkową szminką, niekoniecznie zgodnie z oryginalnymi konturami.

Tom zadrżał na ten widok.

- Może chwilowo popatrzę gdzieś indziej - mruknął.

Jego upodobania ograniczały się do jasnych blondynek, więc nie potrafiłam zdobyć się na współczucie.

- Wiesz, ja też jestem tak ubrana - zauważyłam. Miałam na sobie małą czarną, kabaretki i wielkie, czarne buty z mnóstwem suwaków i sznurowadeł. Czyli podstawowy strój do tańca.

- Ty to co innego - zaprotestował Tom, obrzucając mnie spojrzeniem. - I tak wyglądasz zdrowo i czysto.

- Jak śmiesz...

- Chciałem powiedzieć - dodał pospiesznie - że nawet te ciuchy ci nie zaszkodzą, w pewnym sensie do nich nie pasujesz. To znaczy masz sukienkę jak wampirzyca, ale wyglądasz raczej jak Gina Lollobrigida przebrana za wampirzycę. Jak ktoś, z kim chciałoby się uprawiać seks. W przeciwieństwie do tych innych kobiet, które sprawiają wrażenie, jakby można się było od nich zarazić jakąś prymitywną, osiemnastowieczną chorobą weneryczną, od której gniją jądra...

Uznałam, że najwyższy czas zmienić temat, zanim któraś z pań, o których Tom się wypowiadał, nas usłyszy, po czym przygwoździ go do ziemi jednym ciosem karate, a następnie zajmie się jego najdelikatniejszymi częściami ciała. Większość z nich prawdopodobnie ukończyła stosowne kursy, dofinansowywane przez rząd i tylko czekała, żeby się sprawdzić.

- O, spójrz tylko - powiedziałam szybko. - Derek.

- Kto taki?

- Derek. Uczy podnoszenia ciężarów w naszej siłowni. Ciekawe, co on tu robi? Nie sądziłam, że bywa w takich miejscach.

Pokazałam Dereka palcem, choć nawet bez tego trudno byłoby go przeoczyć. Praktycznie wszyscy w klubie mieli upiornie białą skórę i smoliście czarne ciuchy. Derek na odwrót. Poza tym mierzył prawie dwa metry i był wspaniale umięśniony, co samo w sobie wyróżniałoby go z tłumu stałych, nietańczących bywalców klubu, stłoczonych przy barze nad drinkami i zastanawiających się, czy wyciągnięcie kolejnego papierosa z paczki nie stanowi nadmiernego wysiłku.

- Z kim on rozmawia? - zapytał Tom, podnosząc głowę po raz pierwszy tego wieczoru. Kobieta, o którą pytał była niezaprzeczalnie blondynką. Jej złote włosy, upięte wysoko

gumką, spływały kaskadą wzdłuż ładnej twarzy. W kontraście z potężnym Derekiem sprawiała wrażenie niezwykle kruchej. Zdecydowanie w typie Toma.

- Nie mam pojęcia - powiedziałam. - Przedstawić cię?

- Nie - odparł Tom zrezygnowanym tonem. - Przy tym facecie jestem bez szans. Przy nim Schwarzenegger to ułomek.

Tom sam jest całkiem spory i nieźle umięśniony, zresztą nic dziwnego, skoro pracuje fizycznie odkąd skończyło mu się ostatnie stypendium artystyczne. Ale ostatnio wyhodował sobie zbędne pokłady podskórnego tłuszczu, który przykrył jego bardzo reprezentacyjne mięśnie. Gdyby przestał pić, w miesiąc wróciłby do formy.

- „Conan barbarzyńca” z Grace Jones to jedyny film, w którym piersi herosa są większe od piersi heroiny - powiedziałam, bagatelizując sprawę. - W sumie Derek nie jest aż tak bardzo napakowany. On tylko dużo gra w koszykówkę.

- Czy to miało mnie pocieszyć? - mruknął Tom, patrząc na mnie z wyrzutem.

- Zastanawiam się tylko, czy dziewczyna Dereka wie, że jej chłopak w sobotni wieczór szwenda się po knajpach w towarzystwie innej kobiety - powiedziałam zamyślona. - Linda nie będzie zachwycona. Na jego miejscu wolałabym, żeby się nie dowiedziała.

- Jest taka zazdrosna?

- Owszem. Ale Dereka powinien raczej martwić fakt, że Linda przy okazji jest też szefową siłowni.

- Aa.

- Derek ma opinię niezłego ogiera...

- Też bym miał, gdybym tak wyglądał! - rzucił gorzko Tom.

- Może zatańczymy? - zaproponowałam.

Zawsze staram się skierować rozmowę na szczęśliwsze tory, kiedy Tom zaczyna marudzić. W przeciwnym wypadku wciąga mnie w swoje bagienko skarg i wyrzekań, i nigdy nie mogę się potem doczyścić z tego błota.

- Ty tańcz - powiedział, zwracając nos na trop Dereka i jego dziewczyny. - Ja będę patrzył.

Przedarliśmy się w stronę parkietu. Klub pełnił czasem funkcję sali koncertowej, więc z tyłu mieściła się mała scena, na której tańczyła grupka ekshibicjonistów. Otaczał ją wąski balkon, a niżej znajdował się główny parkiet z platformą dla didżeja. Marzyłam o tańcu, ale trzymałam właśnie w ręku mój nowy płaszcz imitujący skórę lamparta, który sięgał mi do kostek i miał fantastyczne, wielkie kłapy, zgodnie z modą lat siedemdziesiątych. Kupiłam go cudem w sklepie z używanymi ciuchami i za nic w świecie nie mogłam ani powierzyć go szatniarzowi, ani tym bardziej porzucić na podłodze. Na szczęście Tom przyrzekł, że będzie go strzegł jak źrenicy oka, a w takich sprawach na ogół można mu było zaufać. Zostawiłam zatem przyjaciela opartego o balkon z moim płaszczem przewieszonym przez ramię, po czym

zeszłam po schodach i zanurkowałam w kłębiący się tłum. Po chwili przy pomocy celnych ciosów łokci wywalczyłam sobie odrobinę przestrzeni, gdzie mogłam się trochę porzucać.

W tym klubie grają moją ulubioną muzykę, bardzo głośny dance, pełen chwytliwych melodii i ostrych gitarowych wstawek. Młodzi faceci objęci ramionami wywrzaskiwali refreny pogodniejszych piosenek, a kiedy didżej puszczał coś bardziej ponurego, błyskawicznie zmieniali nastrój i rzucali się na siebie z dzikim rykiem. Na szczęście miałam na sobie swoje buty i każdy, kto na mnie wpadał, dostawał takiego kopa, że już później uważał na to co robi. Właśnie w takich sytuacjach widać, którzy chłopcy są dobrze wychowani: to ci, którzy przepraszają, zanim uciekną kulejąc z twoją podeszwą odcisniętą na łydce.

Po jakiejś godzinie James puścił „Touch Me, I’m Sick”. To naprawdę wykańczająca piosenka, pełna pulsujących rytmów i charakterystycznych momentów, kiedy wszyscy stają w miejscu, żeby wykrzyknąć refren - który z godną pochwałą prostotą składa się wyłącznie z tytułu. Po tym wszystkim byłam kompletnie padnięta i opadła mi większość włosów, więc wyruszyłam na poszukiwania Toma. Znalazłam go przy barze i z radością stwierdziłam, że nadal towarzyszył mi mój płaszcz.

- Jaki tytuł miała ta ostatnia piosenka? - zapytał mój przyjaciel tonem antropologa, który odkrył właśnie wyjątkowo obrzydliwy rytuał godowy i wołałby mu nie poświęcać specjalnej monografii.

- To „Touch Me, I’m Sick”. Mudhoney.

- Aha. Wydawało mi się, że niektórzy wrzeszczą coś innego...

- Tak, za ostatnim razem śpiewa się „Fuck Me, I’m Sick”.

- Rzeczywiście, tak właśnie słyszałem. - Tom zadrżał. - Czy mogę prosić o jeszcze jedną whisky? I lager dla mojej damy.

Popchnął drinka w moją stronę.

- Twój kumpel chyba właśnie wyszedł z tamtą dziewczyną.

- Derek?

- Tak, pan Pulsujący Biceps.

Ktoś klepnął mnie w ramię.

- Cześć Sam, co słyszać?

To była Lucy, dziewczyna o twarzy jak budyń z rodzynkami, która prowadziła program o muzyce alternatywnej dla którejś kablówki. Przeprowadziła ze sobą kogoś, kogo przedstawiła jako współpracownika i producenta oraz wokalistę, który nadał sobie imię po własnym zespole z kategorii wojujący grunge. Producent wyglądał dość ciekawie - to znaczy atrakcyjnie - ale niestety od razu sobie poszedł, żeby zagadać do gitarzysty z niezłego zespołu, który prowokacyjnie wypinał miednicę na drugim końcu baru. Facet był tak modnie chudy, że wystające kości wytarły mu dziury w dzinsach.

Wokalistę znałam już wcześniej.

- Hej, Leggo - powiedziałam. - Jak leci?

- W porządku - odparł.

Jak na Leggo była to całkiem obszerna wypowiedź. Niestety, wyjątkowa uroda nie łączyła się w tym wypadku z darem konwersacji. Lucy, jego dokładne przeciwieństwo, natychmiast rozpoczęła nieskładną opowieść o tym, jak bardzo ekscytujący okazał się dla niej ostatni tydzień. W wykonaniu Lucy każde zdanie rozpoczynające się od słów „To było naprawdę fascynujące...” zwiastowało koszmarną nudę. Mimo wszystko słuchałam cierpliwie, dyskretnie tłumiąc ziewanie, bo Lucy od dawna obiecywała, że zaprezentuje moje metalowe rzeźby w swojej dwuminutowej składance poświęconej happeningom. Chociaż nie byłby to bardzo efektowny początek gwiazdorskiej kariery, to jednak chwilowo nie widziałam innych możliwości zabłyśnięcia.

- Musisz wpaść do mnie obejrzeć nowości - wtrąciłam z nadzieją, kiedy tylko przerwała na sekundę paplaninę. - Właśnie skończyłam taką ruchomą rzeźbę, naprawdę nieźle się prezentuje.

- Super - odparła. - Przedzwoń do mnie za jakiś czas.

Wprawdzie nie należałam do świata mediów, ale i tak dobrze rozumiałam, że to znaczy NIE. Po chwili wdałam się w ponure rozmyślenia, czy ona i Leggo są parą. Jakiś czas wcześniej sama usiłowałam go podłapać, ale nie zdobył się na żadną reakcję. Ciekawiło mnie, czy należy do tego gatunku facetów, którzy zamiast wykazać się odrobiną inicjatywy wolą, żeby kobieta walnęła ich maczugą po głowie i zaciągnęła za włosy do jaskini. Teraz pełno takich dookoła. Pewnie dlatego tylu gości hoduje sobie teraz wielkie szopy na głowie?

Przedstawiłam Lucy Toma, co nie było najlepszym posunięciem. Mój przyjaciel natychmiast zaczął ją wypytywać, dlaczego w telewizji jest tak mało audycji o poezji, na co ona przypomniała mu o programie poświęconym Jimowi Morrisonowi, który wyemitowano nie dalej jak tydzień wcześniej. W tym momencie prędko opuściłam teren: Tom ma dość surowe poglądy na sztukę i nie sądziłam, żeby zaliczał do niej dzieła Morrisona. Wolałam nie być świadkiem eksplozji.

* * *

- Ten facet chyba chce z tobą pogadać.

Spojrzałam w górę, wściekła, że ktoś mi przeszkodził. Działo się to mniej więcej półtorej godziny później, kiedy siedziałam w najprzytulniejszym kąci klubu Silver w towarzystwie boskiego faceta, z którym chciałam spędzić noc.

- Gdzie? - spytałam poirytowana. - A, cześć Tom.

- Ja już spadam - oświadczył Tom, unosząc brew w konspiracyjny sposób, który przejął od Rogera Moore'a. - Podwieźć cię?

Z biegiem czasu opanowaliśmy tę sztuczkę do perfekcji. W idealnym wypadku osoba, z którą rozmawiam (albo z którą Tom rozmawia), słysząc, że Tom proponuje mi podwiezienie (albo że ja proponuję podwiezienie Tomowi), natychmiast składa mi (Tomowi) identyczną ofertę, co pozwala określić jej zamiary. Jeżeli osoba milczy, wychodzę z Tomem (i na odwrót, chyba mogę sobie darować tę część w nawiasie), ale jeśli odpowiada prawidłowo, ale ja nie mam ochoty skorzystać, zawsze mogę odejść z godnością, wymawiając się umową z przyjacielem.

- To nie problem - odpowiedział wzorowo mój towarzysz. - Ja cię odwiozę. Mam samochód pod klubem.

- No dobra, chętnie zostanę jeszcze chwilę - powiedziałam najchłodniejszym tonem, na jaki było mnie stać. - Dzięki Tom, ale nie skorzystam. - Odebrałam mu swój płaszcz, wykorzystując ten moment, żeby zrobić minę, która mówiła: „Zostaw mnie chcę być z nim sama”.

- Okej. - Tom postąpił posłusznie, zgodnie ze zwyczajem. - Do usłyszenia.

Wycofał się na pozycję, gdzie tylko ja mogłam go widzieć i zaczął coś bezgłośnie mówić, ale nic nie rozumiałam. Jego brwi chodziły w górę i w dół jak brwi Rogera Moore'a albo wycieraczki samochodowe, tym razem chyba wyrażając zdziwienie. Odegnąłam go ruchem ręki, po czym odwróciłam się do mojego towarzysza. Nie chciałam schrzanić sprawy przez jakąś niedyskrecję Toma.

- Mam nadzieję, że nie przysparzani kłopotu - powiedziałam grzecznie.

- Ależ nie - odparł, patrząc mi prosto w oczy. Czulałam jak żołądek roztopia mi się w brzuchu. - To sama przyjemność.

Nie był obcy. Innymi słowy, nie zachowywałam się jak kompletna kretyńka. Chociaż nie znałam go jakoś szczególnie dobrze, zamierzałam szybko nadrobić braki. Ze sposobu, w jaki mi się przyglądał wnioskowałam, że on też o tym myśli.

Dokładnie w tym momencie ucichła muzyka. W klubie rozległ się głośny jęk. Wtedy rozbrzmiały pierwsze dźwięki „Don't It Make My Brown Eyes Blue” Crystal Gayle, która zawsze była ostatnią piosenką wieczoru. W ten sposób James dawał nam do zrozumienia, że już czas się zbierać do domu.

- Zatańczymy? - zapytał, spoglądając na mnie takim wzrokiem, że omal się nie rozpuściłam.

- Poważnie? - powiedziałam z niedowierzaniem. Miałabym tańczyć do muzyki country?!

- Pewnie. Spójrz, niektórzy już weszli na parkiet.

Już chciałam rzucić jakąś podłą uwagę typu „Taa, żałosni biedacy”, ale on zapobiegł temu, biorąc mnie za rękę i prowadząc w dół schodów. Ledwo mnie dotknął, wiedziałam, że pójde za nim prawie wszędzie. Jego dłoń była ciepła, sucha i nie znośząca sprzeciwu. Obrócił mnie, po czym ścisnął mnie rękami w talii. Przyciągnął mnie do siebie, a ja objęłam go za

ramiona, potem za szyję. Nie wyczuwałam w nim żadnego spięcia, żadnej nieśmiałości, tak że bez trudu dałam mu się prowadzić w tańcu. Nie musiałam już o nic się troszczyć.

Miał bardzo ciemne oczy. Pochylił głowę, żeby mnie pocałować, nie delikatnie, dla próby, ale pewnie i mocno, bez żadnych wątpliwości co do tego, jak może być odebrany. Przyłgął do mnie całym ciałem, nie zostawiając miejsca na niedomówienia. Zawahałam się, a przez głowę przeleciały mi tuziny powodów, dla których nie powinnam ulegać. Ale wtedy cała ta sytuacja, ten wolny, namiętny taniec na koniec długiej nocy, jego ręce przyciągające moją pupę, gorąca, wilgotna atmosfera Silver, wszystko to opanowało moje zmysły. W końcu rozluźniłam się, oddając mu pełną kontrolę nad moim ciałem. Zagrzebałam dłoń w jego włosach i trwałam tak wtulona w niego dopóki nie podniósł głowy. Moje ciało pulsowało tak głośno, że przez parę sekund nie zorientowałam się, że muzyka już umilkła.

Wzięłam go za rękę i wyszliśmy z klubu. Owinęłam się płaszczem, czując powiew chłodu. Jego samochód okazał się wyjątkowo elegancki, a on prowadził go gładko przez nocne ulice, wsłuchany w soul dobiegający z głośników. Prawie nie odzywaliśmy się do siebie, dałam mu tylko kilka wskazówek dotyczących trasy. Zatrzymaliśmy się przed moim mieszkaniem. Widziałam, że niezbyt chętnie zostawia swój luksusowy wóz w bocznej uliczce pełnej starych, opuszczonych magazynów. A jednak zdobył się na to poświęcenie. Miałam tylko nadzieję, że okaże się tego warta.

Nie tracił czasu. W dwie sekundy po tym, jak zamknęłam za nami drzwi mieszkania trzymał mnie w ramionach, z podwiniętą spódnicą i nogami oplecionymi wokół jego pasa. Oparł moje plecy o barek i bez wysiłku podtrzymując mnie jedną ręką, drugą wykorzystał tak efektywnie, że musiałam mocno się go trzymać, żeby nie spaść prosto w jezioro rozkoszy. A potem wskoczyłam na falę i na chwilę wbiłam się w niego jeszcze mocniej. Ale chyba nie miał nic przeciwko.

Był bardzo silny, bardzo dobry i bardzo pomysłowy, więc z tych czy innych powodów nie spałam zbyt wiele tej nocy. O świcie zostawił mnie zwiniętą w kłębek na łóżku i zszedł z mojej antresoli do głównego pomieszczenia. Zstępując po drabinie nawet nie zahaczył włosami o wielką rzeźbę, która zwisała z sufitu na łańcuchu. A przecież ja sama bez przerwy się o nią wałę.

Zaczekałam, dopóki nie zamknie za sobą drzwi, po czym przewróciłam się na plecy, ziewnęłam i znów zwinęłam się w kulkę, zadowolona, że jestem sama. Nie sądziłam, że zechce zostać, ale po seksie nigdy nie potrafię wyrzucić ludzi z domu - to wydaje się takie nieuprzejme. Nawet jeżeli wiem, że oboje później będziemy sobie za to wdzięczni. Ale on zachowywał się bez zarzutu. Pocałował mnie, wyszeptał: „Do zobaczenia” i zostawił mnie, żebym zdążyła się przespać przed ranem. W końcu oboje wiedzieliśmy, że jeszcze się spotkamy. Camden to takie małe miejsce.

Tak, był doskonały we wszystkim co robił. Umiał pociągać za właściwe sznurki i wiedział w jakiej kolejności to robić, każdy jego ruch został precyzyjnie zaplanowany i

wykonany. To nie jego wina, że osobiście wolę odrobinę szaleństwa. Nawet kiedy wiłam się w ekstazie, jakaś część mnie pozostawała z boku, jakby oglądała nasze ciała na ekranie. Nie można przecież całkowicie się zatracić w seksie, jeśli niemal słysząc, jak wasz partner pracowicie oblicza każde wasze następne posunięcie.

Ale on wyraźnie zaznaczył, że lubi mieć wszystko pod kontrolą, a ja zbyt dobrze się bawiłam, by protestować. Poza tym czułam, że mogłabym wszystko zepsuć. Dla niego seks był jak sport i lubił grać w niego według własnych zasad. Oczywiście nie chcę przez to powiedzieć, że nie zwracał uwagi na partnera. O nie, tego nie mogę mu zarzucić.

Niczego więcej nie potrzebowałam. Ciągle jeszcze nie pozbierałam się po smutnym i dość niekonwencjonalnym zakończeniu wielkiego romansu, które nastąpiło pół roku wcześniej. Miło było się przekonać, że ciągle jeszcze wiem, jak to wszystko działa. Chwilowo nie nadawałam się do budowania jakiegokolwiek poważniejszego związku i miałam na to równą ochotę co modliszka.

Błady świt już zaczął się przelewać przez brudne, zakurzone niebo, kiedy przewróciłam się na drugi bok i zasnęłam z uśmiechem na ustach.

2.

Tym razem spóźniłam się parę minut na zajęcia Rachel. Lou, nasza recepcjonistka, chciała sprawdzić mój harmonogram na ten tydzień, a kiedy Lou chce coś sprawdzić, to należy jej pozwolić. Ledwo otworzyłam podwójne drzwi wiodące do hali gimnastycznej, poczułam powiew gęstego, wilgotnego powietrza, który uderzył mnie w twarz jak gorący ręcznik. Zobaczyłam rzędy poruszających się rytmicznie postaci, głównie kobiet, i szczupłą, wysoką figurę Rachel, stojącą naprzeciwko nich. Pomachałam do niej, po czym schowałam się w kącie. Rachel skinęła mi głową, ale ani na chwilę nie zmieniła wyrazu twarzy, który był skupiony i poważny.

Czułam się jak w cieplarni - otaczała mnie zieleń, upał i mnóstwo jaskrawych kolorów. Tyle że nikt nie każe orchideom robić po dwadzieścia pajacyków w jednej serii. Hala miała wymiary trzech kortów do badmintonu, a my wykorzystywaliśmy aż dwie trzecie tej powierzchni. Tuż obok nas, odgródzone ścianą, mieściło się grzmiące boisko futbolistów. Wszystko zostało pomalowane na zielono, od podłogi aż po metalowe żebra i przęsła, które krzyżowały się pod spadzistym dachem ze świetlikami. W niektórych miejscach płyty zielonej farby odpadły, odsłaniając pierwotną, musztardową barwę ścian. To nie był jeden z tych fitness-klubów dla bogatych yuppie, gdzie członkostwo kosztuje setki funtów rocznie. Nasza siłownia stanowiła własność gminy Chalk Farm i jej budżet mieścił się w bardzo skromnych ramach. Funkcję dekoratorów wewnątrz spełniali prawdopodobnie czyiś bracia i ich współlokatorzy, a surowce pochodziły z tego, co przypadkiem wypadło z ciężarówek dostawczych.

A jednak całość wywierała pogodne wrażenie. W tamtej chwili atmosferę podgrzewało głośnie techno bijące z głośników. Wszyscy oddychali w przyspieszonym tempie i niektórzy z gorzej wyćwiczonych uczestników byli już czerwoni i spoceni, jak księgowi w wieczór kawalerski.

Tylko Rachel sprawiała wrażenie zupełnie niezmezczonej. Jej nogi poruszały się w dół i w górę, jak kończyny automatu. Włosy, ściągnięte w koński ogon, ciasno pokrywały głowę i opadały na plecy, jak czarny wodospad. Nosila czarne body naciągnięte na liliowe legginsy. Jej fioletowe nogi błyskały wśród tłumu wyczerpanych ciał, jakby unosiły je sznurki. Liliowy materiał kończył się w połowie łydek, które wyglądały jak lśniące, wypolerowane drewno

koloru kawy z mlekiem. Rachel miała niemożliwie długie i szczupłe biodra i twarz, którą cechowała zarówno uroda, jak i temperament. Gdyby była generałem, zaciągnęłabym się do każdej armii, którą by dowodziła.

Na zakończenie zajęć wybuchły ogłuszające oklaski. Podejrzywałam, że ludzie po prostu cieszą się, że przetrwali ten aerobik bez trwałych obrażeń na ciele. Sama czułam się tak, jakby ktoś oblał mnie kubłem wody. Znając Rachel tak dobrze, jak ją znałam, natychmiast się domyśliłam, że tego dnia humor jej nie dopisał i że dlatego zafundowała nam wszystkim oczyszczający trening.

Popatrzyłam, jak wyciera ręcznikiem twarz, po czym ściąga gumkę z włosów. Jej głowę natychmiast okoliła burza czarnych drutów, które także zostały wytarte. Nalałam sobie kubek wody z automatu, wychyliłam go jednym haustem, po czym napełniłam ponownie i podeszłam z nim do Rachel.

- Ale dałaś nam wycisk - powiedziałam.

- Za trudne jak dla ciebie? - zapytała, uśmiechając się do mnie spod ręcznika.

Teraz wydawała się o wiele spokojniejsza. To cudowne działanie ćwiczeń. Sama dostałam niezły zastrzyk adrenaliny.

- Odwal się - powiedziałam z reflekssem, który pewnego dnia przyniesie mi sławę Dorothy Parker z Camden Town. - Nigdy mnie nie pobijesz.

- Ty jesteś tu tylko zatrudniona na godziny, więc nie zadzieraj ze stałymi pracownikami, mała - odparła Rachel, kierując na mnie swój długi, elegancki palec.

Nie zamierzałam znosić tak prymitywnych prób obrazy.

- Dlaczego twoja muzyka zawsze brzmi tak samo? - spytałam słodko. - Nie chciałabyś pożyczyć ode mnie trochę kaset z jakimiś melodiami?

- Dobra. Wystarczy - powiedziała, a oczy zwęziły jej się niebezpiecznie. - Teraz możesz zaprosić mnie na drinka w ramach przeprosin.

- W porządku. Idziesz pod prysznic?

- Nie, skoczę do domu. To co, widzimy się w Pheasant za pół godziny?

- Okej.

Chwyliłam torbę i płaszcz, po czym wyszłam na korytarz. Chciałam zaczekać pięć minut, aż przewali się tłum, który brał prysznic na dole i będę mogła wejść do przebieralni nie używając obcasów. Po wieczornych zajęciach ludzie prawie zawsze się spieszyli. Chcieli jak najszybciej być w domu i cieszyć się dobrze zasłużonym odpoczynkiem przed telewizorem.

Linda, która prowadziła nasz klub żelazną ręką odzianą w stalową rękawicę, właśnie przypinała notatkę do wielkiej tablicy ogłoszeń, biegnącej po jednej stronie recepcji. Wycofałabym się, ale i tak już mnie zobaczyła, a miała spojrzenie, które potrafiło przygwoździć cię do ściany. Była mniej więcej mojego wzrostu, więc mogła bez trudu świdrować wzrokiem moje oczy. Nagle pomyślałam ze współczuciem, że wiem, co czuje motyl, kiedy przybija się go szpilką do korkowej tablicy.

- O, Sam - powiedziała żywo. - Cieszę się, że cię widzę. Nie wiesz przypadkiem, gdzie są nasze nowe opaski gimnastyczne? Leżały w biurze, w takiej niebieskiej torbie, ale teraz gdzieś przepadły. Przez całe popołudnie nie mogę się ich doszukać.

- Niestety, nie umiem ci pomóc. Nie używam ich na swoich zajęciach i nie przypominam sobie, żebym widziała tę torbę, kiedy ostatnio zaglądałam do biura.

- A kiedy to było?

- W piątek.

- Hm. - Linda popatrzyła na mnie jeszcze surowiej, żebym nie pomyślała, że zostałam uwolniona od podejrzeń. - Cóż, gdybyś je znalazła, daj znać. Sporo kosztowały. Specjalnie je zamawiałam.

- Oczywiście.

Zerknęłam na notatkę, którą właśnie wieszła.

- Och, ciebie to nie dotyczy - powiedziała swoim zwykłym, pogardliwym tonem, którego używała, żeby przysporzyć sobie popularności wśród podwładnych. - Zebranie jest dla etatowych pracowników z pełnymi prawami do głosowania.

Musiała być zdumiona, dlaczego jeszcze nie siedzę na środku korytarza z brzuchem przeciętym jakimś rytualnym mieczem i kartką na szyi tłumaczącą, że zabiłam się ze wstydu, ponieważ nie udało mi się otrzymać etatu w Chalk Farm.

- A mogę przeczytać? Czy wyrzucisz mnie z pracy jeśli to zrobię?

Linda wzruszyła ramionami i odeszła. Ja z właściwą sobie subtelnością pokazałam język jej plecom. Kątem oka zauważyłam pełne zrozumienia spojrzenie Lou, która słyszała naszą wymianę zdań. Po chwili jednak Linda wparowała do pleksiglasowej budki recepcjonistki i obie pogрузżyły się w papierach.

Nikt by nie zaprzeczył, że Linda znakomicie pełniła funkcję dyrektorki. Łączyła w sobie sprawność robota i równie nieludzką zdolność do ciężkiej pracy. Zawsze pierwsza przychodziła do pracy i codziennie wychodziła z niej ostatnia. Przeżywałam ją Helga, z czystej sympatii zresztą. Nie znałam jej zbyt dobrze: dopiero od paru miesięcy pracowałam regularnie w klubie, wcześniej przychodziłam tylko na zastępstwa, kiedy inni byli chorzy albo mieli lepsze rzeczy do roboty. Teraz jednak odszedł jeden z dorywczych trenerów ćwiczeń siłowych, więc dostałam cztery zajęcia tygodniowo na stałe. Musiałam dać z siebie wszystko, żeby nie zawieść oczekiwań pracodawców, więc mnóstwo czasu spędzałam na siłowni. To Lou zawsze ustalała rozkład zajęć i dzwoniła do mnie, jeśli trafiło się jakieś zastępstwo. Rzadko kiedy stykałam się z samą szefową, która uważała, że kontakty z ludzką rasą są poniżej jej godności, szczególnie jeśli chodziło o nieetatowych pracowników.

Sama prowadziła trochę zajęć, głównie aerobik dla poziomu trzeciego, czyli dla bardzo zaawansowanych, którzy przeszli już proces inicjacji. Łączyła w sobie aryjską precyzję ruchów i równie germańską wytrzymałość na ból. Dzięki temu na jej zajęciach pojawiała się zdecydowanie więcej mężczyzn - prawdopodobnie nikt nie mógłby nazwać mięczakiem

kogoś, kto trenował aerobik razem z Helgą. Jej ćwiczenia wzmacniające nadawały się wyłącznie dla ludzi, którzy zgodnie z normalnymi standardami byli już superwzmocnieni.

Spojrzałam prosto na jej szczupłą, bladą i precyzyjnie umalowaną twarz. Linda mogła się poszczycić pewną specyficzną, choć nieco szczirowatą urodą, ale całość psuł bezwzględny wyraz twarzy, który miękł tylko na widok Dereka. Maskara, powiększająca jej małe oczy, i róż na policzkach nigdy się nie rozmazywały, bez względu na to, jak intensywnie by nie ćwiczyła. Tego dnia miała włosy uczesane w chłopięcą fryzurę, a ubrana była w malutki czarny top zapinany na suwak, który włożyła na granatowy elastyczny kostium. Ten strój został wymyślony, żeby podkreślić jej idealną linię. I rzeczywiście, jej figurze nie dało się nic zarzucić, o ile oczywiście lubi się szkielety pokryte tak cienką warstwą ciała, że właściwie można by ją sobie darować.

Derek lubił. Co prawda z radością angażował się w związki erotyczne z każdą atrakcyjną kobietą, jaką tylko poznał, ale co do swoich dziewczyn miał pewne wymagania. Musiały być szczupłe, jasnowłose i elegancko ubrane. Tak jak Linda - i tak jak kobieta, którą widziałam z nim w klubie. Najchętniej widział te kandydatki, które potrafiły także uznać jego prawo do skoków w bok, jeśli tylko panie, z którymi skakał nie spodziewały się po nim niczego poważniejszego. Jego filozofia była prosta: dobra zabawa, pełen luz i żadnych pretensji po obu stronach. Co więcej, wcale nie uważał kobiet, z którymi przeżył swoje krótkie przygody za puszczalskie, przeciwnie, na ogół zaczynał traktować je łaskawiej niż przedtem, jak sułtan rozpieszczający żony ze swojego haremu. Wielu dziewczynom bardzo to odpowiadało i chętnie z nim flirtowały, ale obawiałam się, że Linda nie jest zachwycona rolą głównej żony sułtana.

Notatka Lindy, napisana we wzorowym żargonie prosto z podręcznika do zarządzania, zapowiadała spotkanie poświęcone dyskusji nad projektem zmian w systemie członkostwa siłowni i wzywała do uczestnictwa wszystkich uprawnionych do głosowania. Na dole widniał podpis: „Linda Fillman, dyrektor siłowni”.

Linda tymczasem oddaliła się, prawdopodobnie po to, żeby przeliczyć wszystkie dywaniki na hali i ułożyć je pod kątem prostym do ściany. Podeszłam do recepcji, wsadzając głowę za drzwi.

- Linda Fillman, dyrektor siłowni - szepnęłam afektowanym głosem.

Lou, szara eminencja naszego klubu, odpowiedziała miną pełną wyrazu. Nie wyglądała na swoje pięćdziesiąt lat i szczęśliwie łączyła urodę pulchnej seksbomby z macierzyńskim ciepłem. Pracowała w Chalk Farm i w Centrum Rekreacyjnym już od stu lat i była zbyt zajęta, żeby zwracać uwagę na, jak je nazywała, „pańskie humorki Lindy”. Jej barwna postać odcinała się od bieli pomieszczenia jak Matisse od ściany. Lou nosiła włosy upięte w elegancki kok, który na ogół owijała kolorowymi apaszkami i przypinała złotymi spinkami. Tym razem turban dnia składał się z czerwonych i zielonych chustek, które pasowały do jej czerwonej sukienki. Z uszu Lou zwisały ogromne złote koła, a jej lśniące paznokcie, z

których każdy był dłuższy niż moje wszystkie razem wzięte, tańczyły po klawiaturze komputera jak egzotyczne ptaki w porze godowej.

- Czemu nie napisała po prostu Linda? - spytała Lou. - Wszyscy wiedzą, kim jest, do cholery. To jej wieczne stanie nade mną w końcu doprowadzi mnie do zawału, mówię ci. Zupełnie jakbym nie mogła zrobić tego, co do mnie należy i tego, co należy do niej, nie dostając przy tym apopleksji, jak ona. Ech, moim zdaniem Linda to tylko wychudzony kurczak, nic więcej. Nie wiem, co Derek w niej widzi.

Zeszłam na dół, uśmiechając się do siebie. Lou zawsze mnie rozweselała. Schody zaludniał tłum przebranych i umalowanych kobiet, które właśnie zmierzały w przeciwną stronę niż ja. Ku mojemu zachwytowi pod prysznicami zostały już tylko dwie dziewczyny, które rozmawiały z ożywieniem, przekrzykując strumienie wody. Jedna z nich miała bardzo ciemną skórę i byłaby całkiem ładna, gdyby nie odpychająca mina, która tak pasowała do jej twarzy, jak gdyby dziewczyna się z nią urodziła.

- Nie, naprawdę mu się podobam, mówię ci, stara! - krzyknęła do koleżanki. - Szkoda, że nie widziałaś, jak się dzisiaj na mnie gapił. Poważnie.

Jej towarzyszka wyglądała blado jak ściana, z wyjątkiem tych części ciała, które akurat pocierała naturalną gąbką, jasnoróżowych i usianych cellulitis.

- Weź przestań, Naomi, czy musisz być taka głu-u-pia...

- A co ty możesz o tym wiedzieć - warknęła Naomi.

- Podobno przeleciał już wszystkie baby w klubie, nie słyszałaś? Pewnie już dawno dorobił się syfa!

Nie mogłam się powstrzymać od uśmiechu. Dziewczyna o imieniu Naomi otworzyła usta, żeby coś odpowiedzieć, ale na mój widok zmieniła zdanie i z radością zabrała się za publiczne obmywanie wewnętrznych partii ud, ignorując zupełnie fakt, że ma brudną bieliznę. Zanim zdążyłam się rozebrać, zaprezentowała już przyjaciółce przebieg ostatniego odcinka *East Enders*.

Wkrótce dziewczyny wyszły, a ja zostałam pod prysznicem. Nie spieszyłam się, wiedząc, że Rachel nie przyjdzie co do minuty na umówione spotkanie. Wprawdzie mieszkała bardzo blisko, ale pół godziny to trochę mało, jak na podróż do domu i z powrotem i jeszcze kąpiel po drodze. Uważnie przyjrzałam się swojemu nagiemu ciału w lustrze i byłam dość usatysfakcjonowana. Jak na dwadzieścia sześć lat wyglądałam całkiem w porządku, chociaż nigdy nie udało mi się wypracować wymarzonych bicepsów. Chyba musiałabym w tym celu ćwiczyć sześć dni w tygodniu.

Poza tym jednak miałam wszystko pod kontrolą, a szczególnie naturalną tendencję mojego ciała do przybierania kształtu klepsydry. Właśnie dlatego Tom wyzłośliwiał się na temat mojego podobieństwa do Lollobrigidy. Ale dopóki mieściłam się w rozmiar dwanaście, nie zamierzałam narzekać. Rachel, wysoka i szczupła, choć nigdy nie szkieletowata jak Linda, ucieleśniała mój ideał doskonałej figury.

Jednak niezadowolenie stanowi nieodłączną część ludzkiego charakteru, więc sama Rachel uskarżała się na swój mały biust i rekompensowała sobie zmyślane braki kupowaniem dziesiątków wypchanych staników. Przypominała mi czasem panią Smiling z *Cold Comfort Farm*, która obsesyjnie poszukiwała oryginalnych biustonoszy.

Wychodząc wpadłam na chwilę na dół do biura. Mieściło się ono w małej komórcie u stóp schodów i pełniło funkcję służbówki, szczególnie odkąd Lou przewidująco wstawiła tam stary czajnik i ogromne pudło herbaty. W pokoiku stał mały stół i parę krzeseł, ale resztę miejsca zawałały stare szafki z dokumentami i zepsute sztangi. Oprócz herbaty główną zaletę pomieszczenia stanowił fakt, że Linda urzędowała we własnym gabinecie piętro wyżej, w związku z czym na dole mogliśmy roztrząsać każdy szczegół jej charakteru bez ryzyka, że nas podsłucha. W dodatku ściany od wysokości metra w górę zrobione były z pleksiglasu, w związku z czym każdy mógł sprawdzić kto jest w środku zanim zdecydował się wejść. Dzięki temu dało się uniknąć towarzystwa najnudniejszych pracowników siłowni. A poza tym zawsze, kiedy spędzało się akurat urocze pół godzinki pijąc herbatkę i obrzucając błotem któregoś z kolegów, można było w porę zauważyć, jak kolega nadchodzi korytarzem i zawczasu zmienić temat na taki, który zawsze interesował wszystkich. Na przykład plotki o Lindzie.

W tamtej chwili w pokoiku siedzieli Derek i Jeff. Pierwszy z nich opierał się nonszalancko o szafkę i coś mówił, drugi słuchał w skupieniu. Derek nigdy po prostu nie siedział albo stał; on niedbale spoczywał na krzesłach albo wspierał się plecami o ścianę. Na mój widok uśmiechnął się ciepło.

- Hej, Sam, co słychać?

- Wszystko w porządku, dzięki.

Oddałam mu uśmiech. Jego przyjacielskie zachowanie było aż zaraźliwe. Derek rozweselał ludzi przez samą swoją obecność. Na siłowni pracowało mnóstwo facetów o idealnym ciele, ale to Derek został gwiazdą dzięki przystojnej twarzy i swobodnym manierom. Otaczała go atmosfera całkowitego luzu, jakby problemy dla niego nie istniały, co zresztą mogło być prawdą. A kobiety na ten widok zdzierały sobie stringi i rzucały się na niego, krzycząc „Weź mnie! Weź mnie!”.

Derek trzymał świetną formę, chociaż nie spędzał na siłowni wielu godzin, w przeciwieństwie do facetów mniej hojnie obdarzonych przez naturę. Jednak otwartość i sympatyczne maniery podbiły tych, którzy mogliby być zazdrośni. Nie dało się go nawet winić za promiskuityzm - Derek stawiał sprawę tak otwarcie, tak bezproblemowo... Szczerze podziwiał Lindę za energię i zdecydowanie i cieszył się, że jego dziewczyna nie jest zwykłą laską pozbawioną mózgu, tylko dyrektorką siłowni. Ale nie posunęłabym się do tego, żeby nazwać go feministą.

Jeff jednak należał do tych nielicznych, którzy opierali się urokowi Dereka. Zdradzał to sam język jego ciała. Jeff siedział prosto jak struna z ramionami skrzyżowanymi na piersiach,

patrząc na Dereka, który w białej koszulce, oparty wygodnie o szafkę przypominał wcielenie zdrowia i pewności siebie. To przecież nie była jego wina, że przy nim błady Jeff wyglądał jak wymoczek.

Jednak Jeff miał mu to za złe. W każdym klubie gimnastycznym powstaje naturalna hierarchia instruktorów. Ci, których praca polega na kształtowaniu ciał bardzo ze sobą rywalizują. Jeff, prowadzący zajęcia z aerobiku, był chudy jak szczapa i znalazł się na samym dole skali. Każdy mężczyzna, który prowadzi aerobik naraża się na sporo nieprzyjemności. Nafaszerowane sterydami mięśniaki wyzywają go od ciot - mówiąc bardzo łagodnie - i bezustannie usiłują okazać mu swoją wyższość. Dobrze jeśli ograniczają się do pogardliwych spojrzeń na korytarzach. Jeff ćwiczył po dwie godziny dziennie, ale i tak bez przerwy ktoś wyzościł się na temat jego tańców przed tłumem skaczących dziewcząt.

Chalk Farm, które w przeciwieństwie do wielu innych klubów bardzo dbało o równe traktowanie pracowników, czasem wyrzucało członków za niewłaściwe zachowanie. Ironia losu sprawiła, że niechęć Jeffa skierowana była głównie na Dereka, który nigdy nie brał udziału w tych drobnych prowokacjach, bo za bardzo zajmowały go kobiece tyłki przewijające się przez siłownię. Ale życie nie jest sprawiedliwe, a mężczyźni - szczególnie ci, którzy całe dnie spędzają w wytapetowanych lustrami halach, żeby napompować sobie mięśnie - postępują mniej więcej tak mądrze jak banda pięciolatek kłócących się o to, kto pierwszy pogra sobie na Gamę Boy-u.

- Czy ktoś z was widział przypadkiem niebieską torbę z opaskami? - zapytałam. - Linda właśnie przesłuchiwała mnie w tej sprawie.

- Mnie też - odparł Jeff, potrząsając głową.

Jeff i Linda wiecznie byli na wojennej ścieżce i czułam, że gdyby nie Derek, usłyszałabym jeszcze jakiś złośliwy komentarz pod jej adresem.

- Linda za bardzo się tym wszystkim przejmuje - odparł spokojnie Derek. - Ostatnio jest trochę podenerwowana. Nie bierzcie tego do siebie. Opaski gdzieś się w końcu znajdą.

- Na pewno. Do zobaczenia.

- Idziesz sobie? - spytał Jeff.

- Tak, umówiłam się z Rachel w Pheasant.

- O, może się tam spotkamy - powiedział.

Cholera. Ale się wygadałam. Jeff był klubową pijawką: wgryzał się w ciebie i wysysał całą energię, dopóki nie doprowadził cię do stanu, w którym nadawałaś się wyłącznie do oglądania australijskich oper mydlanych. Szczególnie tych pokazywanych tuż po obiedzie, kiedy widzowie trawią i nie mają większych wymagań co do rozrywek. Rachel wyklełaby mnie, gdyby przez moją gafę Jeff dopadłby nas w pubie. Uśmiechnęłam się uprzejmie i uciekłam zanim zdołał mnie przyszpilić i umówić na konkretną godzinę.

Zamykając drzwi kątem oka zauważyłam wyraz twarzy Dereka. Wyprostował się gwałtownie i jego beztroski nastrój nagle prysnął. Może przełożył gdzieś torbę z opaskami i

nie chciał, żeby Linda się dowiedziała. Mogłaby wpaść we wściekłość. Ale nie, Derek potrafił sobie radzić z tego typu problemami. Pomyślałam, że najprawdopodobniej jednak martwi się o to, że jego pani odkryje z kim spędził poprzednią noc.

* * *

Cock and Pheasant to mały trendy pub w alejce odchodzącej od Camden High Street. Wszystkie ściany są miętowozielone, okna złożone, a wypolerowane posadzki podchodzą aż pod barek z winem, co osobiście uważam za dość niebezpieczny pomysł. Mówiono mi, że do Pheasant chodzą wszyscy dekoratorzy wnętrz w północnym Londynie. A poza tym jak można się oprzeć pubowi, gdzie serwuje się tak wspaniały wybór ciemnych piw i wszędzie rozkładają firmowe zapałki, które tylko czekają, żeby je zwinąć. Kocham takie drobiazgi - dzięki nim czuję się wyrafinowana.

Rachel oczywiście jeszcze się nie zjawiła. Przebiłam się przez tłum ludzi odzianych w skórzane kurtki i czarne, plastikowe plecaki i dotarłam do kominka, gdzie znalazłam dwa wolne miejsca tuż obok kanapy. Przez chwilę walczyłam, żeby mój dżin z tonikiem przetrwał nieco dłużej niż kilka sekund. Moja towarzyszą zjawiła się pięć minut później. Wyglądała rewelacyjnie z włosami upiętymi w wysoki kok na czubku głowy i w krótkim, czarnym prochowcu ciasno zawiązanym w wąskiej talii. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni śledzili każdy jej ruch. Rachel podeszła do baru, żeby zamówić sobie drinka, a ja zauważyłam z goryczą, że nie musiała czekać, aż zostanie obsłużona. Wmówiłam sobie, że to kwestia wzrostu. Tak, tak, śnij dalej, marzycielko...

- Hej - powiedziała, przysiadając na stołku obok. - Jak to dobrze wreszcie usiąść - dodała z westchnieniem.

- Ee - zaczęłam nerwowo. - Mam złe nowiny. Możliwe, że Jeff do nas dołączy.

- Cholera, Sam! Jak mogłaś mu powiedzieć?

- Wymknęło mi się. Sorry. Chcesz iść gdzieś indziej?

- Nie. - Rachel wzruszyła ramionami. - Lubię ten pub. A poza tym gdzie znalazłybyśmy miejsca o tej porze? Po prostu będziemy musiały gędzić o damskiej higienie dopóki nie załapie o co chodzi i nie zniknie.

- Jeff uważa się za feministę - powiedziałam. - Z przyjemnością wyjawi nam, co sądzi na temat nowych reklam papieru toaletowego i jak bardzo poniżają one kobiety. To jego sposób na zagajenie rozmowy.

- Ale z niego biedny dupek. - Rachel wypięła duży łyk drinka. - Jak ci się podobały zajęcia? - spytała po chwili poważniejszym tonem.

- Były świetne - odparłam szczerze. - Doskonale się bawiliśmy. Tylko nie powinny figurować w spisie jako poziom pierwszy łamany na drugie Linda urządzi ci piekło, jeśli kiedyś wpadnie i zobaczy co robimy. To zdecydowanie jest drugi łamany na trzeci.

- Zwykle daję coś łatwiejszego - przyznała Rachel, sącąc drinka. - Dzisiaj byłam trochę nakręcona.

- Zauważyłam. Chcesz o tym pogadać?

- Och, do cholery. Mam kłopot z facetem, jak zwykle. Powiedział, że wpadnie do mnie i nie wpadł, nic nowego.

Już od dłuższego czasu - dłuższego nawet niż nasza znajomość - Rachel pozostawała w związku z żonatym mężczyzną. W takiej sytuacji niewiele można powiedzieć i rzeczywiście nie zdobyłam się na żaden komentarz, kiedy mnie o tym poinformowała. Romans przebiegał zgodnie z klasycznym schematem: on bezustannie składał jej obietnice, po czym je łamał, ona gryzła palce ze zdenerwowania, kiedy po raz kolejny nie przyjeżdżał na umówione spotkanie.

- Powinnaś częściej chodzić na randki - zauważyłam, starając się powstrzymać zarówno od wyrażania krytyki, jak i litości. Uznałam, że żadne z tych dwóch nie pasuje do sytuacji.

- Przecież chodzę. Ale nikt, kogo spotykam, nie może mu dorównać. Boże, co za koszmar. - Rachel wzruszyła ramionami. - Dzisiaj nawet zadzwonił. Musiał spędzić wieczór z żoną. Widocznie wpadła w depresję - dodała głosem wypranym z emocji.

- Założę się, że ta informacja od razu ci poprawiła humor. Chcesz jeszcze jednego drinka?

- Dzięki, ja pójdę - powiedziała i machnęła ręką, jakby odganiała od siebie nieprzyjemny temat. - Co pijemy?

- Dla mnie dzin z tonikiem, proszę.

- Oho, jakie to burżujskie.

Po chwili Rachel wróciła z napojami. Jeff ciągle jeszcze się nie zjawił, więc zaczęłam mieć nadzieję, że jesteśmy bezpieczne.

- Po twoim wyjściu Helga wywiesiła plakat - powiedziałam, bo przypomniałam sobie o tym, kiedy Rachel kupowała drinki. - Coś na temat spotkania w sprawie restrukturyzacji systemu członkostwa, czy jakoś tak. Wsiadła na mnie, że nie powinnam nawet go czytać, bo nie mam etatu w firmie. Wyobrażasz sobie?

- Nie zwracaj na nią uwagi - odparła Rachel pogardliwym tonem. - Wiesz, jaka ona jest. Kiedy tylko koło Dereka zjawi się jakaś ładna dziewczyna, Linda wysuwa pazury.

- Przecież ja nawet z nim specjalnie nie rozmawiam - zaprotestowałam zgodnie z prawdą.

- Wystarczy, że powiesz mu cześć. - Rachel upiła łyk drinka. - I chyba wiem, o co chodzi z tym spotkaniem, pomimo żargonu Lindy.

- Naprawdę? Będzie coś ciekawego?

- Można tak powiedzieć. Ona planuje zrobić z siłowni klub dla snobów. Podwoić opłatę za członkostwo i wybudować za to jacuzzi i łaźnię parową. Kapitalizm w natarciu. To całkowita zdrada tego, czym powinien być prawdziwy fitness. W dodatku chociaż Linda pewnie dostanie niezłą podwyżkę, nasze pensje z pewnością się nie zmienią. Zawsze tak jest, że zarząd obrasta w kasę, a pracownicy ledwo przędą. Witajcie w Wielkiej Brytanii.

Wprawdzie eleganckie brwi Rachel były nieco uniesione, jej usta się nie poruszały. Nawet jeśli uprawiała brzuchomówstwo, to nigdy nie użyłaby podobnego słownictwa rodem z protest songów. Zresztą bez trudu rozpoznałam jękliwy głos Jeffa. Obróciłam się i zobaczyłam, że stoi tuż za mną.

- Nie robi tego - powiedziałam protekcyjnie, myśląc, że przesadza. - Przecież właścicielem siłowni jest gmina...

- Linda sądzi, że ma dość poparcia, żeby przepchnąć ten pomysł - powiedział Jeff. - Powie im, że to racjonalizacja usług albo jakieś inne prawicowe bzdury i oni pójdą na wszystko. Ten klub jeszcze stanie się ich okrętem flagowym, kiedy będą chcieli udowodnić, że nie są jakimiś biednymi lewakami w przeciwieństwie do tego, co twierdzą torysowskie gazety...

Na ogół zgadzam się z treścią wywodów Jeffa, ale odrzuca mnie ich forma. Jeff jest jednym z tych szczupłych, bladych i wątych facetów z klasy średniej, którzy przebierają się w brudne kurtki i z udawanym robotniczym akcentem sprzedają broszurki o socjalizmie przy wyjściu z metra. W każdej chwili spodziewałam się, że zacznie wzywać towarzyszy.

- O mój Boże, to już tak późno? - wykrzyknęłam, patrząc demonstracyjnie na zegarek. - Muszę lecieć do domu.

Wstałam i włożyłam mój lamparci płaszcz. Rachel skorzystała z okazji.

- Tak, ja też powinnam już iść - powiedziała, podnosząc torebkę. - Świetny płaszcz, Sam. Wyprężyłam się z dumą. Tymczasem Jeff zrobił rozczarowaną minę.

- Och, proszę, zostań jeszcze na drinka - błagał. - Ja stawiam. - Chociaż zwracał się do nas obu, jego oczy były utkwione w Rachel.

- Przepraszam cię, ale jestem naprawdę zmęczona - wymamrotałam, ładując dyskretnie do kieszeni płaszcza garść pudełek z zapalnikami. Na szczęście nikt nie patrzył. Teraz naprawdę miałam biodra jak Lollobrigida.

Rachel ugięła się pod naciskiem Jeffa.

- No dobrze, wypiję jeszcze jednego - powiedziała. - W końcu nie mam daleko do domu.

Jeff był zbyt szczęśliwy, że Rachel z nim została, żeby zauważyć moje wyjście. Ruszyłam do drzwi, przepychając się bokiem przez tłum. Musiałam uważać na zapalniki.

3.

Następnego dnia nie prowadziłam zajęć, więc zostałam w domu, żeby popracować nad moją ruchomą rzeźbą, zwaną także Rzeczą, z której byłam niezmiernie dumna. Wyglądała mniej więcej jak srebrna bryła zbliżona do kuli, obwiązana grubym, stalowym drutem, który pracowicie uformowałam na kształt siatki. Pomiedzy kablami przeświecał stłumiony blask metalu. Przekłeta Rzecz prześladowała mnie przez wiele miesięcy, zalegając na podłodze mojego mieszkania jak złośliwa i bardzo obrażona ropucha. Doskonale wiedziała, że jest niedokończona i okropnie ją to denerwowało. Niestety, ja nie wiedziałam, jak jej pomóc.

W końcu jakaś przypadkowo zasłyszana uwaga sprawiła, że wpadłam na pomysł przymocowania jej łańcuchem do sufitu. Rzecz rozpogodziła się błyskawicznie, ledwo tylko zawisła w powietrzu. Najwyraźniej od początku wiedziała, że powinna być w ruchu i niecierpliwie czekała, kiedy ja też to zrozumieję. Teraz, kiedy kołysała się majestatycznie w przestworzach jak nowo odkryta planeta, sprawiała wrażenie bardzo zadowolonej. Jedyne problemy polegały na tym, że poza długością łańcucha nic nie ograniczało jej swobody ruchów, w związku z czym podlatywała dramatycznie pod sufit ilekroć otwierałam światlik. Usiłowałam wymyślić jakiś system stabilizacyjny, ale bez większych sukcesów.

Ale sam fakt, że rozgryzłam tajemnicę przeznaczenia Rzeczy dawał mi ogromną satysfakcję, nawet jeśli moja planeta kiwała się jak pijane wahadło. Chciałam zadzwonić do Toma, żeby zaprosić go na drinka, ale w międzyczasie pochłonął mnie projekt nowej ruchomej rzeźby, Córki Rzeczy, która tym razem już od początku miała być ruchoma i wisząca. Kompletnie zatraciłam poczucie czasu i ocknęłam się dopiero o wpół do jedenastej wieczorem, kiedy wygłodniały żołądek zaczął się domagać jedzenia.

Przeszukałam szafki i wygrzebałam z nich paprykową zapiekankę z kartofli Sainsbury'ego, którą podgrzałam na patelni, zastanawiając się, czy można ją uznać za świeże warzywo, szczególnie jeśli jest pakowana próżniowo. Z jakichś powodów miałam wątpliwości. Niedawno podjęłam mocne postanowienie dotyczące zwiększenia spożycia świeżych warzyw i owoców, co w praktyce oznaczało, że w ogóle zacznę je jeść. Wyrzuty sumienia zmusiły mnie do sięgnięcia do lodówki, gdzie udało mi się znaleźć jakąś samotną cebulę. Podsmażyłam ją i dorzuciłam do zapiekanki. Jeśli to nie było świeże warzywo, to już nie wiem co powinnam jeść. W bohaterskim i podniosłym nastroju po dokonaniu tego

mężnego czynu usadziłam się przed telewizorem, żeby obejrzeć amerykański serial policyjny. Wzięłam sobie butelkę wina do jedzenia, ale wypłam tylko pół. Ostatnio dbam o zdrową dietę.

Znów zaczęło padać. Odchylając głowę mogłam wyglądać przez świetlik, który był tak dokładnie pokryty brudem i gołębimi kupami, że z trudem dochodziło przez niego jakiegokolwiek światło. Prędzej czy później musiałam go wyczyścić. Bob, nocny stróż z sąsiedniego magazynu, twierdził, że jego kocica - gruba Shirley - kontroluje przyrost naturalny gołębi, ale oboje wiedzieliśmy jak jest naprawdę. Londyńskie gołębie krzyżowały się z populacją szczurów, i jako ogromne genetyczne mutanty były zdolne pozbyć się Shirley jednym pogardliwym machnięciem skrzydeł. A Bob nie rozkładał trucizny, nie tyle z poszanowania dla praw zwierząt, co dlatego, że Shirley nie osiągnęłaby swoich opływowych kształtów żywiąc się wyłącznie whiskasem.

Westchnęłam. Deszcz bynajmniej nie zmywał tych paskudztw z mojego świetlika, raczej zbijał je na twardą masę z białego świństwa i piór. Wolałam o tym nie myśleć przy kolacji. Gołębie stanowiły jeden z licznych problemów, które dzieliłam z moją przyjaciółką Janey. W nadchodzącym tygodniu Janey wracała z wakacji i zamierzałam ją zapytać, jak sobie z nimi radzi. Czemu nikt nie zrobił filmu o zabójczych gołębiach? Tom pewnie by coś wiedział na ten temat. W końcu miał świra na punkcie kina. A może „Ptaki”?

Nie, raczej nie. Gdyby te małe wredne ptaszyska od Hitchcocka to były gołębie, Tippi Hedren skończyłaby usmarowana od stóp do głów ich kupami, a nie tylko trochę rozczochrana.

* * *

Bębny waliły, a Poguesi grali właśnie wesoły irlandzki taniec, kiedy rozległ się niepowtarzalny głos Shane'a McGowana, który wydobywał się spomiędzy czterech zębów właściciela i nieodłącznej butelki. Shane śpiewał o jakimś Jimmym i o graniu na trąbce, a ja stałam plecami do lustra, patrząc na dziewięć kobiet. Kobiety trzymały w rękach hantle, podobnie jak ja. Dwie z nich były nowe - między innymi Naomi, którą poznałam pod prysznicem - i sprawiały wrażenie bardzo zdziwionych muzyką lejącą się z głośników. Pozostałe panie już mnie znały i wystukiwały rytm piosenki butami. Zaczęłam kręcić barkami, najpierw prawym, potem lewym i patrzyłam, jak z niewielkim opóźnieniem moje gesty są powtarzane przez grupkę uczennic.

Josie jak zwykle stała dokładnie naprzeciw mnie i jak zwykle uśmiechała się szeroko. Miała różowe body i szare legginsy z szarym paskiem, oczywiście idealnie dopasowanym kolorem do spodni. Na ustach widniał ślad różowej szminki, korespondującej z body i z różowymi akcentami na adidasach. Josie bezustannie się uśmiechała, bez względu na to co robiłam bądź mówiłam i często przekręcała głowę na wszystkie strony, żeby wyeksponować

swoje lśniące włosy. Moje zajęcia zostały pomyślane raczej jako nauka ćwiczenia na siłowni, po których dziewczyny mogły pracować nad sobą same. Ale Josie uczestniczyła w nich już od roku i najwyraźniej nie zamierzała kończyć kursu. Jej szeroki, sztuczny uśmiech i obsesyjnie komponowane stroje budziły we mnie szczerze przerażenie. Bezustannie spodziewałam się, że pewnego dnia Josie ni z tego, ni z owego przyłoży komuś po głowie hantlami.

Na szczęście po chwili rozległo się charakterystyczne sha-la-la Van Morrisona, który zawsze poprawia mi nastrój. Tańsze niż Prozac, a równie efektywne. Zaczęłyśmy właśnie pracować nad mięśniem potrojnym - nie zamierzałyśmy tolerować obwisłych dolnych partii ramion. Naomi z pryszniców ćwiczyła w drugim rzędzie. Wyglądała jak zawodniczka w rzucie oszczepem, ale raczej się nie przemęczała. Za każdym razem, kiedy podnosiła hantle, spoglądała na mnie z wyrzutem, jak gdybym ubliżała jej samym faktem, że prowadzę ten trening.

Po kwadransie wysłałam je na rundkę wokół siłowni, pilnując, żeby co minutę zamieniały się urządzeniami do ćwiczeń. Przez cały czas nie spuszczałam wzroku z Naomi. Nie chciałam, żeby zrobiła sobie krzywdę i pociągnęła mnie do odpowiedzialności. W tle grała radosna piosenka Kanadyjczyków z Luizjany, skoczna, ale nie za szybka. Nigdy nie lubiłam pracować z hantlami do zbyt szybkiej muzyki tanecznej. Automatycznie przyspiesza się wtedy rytm ćwiczeń, zamiast dostosowywać go do kolejnych zadań. Nie dość, że cierpiała na tym jakoś wykonania, to jeszcze było to dość niebezpieczne.

Wkrótce przestałam się martwić o Naomi. Nie potrafiłaby się zdobyć na żadną aktywność, która mogłaby jej przynieść uraz. Chwilowo melancholijnie machała nogą, patrząc wrogo na pedał roweru treningowego, który złośliwie nie chciał się ruszyć. Niestety, żeby to zrobił, musiałaby go nacisnąć.

Zerknęłam na zegarek i ogłosiłam kolejną zmianę. Josie podskoczyła radośnie i z rozwianym włosiem podbiegła do kolejnej maszyny. W przelocie obdarzyła mnie promiennym uśmiechem, który miał mi pokazać, jak wspaniale się bawi. Zadrżałam. Bóg wie, co ona sobie myśli o mnie, moim guście muzycznym i stroju, składającym się z pociętych koszulek i pociętych szortów, zakładanych na dziurawe legginsy, a wszystko to w charakterystycznym kolorze szarawej od prania czerni.

Nadszedł czas na rozluźniający finał. Wyłożyłam dla wszystkich maty i klasnęłam, żeby zebrać grupę. Wszystkie niechętnie zsiadły z maszyn, co stanowiło dobry objaw. Oczywiście, wszystkie oprócz Naomi, która z rozkoszą uwalila się na macie, żeby patrzeć na mnie spode łba, zamiast ćwiczyć elastyczność karku. Rozciągałyśmy się, aż w głośnikach zabrzmiał niewiarygodnie piękny głos Aarona Neville'a, śpiewającego „Tell It Like It Is”. Wreszcie godzina dobiegła końca, więc ja i moje podopieczne podziękowałyśmy sobie nawzajem brawami. Na pożegnanie usiłowałam wystraszyć Naomi uśmiechem w stylu Josie, czyli grymasem, który mówi mniej więcej: „W wolnym czasie zabijam ludzi toporem”, ale chyba była za głupia, żeby mnie zrozumieć.

- Do zobaczenia w czwartek, Sam! - pisnęła Josie, wychodząc.

Nie mów mi po imieniu, chciałam odpowiedzieć, *to mnie przeraża*. Naomi obdarzyła mnie wrogim i oskarżycielskim spojrzeniem. Przeze mnie cierpiała. Nawet jej uda trzęsły się w niemym oburzeniu. Ja tymczasem włączyłam kolejną kasetę z ulubionymi przebojami i zaczęłam pracować nad własną formą. Zawsze frustruje mnie widok ćwiczących ludzi, kiedy nie mogę do nich dołączyć, bo pełnię funkcję trenera.

Przez następne półtorej godziny nie istniałam dla świata. Przez siłownię przewijały się tłumy ludzi, ale ja nawet ich nie zauważałam. Przez lata praktyki wypracowałam sobie własny schemat ćwiczeń - nie używam wielu urządzeń, tylko głównie hantli. Wymagają one znacznie większej koncentracji. Ćwicząc na maszynie można sobie pozwolić na nieuwagę czy niedokładność, ćwicząc ze sztangą na ramionach - raczej nie. A to świetnie wpływa na sylwetkę.

Nie używam ciężarków, trenując dolne części ciała - gdybym to robiła, pewnie wyglądałabym już jak kręglarz, bo te partie mięśni rozwijają się u mnie wyjątkowo łatwo. Ale moje bicepsy i tricepsy pozostają nieczułe na wszelkie wysiłki, na jakie się zdobywam, żeby je powiększyć. Zawsze poświęcam sporo czasu brzuchowi, który wykorzystuje każdą chwilę nieuwagi, żeby się zaokrąglić, a na koniec robię dużo ćwiczeń rozciągających. Wychodząc z siłowni czułam przyjemne zmęczenie, jakbym wzięła do galopu wszystkie obwisłe części mojego ciała i zmusiła je, by przybrały właściwy kształt.

Umyta, ubrana i wyperfumowana ruszyłam na poszukiwania Rachel, którą znalazłam w pokoiku na dole. Nawet nie przebrała się jeszcze w strój gimnastyczny, ale stała przy stole i gawędziła z Lesley. Z całą pewnością nie rozmawiały na żaden trudny temat, Lesley raczej nie odnalazłaby się w takiej sytuacji. Nie wyobrażam sobie blondynki, która wypowiedziałaby w życiu mniej inteligentnych uwag niż Lesley, chyba że byłaby zupełnie niema.

- Pójdziemy na herbatę? - zapytałam.

Rachel zerknęła na zegar ścienny.

- Okej, mam jeszcze godzinę wolnego. Idziesz z nami, Lesley?

Siłownia mieściła się w małej bocznej alejce odchodzącej od Camden High Street, nieco bliżej stacji Chalk Farm niż Camden. Tym samym kiedy ktoś chciał nacieszyć się atrakcjami Camden - na przykład rynkiem, wszelkimi sklepami, hippisowskimi wegetariańskimi knajpami, a także interesującym widokiem pijaczków oblegających miejscowe bankomaty - wystarczyło tylko przejść się w górę ulicy. Z drugiej strony, jeśli nie miało się ochoty na bliskie spotkanie z tłumem stałych bywalców, górami śmieci i zagranicznymi turystami, którzy obrzucali oszołomionym spojrzeniem każdego faceta w spodniach w szkocką kratę i siedemnastu kolczykach na nosie, można było dojść na siłownię wzdłuż Chalk Farm. Tam panował względny spokój, co znaczyło, że nie obrywało się skrawkami gazet i butelkami po napojach, które wiatr wymiatał z podziemnej stacji Camden Town.

- Ten facet do ciebie macha - powiedziała Rachel, kiedy szliśmy główną ulicą.

Obróciłam się i zobaczyłam dready okalające twarz Leggo, który właśnie pedałowwał w stronę Camden. Jak już mówiłam, to mała dzielnica.

- Jaki słodki - powiedziała Lesley. - Kto to?

- Wokalista - odparłam. - Alternatywny rock i tym podobne.

- Nie znoszę takiej muzyki. - Lesley zrobiła rozczerowaną minę. - Jest taka głośna! Ale ten facet to marzenie. No i ja zawsze leciałam na czarnych, może przez kontrast, bo sama mam taką jasną karnację.

Rachel i ja wymieniliśmy błyskawiczne spojrzenia. Na szczęście dla Lesley właśnie dochodziłyśmy do mostu nad przejazdem kolejowym, gdzie mieściła się nasza ulubiona knajpka, niezbyt luksusowa, ale bardzo przytulna herbaciarnia, gdzie podawano mnóstwo różnych ziołowych naparów. Wypróbowując kolejne pozycje z menu dotarłam w końcu do herbatki z róży i hibiskusa, która okazała się całkiem niezła, pomimo różowego koloru.

Od poniedziałku do czwartku po Camden snuło się zdecydowanie za dużo ludzi, ale w weekendy tłum stawał się nie do zniesienia. Tymczasem w kawiarni było sporo wolnych stolików. Dziewczyna za barem wyglądała jak typowa znudzona studentka z zagranicy, która tylko czekała, żeby rzucić tę robotę, kiedy tylko nauczy się odpowiedniego słownictwa na jakimś tanim kursie w biednej szkółce językowej. Atmosfera tego miejsca przypominała lata siedemdziesiąte - rustykalny styl, sztuczne kilimy na ścianach, ciężkie, drewniane meble i wyraźnie używane naczynia tworzyły swobodną, ciepłą atmosferę. Wybrałyśmy stolik w rogu przy oknie i oddałyśmy się ulubionemu zajęciu pracowników wszelkich instytucji - czyli wieszaniu psów na naszej firmie.

Lesley pracowała w Chalk Farm od niedawna. Była pełna entuzjazmu i bardzo młoda. Chociaż dzieliło nas zaledwie kilka lat, czułam się przy niej stara. Jej krótka, jasna fryzurka, wielkie niebieskie oczy i ciało lalki Barbie z długimi, niemal gumowymi udami, które dawały się swobodnie wykręcać we wszystkich kierunkach, nadawały jej młodzieńczy wygląd. Niestety, pomimo tych zalet, Lesley przypominała mi nieodparcie małe, głupawe szczeniaczki, które biegają bez sensu z wywalonym językiem. Nazwałabym ją głupią gęsią, ale nie chciałabym obrażać drobiu. Jednak dzięki temu mogłam sobie pozwolić wobec niej na protekcyjnalne zachowanie, chociaż w gruncie rzeczy powinnam się wściekać z zazdrości o wzrost, figurę i kolor włosów.

Lesley kompletnie zignorowała herbatę, tylko czekając, aż będzie mogła wyrzucić z siebie to, co myśli.

- Ona jest taka zaborcza! - wykrzyknęła, ledwo zdążyłyśmy usiąść. - Nie potrafię tego znieść!

Żadna z nas nie miała wątpliwości, o kim mowa.

- Wydaje jej się, że siłownia to jej prywatna własność! I nie tylko siłownia... - Lesley urwała nagle z lekkim rumieńcem na policzkach.

- Ale i Derek - dokończyła sucho Rachel. Obie zauważyłyśmy, że Derek i Lesley zauważają siebie nawzajem.

- No! - Lesley wzruszyła ramionami, wbijając w nas niewinne spojrzenie wielkich, niebieskich oczu. - Skoro nie może go przy sobie utrzymać, to powinna go puścić, prawda?

- Twoim zdaniem zachowuje się nie fair, prawda? Powinna pozwolić, żeby inne dziewczyny pobawiły się czasem jej zabawką? Derek to nie plastikowy Action Man, którego Linda trzyma w szafce, Lesley! - powiedziałam.

Lesley wysunęła dolną wargę, jak skrzywdzona dziewczynka. Zawsze tak reagowała, kiedy nie rozumiała, co się do niej mówi.

- I straszna z niej wiedźma - kontynuowała po chwili.

- Słyszałyście, co powiedziała do Jeffa? Że powinien pozwać firmy, które robią te napoje wzmacniające mięśnie, bo nadal wygląda jak szkielet i jeśli o nią chodzi, to mógłby sobie darować środkową fazę procesu i wrzucać pieniądze prosto do toalety!

- Nie wiedziałam, że Jeff ciągle pije te świństwa - odparłam.

- Kosztują fortunę, co racja to racja - zauważyła Rachel.

- Linda zawsze trafia w czuły punkt.

- Czemu ona go tak nie znosi? - spytała Lesley, jeszcze szerzej otwierając oczy. Jasne włosy okoliły jej twarz i spływały na lśniąca, różową kurtkę puchową.

Barbie na nartach, pomyślałam. Para gogli nie została włączona do zestawu.

- Jeff nie wzbudziłby sympatii żadnego szefa. - Rachel wzruszyła ramionami. - Jest socjalistą. I to, że Helg... Linda ma takiego świra wcale tu nie pomaga - dodała szybko, zanim jeszcze Lesley zdążyła dostać spazmów z przerażenia. - Jeff bez przerwy ją prowokuje, nawet jeśli akurat robi coś z sensem.

Byłam wdzięczna, że Rachel nie nazwała Lindy „Helgą” wobec Lesley. Jednym z efektów ubocznych braku mózgu jest to, że zasłyszane informacje błyskawicznie przechodzą przez głowę i wylatują ustami, nie poddane żadnym procesom analizy czy refleksji.

- Ale zachowuje się po chamsku! - protestowała Lesley.

- Nawet wobec Lou!

- To dlatego, że Lou jest zbyt kompetentna - wytłumaczyłam. - A Linda zawsze musi czuć się najlepsza. Jedyna osoba, wobec której okazuje jakieś ludzkie uczucia to...

- Derek - dokończyła Lesley.

Niemal widziałam gwiazdy w jej oczach, kiedy wypowiadała to imię.

- Posłuchaj mnie, Lesley - powiedziałam, przywołując na pomoc wszelkie dostępne mi zasoby doświadczenia i wiedzy o życiu. - Na twoim miejscu trzymałabym się od niego z daleka. A przynajmniej przez parę miesięcy, do momentu, w którym poczułabym się trochę pewniej co do pracy. Zrób małe przedstawienie. Udowodnij Lindzie, że wcale ci na nim nie zależy. Opowiedz jej o twoim chłopaku.

- Ale ja nie mam chłopaka.

- To tylko drobny szczegół. Chyba nie chcesz, żeby zrujnował ci karierę?

Popatrzyła na mnie nic nie rozumiejącym wzrokiem. Kiedy inni stali w kolejce po rozum, ona chyba goniła za jakimś patykiem.

- Lesley, tu chodzi o twoje życie i twoją pracę - powiedziała Rachel. - Ale Sam ma rację. Trzymaj się z dala od Dereka. On nie jest wart tych kłopotów.

- Ale to niesprawiedliwe. Co ma Derek do mojej pracy? - jęknęła Lesley.

- Ustalmy sobie pewne rzeczy - powiedziałam. - Czy jesteś może przypadkiem rozpieszczoną jedynaczką, której rodzice zawsze pozwalali na wszelkie fanaberie?

- Mama i Tata zawsze byli dla mnie wspaniali! - wykrzyknęła z entuzjazmem. - Obiecałam, że spłacę hipotekę, kiedy zacznę zarabiać jako instruktorka.

- Tak myślałam.

- O co ci chodziło z tym Action Manem? - zmarszczyła czoło z wysiłku jaki włożyła, żeby przypomnieć sobie coś, co ją zaniepokoiło.

Uśmiechnęłam się, klepiąc ją delikatnie po ramieniu.

- Nie łam sobie nad tym tej ślicznej główki.

- Ale...

- Sam chciała tylko powiedzieć, że tu chodzi o ludzi i uczucia - wytłumaczyła Rachel. - A nie o zabawki. To znaczy możesz uważać, że Linda powinna uwolnić od siebie Dereka, skoro nie potrafi go zatrzymać, ale ludzkie związki funkcjonują inaczej.

- Ale ja nie rozumiem dlaczego. - Lesley znów zrobiła minę upartej, pokrzywdzonej dziewczynki.

Miałam ochotę wsadzić jej łyżeczkę do nosa. Przynajmniej coś by się zaczęło kołatać w tej pustej głowie. Dla odmiany.

4.

Jak Linda wielokrotnie dawała mi do zrozumienia, nie byłam zaproszona na spotkanie pracowników Chalk Farm, więc nie mogłam się powstrzymać, żeby nie przyjść. Normalnie zjawiałabym się na jakimkolwiek zebraniu tylko pod warunkiem, że na koniec zapowiedziano by darmowy poczęstunek z miękkimi narkotykami.

Jednak tego wieczoru, wzmocniona drinkiem wypitym razem z Rachel, wkroczyłam do poczekalni dla dzieci, jedyne pomieszczenia oprócz głównej hali, które mogło nas wszystkich pomieścić. W środku siedziało już sporo ludzi, wiercących się nerwowo na krzesłach pod bazylijszkowym spojrzeniem Lindy. Instruktorzy fitnessu nie radzą sobie najlepiej, kiedy muszą siedzieć na spotkaniach.

Linda obrała strategiczną pozycję przy stoliku na końcu pomieszczenia i usiadła przy nim, uzbrojona w papier i szklankę wody. Brakowało jej tylko młotka do uciszania zebranych. Miała na sobie czarny obcisły strój, a włosy zebrała ciasno w gumkę na czubku głowy. Równie ciasno zacisnęła wargi, patrząc, jak zajmuję miejsce na sali.

- Sam, wiesz chyba, że nie masz prawa ani do głosowania, ani do wypowiedzania się na tym spotkaniu? - powiedziała, demonstrując charakterystyczną dla niej wspaniałomyślność i tolerancję.

- Linda, spoko! - Derek pomachał ręką w moją stronę. - Przecież Sam pracuje tu od stu lat - powiedział, rozpierając się wygodnie we framudze okna i skręcając sobie papierosa. W swoich obcisłych spodniach i luźnym, białym swetrze wyglądał jak żywa reklama anaboliów.

- Jako przewodnicząca zebrania chciałam tylko ustalić, czy wszyscy znają swoją pozycję - odparła Linda, patrząc na Dereka, przez co w jej głosie zabrzmiała cieplejsza nuta.

- Jej pozycja to zaraz będzie zwis z mostu z trapezem owiniętym wokół szyi, jeżeli nie zacznie uważać na to co mówi - wymamrotałam do Rachel.

Przez chwilę czułam się jak w szkole, kiedy niegrzeczne dziewczynki z tylnej ławki przedrzeźniają panią nauczycielkę.

Spotkanie miało się zacząć o ósmej i Linda dopilnowała, żeby tak się stało. Spóźnialscy zostali powitani pogardliwym spojrzeniem i wymownym zerknięciem na zegar. Jednak kolorowe, plastikowe zabawki, ułożone pod żółtymi ścianami ujmowały nieco powagi

naszemu zebraniu. Na wysokości naszego wzroku biegły rzędy kredkowych rysunków pod tytułem Mój dom, Moja Mama albo Mój Tata (i podobnych, w końcu to Camden), a także nieco przedatowana kolekcja portretów żółwi ninja, diabła tasmańskiego, względnie małej syrenki. W ten rozkoszny świat wtargnęły niebawem kłęby papierosowego dymu i podniesione głosy uczestników posiedzenia.

Żeby oddać Lindzie sprawiedliwość, muszę powiedzieć, że nie była tchórzem. Nie usiłowała w niczym upiększyć propozycji, którą przedstawiała. Ograniczyła się tylko do ogólnikowych stwierdzeń, że wszyscy zyskamy, jeśli zostanie przyjęta, chociaż nie zadała sobie trudu, by wyjaśnić, co dokładnie. Sama propozycja wyglądała mniej więcej tak, jak Jeff ją opisał. Siłownia miała pozostać pod kontrolą miasta, ale jednocześnie „prowadzić swobodną działalność gospodarczą”, zorientowaną na „większe dochody”. Polegałoby to na podniesieniu opłat członkowskich i poszerzeniu zakresu świadczonych usług.

- Czyli zrobić jacuzzi i łaźnię parową, prawda? - wtrącił Jeff, łamiącym się z emocji głosem. Brzmiało to jak ostatnie słowa Robespierre'a przed gilotyną. - Luksusy dla bogaczy i ceny niedostępne dla zwykłych ludzi!

- Myślałam raczej o drobnym remoncie na hali i naprawieniu pryszniców - warknęła Linda. Punkt dla niej.

- A czemu nie możemy ich naprawić teraz? - spytała Lesley, uśmiechając się do Dereka. Wszyscy ją zignorowali, oprócz adresata wypowiedzi, który odpowiedział także uśmiechem.

Kilka krzeseł za mną siedziała Lou. Trudno byłoby przeoczyć jej turkusową suknię, pasujący turban i około siedemnastu złotych łańcuchów na obfitym biuście.

- Wcale mi się to wszystko nie podoba - oświadczyła stanowczo. - Ani trochę. Tylko nie wciskaj mi kitu, że chcesz utrzymać darmowe zajęcia dla dzieci w poczekalni. Tego nie ma w twoim planie, co?

- Rzeczywiście zamierzałam wprowadzić opłaty za opiekę nad dziećmi - odparła Linda nieco mniej pewnym głosem. - Ale popatrzmy na to we właściwej perspektywie...

Większość kobiet na sali omal nie eksplodowała. Wszystkie krzyki zagłuszył jednak bas Fliss, która dla podtrzymania męskiego image'u mówiła jeszcze niższym głosem niż donośny alt Lou. Fliss w ubraniu sprawiała wrażenie dość krępej, co wynikało z faktu, że nosiła męskie używane ciuchy. Kraciaste koszule i proste dzinsy nie najlepiej eksponowały jej figurę, ale kiedy ćwiczyła w stroju gimnastycznym stanowiła fascynujący widok. Fliss zdążyła już zapomnieć więcej na temat fitnessu niż ja kiedykolwiek wiedziałam i cieszyła się niekwestionowanym autorytetem. Miała bardzo krótką fryzurę, w której wyglądała jak buldog.

- Opłaty za dzieci wykluczone - powiedziała w swój zwykły, telegraficzny i stanowczy sposób, który przypominał mi rozkazy oficerów w wojsku. - Szczególnie jeśli podniesiesz ceny. To niesprawiedliwe.

- Chcemy zrównać nasze ceny z rynkowymi - oświadczyła Linda, nieco wytrącona z równowagi. - Nie będziemy gonić prywatnych siłowni...

- Ale to pierwszy krok na śliskiej ścieżce - krzyknął Jeff.

Boże, tylko nie to, pomyślałam.

- Zmierzamy w stronę prywatyzacji, czyż nie tak?! Tego właśnie chcesz. Ty i twoi przyjaciele, bezpieczni na swoich wygodnych posadkach w gminie. Dla nich siłownia stanie się tylko demonstracją poglądów politycznych, a bezrobotni i samotne matki nie będą mogli sobie pozwolić na opłaty! Jesteśmy o krok od przepaści!

Zacisnęłam zęby. Jeff nawet wymachiwał pięścią w powietrzu, jakby krzyczał „Obywatele, na barykady!”. Ale osiągnął swój cel: kilka głów potaknęło z przekonaniem. Linda patrzyła na niego tak, jakby tylko marzyła, żeby go zgilotynować, najlepiej zardzewiałym ostrzem, a następnie wbić jego głowę na pikę i wystawić przed wejściem na siłownię w ramach ostrzeżenia dla ewentualnych naśladowców.

- Nie sądzę, żeby ktokolwiek, kto trochę u nas przepracował mógł zaprzeczyć, że potrzebujemy przeprowadzić restrukturyzację - powiedziała, przekrzykując harmider. - I owszem, moim zdaniem powinniśmy przemyśleć zmianę opłaty członkowskiej. Od lat stoi w miejscu, a w tej chwili jest absurdalnie niska jak na to, co oferujemy.

Nie mogłam jej odmówić słuszności. Linda rozejrzała się, sprawdzając, czy do wszystkich dotarło to co mówi.

- Ale czy nie ma żadnej alternatywy, tylko wszystko albo nic? Dlaczego nie podniesiemy trochę opłaty członkowskiej, powiedzmy, żeby wyrównać inflację, i naprawimy za to przyszniców, nie zmieniając przy tym radykalnie profilu siłowni? Zgadzam się, że musimy zmienić pewne rzeczy, ale twoja propozycja jest chyba zbyt rewolucyjna.

Popatrzyłam na nią z podziwem. Rachel wydawała się jak zawsze spokojna i opanowana. Nawet kiedy się śmiała, sprawiała wrażenie doskonale zrównoważonej. Nic dziwnego, że była jedyną osobą na sali, która potrafiła popatrzeć na problem z dystansu.

- Tak, to wylewanie dziecka z kąpielą! - powiedział ktoś, kogo nie znałam. Gość powinien założyć firmę do spółki z Jeffem i razem z nim sprzedawać odgrzewane powiedzonka. Coraz więcej głosów wyrażało aprobatę.

- A ja uważam, że Linda ma bardzo ciekawy pomysł - pisał Simon Wise, jeden z tych chłopców, którzy w szkole siadają w pierwszej ławce i skwapliwie potakują głową, cokolwiek powie nauczyciel. Wiem, bo właśnie tak się zachowywał w Chalk Farm. Wredny lizusek. Założę się, że zaczął trenować, bo dzieciaki dawały mu wycisk na podwórku. - Powinniśmy go wziąć pod uwagę.

- Jeśli sądzisz, Simon, że twoja pensja wzrośnie wraz ze wzrostem opłat, to lepiej od razu poproś o gwarancję na piśmie, bo już widzę, jak lądujesz na lodzie - powiedziałam, wywołując chichot na sali i spojrzenie Lindy, które mówiło „Jeszcze jedna taka uwaga i wylatujesz, młoda damo”.

- Tu nie chodzi tylko o pieniądze - dodał ktoś inny.

- Podoba mi się pomysł, żeby siłownia była trochę bardziej opłacalna. Kompletnie sflaczeliśmy, siedząc tutaj na łasce gminy i czekając na zbawienie.

Pomruki aprobaty zagłuszył dźwięczny głos Lou.

- Ale jeśli to zrobimy, to nie wszystkich będzie stać na nasze nowe ceny. Jeśli mamy być opłacalni, musimy zamknąć drzwi przed mniej zamożnymi członkami. A moim zdaniem nie tak powinna wyglądać gminna siłownia.

- Zgadzam się z Lou - zagrzmiał Brian, siedzący w tylnym rzędzie.

Zapadła cisza. Brian prawie nigdy się nie odzywał. Był potężnym facetem, który pracował jako bramkarz na przyjęciach urządanych w magazynach. Przez całe noce stał w drzwiach, ubrany w czarną, puchową kurtkę opiętą na szerokich barach. Wszyscy, którzy właśnie zamierzali robić aferę, dobrowolnie opuścili ręce.

- No, spoko, nie denerwujmy się... - zamruczały jakieś głosy.

Brian nie raczył odpowiedzieć, tylko pomrukiwał ostrzegawczo, co jeszcze bardziej ich wystraszyło. Kiedyś zrobiłam mu herbatę i omal nie dostałam obłędu, usiłując wychwycić z jego pomruków, czy mam dodać mleko i cukier.

I tak parę słów, które padły z jego ust miało wagę przepowiedni wyroczni. Jakby Sfinks sam wygłosił rozwiązanie swojej zagadki głębokim, dudniącym basem. Zebrani odwrócili głowy, żeby na niego popatrzeć. Brian skrzyżował ręce na piersiach w klasycznej pozie bramkarza. Najwyraźniej nie zamierzał się już wypowiadać.

Jeff postanowił chwycić stery, kiedy poczuł przychylny mu wiatry.

- Racja! Głosujmy, żeby odrzucić tę neokapitalistyczną propozycję!

Czekałam, aż doda „Następny przystanek: Bastylia”, ale udało mu się powstrzymać.

Fliss, radykalna feministka, dobrze obyta z procedurami, jakie obowiązują na tego typu zebraniach, przywróciła porządek.

- Zróbmy dwa głosowania. Pierwsze w sprawie oryginalnego planu. Potem w sprawie propozycji Rachel znalezienia innych źródeł dochodu. Na przykład niewielkiej podwyżki opłat - powiedziała, rozglądając się po sali. Niemal wszystkie spojrzenia wyrażały zgodę.

Fliss usiadła, szeroko rozstawiając nogi w džinsach i klepiąc się po udzie. Czasem podejrzewam, że usiłuje naśladować pozy z męskich magazynów. Jej pomysł nie zachwyił tylko Lindy i Jeffa, który liczył na całkowite wykluczenie oburzającej propozycji. Fliss policzyła uniesione ręce.

Kilka osób poparło Lindę, ale zdecydowana większość była za rozwiązaniem Rachel, co nikogo nie zdziwiło. Linda zaczęła się pakować z bardzo rozgniewaną miną.

- Oczywiście postąpię zgodnie z wolą zgromadzenia - oświadczyła z wściekłością. - Ale chciałam tylko zaznaczyć, że paru radnych wyraziło ogromne zainteresowanie oryginalnym pomysłem i ta decyzja przyniesie im spore rozczarowanie. Nie zdziwię się, jeśli dokonają cięć

w naszym budżecie. Mam nadzieję, że ci z was, którzy mają tak czułe serca, wzięli to pod uwagę.

Wzmianka o czułych sercach wywołała pomruk niezadowolenia, ale Linda nie zareagowała. Przenosiła wzrok z jednego winnego na drugiego, jakby w pamięci już szykowała listę zwolnień. Czułam się pominięta i bardzo mnie to ubodło. Następnym razem postanowiłam bardziej się postarać. Na koniec Linda zerknęła na Dereka. Nikt się nie spodziewał, że zabierze głos. Sam chyba nawet by nie przyszedł, gdyby nie prośba Lindy.

Teraz jednak szefowa z pewnością żałowała, że nalegała na jego przyjście. W ferworze dyskusji nikt nie zauważył, kiedy Lesley wstała z krzesła i stanęła obok Dereka, opierając nogę na parapecie w sugestywnej pozie. Uśmiechnęła się i wyciągnęła dłoń po papierosa. Derek nachylił się, żeby go jej podać i pod pretekstem utraty równowagi musnął ręką miękką linię jej pupy.

Nie mógł wybrać gorszego momentu. Linda zmierzyła Lesley wzrokiem, który wypaliłby pole kukurydzy, po czym wymaszerowała z sali. Derek podniósł nieszczęsną rękę i pobiegł za nią. W martwej ciszy, która nagle zapadła, słyszeliśmy, jak drzwi od gabinetu Lindy trzaskają, po czym odbijają się od framugi. Linda zaczęła krzyczeć. Nie rozróżniałam słów, ale dobrze wyczuwałam ton. Chwilę później drzwi trzasnęły raz jeszcze, uderzając tym razem w ścianę.

- Więc idź sobie, skoro chcesz! I możesz już nie wracać! - darła się Linda.

- Nie zamierzam - syknął Derek spomiędzy zaciśniętych zębów. - Przynajmniej dopóki się nie uspokoisz. W porządku?

Słyszeliśmy, jak przechodzi przez recepcję, po czym z hukiem zamyka za sobą główne drzwi. Linda powinna uwzględnić wymianę paru zawiasów w następnym budżecie.

Zerknęłam na Lesley. Nadal opierała się o parapet, a papieros, pretekst do flirtu z Derekiem, dogasał jej w palcach. Miała tak zadowoloną minę, jak kot, który właśnie najadł się śmietany.

Kot, który nie widzi dobermana, skradającego się tuż za jego plecami.

5.

Parę dni później skończyłam pierwsze szkice do Córki Rzeczy. Mogłyby być lepsze, ale ja nigdy nie byłam mocna w rysowaniu. W końcu zebrałam się na odwagę i zadzwoniłam do Lucy z telewizji, żeby sprawdzić, czy wciąż chce mnie pokazać w swoim programie. Poniosłam klęskę. Albo miała bardzo zły dzień, pełen wizyt niedoświadczonych managerów jakichś wysztafirowanych wokalistów, którzy zbyt wiele energii poświęcali kreowaniu własnego image'u, żeby jeszcze pisać jakieś piosenki, albo... Albo jednak wolałaby, żebym się nie narzucała.

- Och, Sam, zrozum, jestem naprawdę bardzo zajęta - rzuciła w słuchawkę.

- I nie dałabyś rady wpaść do mnie na minutkę?

- Przepraszam, ale nie - powiedziała równie przepraszającym tonem, jak ten, którego użyła Margaret Thatcher, mówiąc o zatopieniu Belgrano. - Te dwie minuty mamy już zabukowane na kilka kolejnych programów. Ale bądź ze mną w kontakcie, okej?

Omam nie rzuciła mi słuchawkę. Czyżbym nadepnęła jej na odcisk tamtego wieczora w klubie? A może wkurzyła się z powodu Toma i jego narzekań na Jima Morrisona?

Nagle przypomniałam sobie, że od tamtej nocy nie widziałam mojego przyjaciela. Kierując się impulsem sięgnęłam po telefon i wykreciłam jego numer. Podniósł po pierwszym dzwonku, co oznaczało, że właśnie pisał, źle mu szło i tylko marzył o przerwie. Chwilowo pilnował mieszkania kumplowi kumpla, analitykowi, który wyjechał za granicę na pół roku. Tom z przyjemnością wyprowadził się ze swojego pokoju w nędznym, wałącym się domu - o ile w ogóle można tak nazwać ów lokal - do luksusowej piwnicy w Belsize Park.

- To ja - powiedziałam.

- Sammy! Jak leci? - ucieszył się Tom. Brzmiał dość pogodnie, co oznaczało, że jednak odnosi sukcesy twórcze.

- W porządku. Pracowałam nad szkicem do nowej ruchomej rzeźby.

- Rzeczy II?

- Córki Rzeczy.

- A co z tą dziewczyną z TV?

- Raczej kiepsko. Zadzwoiłam do niej, ale dała mi wyraźnie do zrozumienia, że powinnam zagrzebać się w jakiejś jamie i przesiedzieć tam najbliższe pięćdziesiąt lat, patrząc jak rosną mi paznokcie.

- Ten program i tak jest do bani - powiedział lojalnie Tom. - Masz coś innego na horyzoncie, czy wpadłaś w otchłań rozpaczy.

- Nie, w zeszłym tygodniu coś się wydarzyło, tylko zapomniałam Ci powiedzieć. Pamiętasz galerię, dla której kiedyś pracowałam? Ktoś od nich podał moje nazwisko kobiecie, która pracuje jako doradca do spraw sztuki.

- Co takiego? - Tom był wyraźnie oszołomiony.

- No wiesz, ubiera się w kostiumy od Chanel i przekonuje banki, że jeśli postawią w hallu gigantyczną miedzianą rzeźbę nagiej kobiety z nieproporcjonalnie wielkimi cyckami, ludzie uznają, że są wiodącą firmą na rynku.

- Nieźle - pochwalił Tom. - Oni demonstrują klientom swoją wrażliwość na sztukę i jednocześnie mają pretekst, żeby postawić sobie biuściastą gołą babę w publicznym miejscu.

- I w dodatku wszystko odpisują sobie od podatku.

- Niezły interes! Zamierzasz przyprawić parę cycków Córce Rzeczy? A może to będzie Syn z wielkim fiutem? To nadaje nowy wymiar ruchomym rzeźbom...

- Nie wygłupiaj się, Tom, bankami rządzą faceci. Na pewno nie kupią rzeźby z przerośniętym, zwisającym organem.

- Mogłabyś zrobić małego.

- Ale po co? - zapytałam, choć nie spodziewałam się odpowiedzi. - W każdym razie ruchome rzeźby są teraz na topie. Ledwo wymówiłam słowo „wisząca”, natychmiast wzbudziłam jej zainteresowanie. Pewnie wpadnie tu, kiedy tylko wyskrobie chwilę czasu w swoim napiętym terminarzu.

- Lepiej trochę posprzątaj.

- Nie miałabym serca pozbawić jej widoku prawdziwie artystycznego nieładu - zaprotestowałam. - Jesteś zajęty, czy skoczmy na chińszczyznę?

* * *

Parę kroków od piwnicznego mieszkania Toma odkryliśmy bar Kluski i Knedle, gdzie podawano obłędne dania z wyżej wymienionych produktów po rozsądnych cenach. Tym razem na przystawkę zamówiliśmy warzywne knedle z patelni, a potem Tom jak zwykle wziął sobie kluski z kurczakiem i kukurydzą, pychotę, pływającą w rosole. Moim zdaniem był to taki chiński odpowiednik tradycyjnej, żydowskiej zupy z kurczaka - nie brakowało nawet klusek. Ja postanowiłam spróbować czegoś nowego i zażyczyłam sobie knedli z owocami morza w sosie pikantno-kwaśnym. Nasze dania przybyły niebawem w porcjach,

które zaspokoiliłyby zapotrzebowanie owczarka niemieckiego. Poświęciliśmy się radosnej konsumpcji.

- Co słyhać na siłowni? - spytał Tom, dopijając żeńszeniowe piwo, które obok wielu innych zalet, wypisanych na etykiecie, miało również podnosić potencję. Mój przyjaciel gestem poprosił kelnerkę o następne, widocznie uznając, że efekt będzie silniejszy.

- Koszmar - powiedziałam, po czym sama zamówiłam kolejne piwo. - Od tamtego zebrania... Chyba ci o nim opowiadałam, prawda? W każdym razie od tego czasu rzucamy się jak ropuchy w sezonie godowym.

- Czy ten lalusz i jego napalona małolata już wylądowali w łóżku? - spytał elegancko Tom. Pomimo nieco nieszczęśliwego doboru słów, był naprawdę wspaniałym plotkarzem, co stanowi rzadkość wśród heteroseksualistów. Tom zapamiętywał każdą aluzję z twojego opowiadania.

- Nie sądzę. Lesley cierpi na biegunkę słowną i gdyby do czegokolwiek doszło, na pewno by się wygadała w pięć minut po fakcie. Dobry Boże, a co to takiego?

Wyciągnęłam spomiędzy klusek coś, co wyglądało jak wyprodukowana w Hongkongu nakładka na wibrator, wyposażona w specjalne wypustki dla spotęgowania doznań. Była biała i gumowa.

- Wygląda jak nakładka na wibrator - powiedział Tom. Zawsze odbieraliśmy na tych samych falach. - Sprawdź, czy z tyłu nie ma małej nalepki z napisem Made in Hongkong.

- Jesteś obrzydliwy - odparłam, wkładając to coś do ust. Smakowało raczej jak kałamarnica.

- A co ze smoczyką? Pewnie nie jest zachwycona związkiem mięśniaka i tej lali?

Tom nie lubił Lindy, bo była chuda, jasnowłosa i atrakcyjna, ale brakowało jej delikatności i wrażliwości, niezbędnej przy tym typie urody. Mój przyjaciel jest dość staromodny. -

- Ziejże ogniem i pluje siarką, a czego się spodziewałeś? Derek kilka razy usiłował się z nią pogodzić, ale ona nie chce. Wczoraj zmasakrowała go na oczach wszystkich, bo stał w hallu przez cały czas, kiedy ona postanowiła się wyżyć. No i chodzą słuchy, że będzie próbowała przeforsować swoją propozycję w gminie, chociaż została przegłosowana.

- To znaczy chce sprywatyzować siłownię, wypłacać sobie sowitą pensję i zainstalować jacuzzi w gabinecie, obsługiwane przez gromadę nubijskich niewolników w ręcznikach, czy tak?

- Mniej więcej.

- A może to zrobić?

- Skąd mam wiedzieć? Nawet jeśli nie może, to i tak te plotki nie wpływają korzystnie na atmosferę. Groziła, że zwolni niektórych pracowników, wprowadzie chyba bez pokrycia, ale napięcie rośnie.

Tom skończył jeść kluski i rozejrzył się dyskretnie, czy nikt nie patrzy. Wszyscy patrzyli. Mój przyjaciel postanowił to jednak zignorować i wypił resztę rosółu z miski z miną człowieka gotowego na wszystko. W międzyczasie powstało kilka nowych plam na jego niegdyś białym swetrze, ale kelnerka nie wydawała się tym zniesmaczona, przeciwnie, kiedy przyszli posprzątać po naszym posiłku, spojrzała na niego promiennie.

- Ona jest ładna, Tom - zauważyłam pomocnie. - I sądzi, że masz zdrowy apetyt. Zamów jeszcze banana w toffi, a zdobędziesz jej względy.

- Zły kolor włosów - powiedział Tom z żalem.

- Jesteś taki małostkowy. Co mi przypomina... Jak blondynka pisze nazwę swojego koloru włosów?

- Nie wiem.

- Be, el, o... o rany, nie wiem, co dalej.

Tom wybuchnął śmiechem. Właśnie za to go lubię. Tak łatwo sprawić mu przyjemność.

* * *

Facet w szarym garniturze z walizeczką w ręku wyglądał w siłowni jak ksiądz na paradzie gejów. Właśnie przekroczył próg i stanął w miejscu, obserwując zajęcia z twarzą wypraną z jakiegokolwiek wyrazu, jak Helena Bonham Carter, kiedy usiłuje pokazać jakieś złożone emocje. Oczywiście założyłam, że to po prostu jeden z radnych. Ale wtedy i tak było już za późno, nawet gdybym się domyśliła, kim jest naprawdę. On już zobaczył to, co chciał.

Asystowałam Lesley przy południowych zajęciach. Przychodziło na nie około pięćdziesięciu ludzi, przez co jedna prowadząca nie miała szans kontrolować, czy wszyscy dobrze ćwiczą. Moje zadanie polegało na chodzeniu w kółko i dbaniu, żeby nikt sobie niczego nie nadwreżył. Nie przepadałam za tą pracą. Nikt nie lubi, kiedy publicznie zwraca mu się uwagę, więc nieliczni, którzy wymagali mojej pomocy patrzyli na mnie wrogo, bez względu na to, jak bardzo się starałam być taktowna.

Pora obiadowa zawsze przyciągała wielu chętnych, ale Lesley i tak gromadziła masę wielbicieli. Prowadziła zajęcia w radosnych podskokach, ubrana w słoneczne kolory i wiecznie roześmiana i zachęcająca do wysiłku. Doskonale zdawała sobie sprawę, że świetnie uczy i może dlatego odważyła się zdrzeć z Lindą, odbierając jej Dereka. Linda nie chciałaby wyrzucić dobrej trenerki, a nawet gdyby to zrobiła, Lesley bez trudu znalazłaby nową pracę.

Człowiek w garniturze postawił teczkę na ziemi, otworzył ją i wyjął plik papierów, po czym zaczął notować. Uznałam, że ocenia kondycję siłowni. Nagłe oblażąca farba i pęknięcia w ścianach zaczęły mnie bić po oczach i tylko z najwyższym trudem powstrzymałam się od zasłonięcia największej dziury własnym, nonszalancko upozowanym ciałem.

Jednak nikt poza mną go nie zauważył, bo wszystkie oczy były wpatrzone w Lesley. A sama Lesley oddała się całkowicie rzędom zarumienionych twarzy i zachętom, które do nich wykrzykiwała.

Nagle klasnęła w dłonie.

- Hej! Teraz każdy bierze matę!

Zrobiło się zamieszanie, które przypomniało mi szkolne czasy, kiedy musiałam walczyć o kocyk do ćwiczeń, bo w przeciwnym wypadku lądowałam na zimnej podłodze. Na szczęście akurat mat w naszej siłowni nie brakowało, chociaż niektóre miały wystrzępione brzegi. Facet z gminy gorliwie notował. Może wystrzępione maty stanowią zagrożenie dla zdrowia? Lesley z niesłabnącym entuzjazmem poprowadziła dwudziestominutową sesję na podłodze, zacisnęła im brzuchy, zwęziła biodra, rozciągnęła mięśnie i odesłała do domu w szampańskich nastrojach. Musiałam ją pochwalić. Wprawdzie jej radosny styl do mnie nie pasował, ale z całą pewnością świetnie uczyła.

Po zajęciach parę osób podeszło do niej zapytać o radę. Człowiek z teczką podchwycił ich pomysł i ustawił się w kolejce z papierami upchniętymi pod pachą. Właśnie wtedy poczułam pierwsze ukłucie niechęci, chociaż jeszcze nie wiedziałam dlaczego. W końcu jeśli pisał raport o naszej siłowni to nic dziwnego, że chciał porozmawiać z paroma instruktorami. Czemu nie? Ale w jego zachowaniu było zbyt wiele zdecydowania, jakby upatrzył sobie szczególnie Lesley...

Wtedy otworzyły się drzwi i zobaczyłam głowę Lou, jak zwykle przyozdobioną efektownym turbanem. Lou miała dość zaniepokojoną minę i pomachała do mnie, żebym przyszła. Kiedy się zbliżyłam, patrzyła właśnie na Lesley i człowieka w garniturze, który grzebał w papierach i zadawał jej jakieś pytania. Wszyscy pozostali już wychodzili, spiesząc się do pracy albo do dzieci. Nie chcąc blokować przejścia, wycofałyśmy się do recepcji.

- O co chodzi, Lou?

- Ten facet mówi, że jest ze Stowarzyszenia Ochrony Praw Autorskich Muzyków. Słyszałaś o tym?

- Cholera - powiedziałam. - Teraz już tylko łaska pańska może nas uratować.

- Nie rozumiem - odparła niecierpliwie Lou.

- Kiedy puszczasz muzykę w trakcie zajęć, z punktu widzenia prawa powinnaś im zapłacić tantiemę, tym Ochroniarzom Praw Autorskich - westchnęłam. - Albo zamówić specjalną kasetę od firmy, która z góry za to zapłaciła.

- Nigdy o tym nie słyszałam. - Lou była najwyraźniej zaskoczona. - To znaczy, że za każdym razem, kiedy włączasz kasetę, musisz im wysłać kasę?

- Nie, oczywiście, że nie. Nikt tego nie traktuje poważnie. I nikt nie kupuje tych autoryzowanych składanek, bo kosztują fortunę i są podłej jakości. Ludzie robią sobie własne. Derek ma nawet konsolę do miksowania nagrań.

- A co się dzieje, jak cię złapią?

Jak na komendę odwróciłyśmy głowy, żeby spojrzeć na Lesley, która właśnie na własnej skórze doświadczała tego, o czym rozmawiałyśmy.

- Jeśli nie masz dowodu zapłaty, to mogą ci dołożyć grzywnę - powiedziałam niechętnie.

- Ile?

Skrzywiłam się.

- Sporo. Słyszałam, że nawet do tysiąca funtów. Ale prawie nigdy nikogo nie łapią, więc wszyscy po prostu krzyżują palce na szczęście i włączają co chcą. Jeszcze nie słyszałam, żeby ktoś wpadł. Biedna Lesley, co za pech. Dopiero zaczęła tu pracować.

Żadne podejrzenie nie zaświtało mi w głowie, ale Lou spojrzała na mnie wymownie.

- Pech nie ma tu nic do rzeczy, Sam - powiedziała. - Chodzi raczej o odbijanie Lindzie chłopaka.

Popatrzyłam na nią oszołomionym wzrokiem.

- Ten facet już od progu pytał o pannę Lesley Porter. To nie była przypadkowa kontrola. Ktoś podał mu to nazwisko. I powiedz tylko, kto to mógł być, jeśli nie nasza pani i władczyni?

Lou wskazała kciukiem na gabinet Lindy. Rozmawiałyśmy ściszymi głosami, więc szefowa nie mogła nas usłyszeć, ale na dźwięk otwieranych drzwi podskoczyłyśmy jak niegrzeczne dziewczynki z nieczystym sumieniem. Na widok Fliss, która miała bardzo zamyślony wyraz twarzy, obie odetchnęłyśmy z ulgą.

- Co wam się stało? Knujecie jakiś spisek? - zapytała, po czym, wsuwając ręce do kieszeni, zakotłowała się na piętach. Zarówno jej szara, flanelowa marynarka, zarzucona na białego T-shirta, jak i spodnie na szelki wyglądały, jakby pochodziły ze sklepu ze starzyzną. A jednak Fliss mogła nosić takie ciuchy, nie narażając się na śmieszność. Widziałam nawet kiedyś, jak zapala zapałkę, pocierając ją o suwak. Znałam też jej chłopaka, Andy'ego, spotkałam go kilka razy i wydawało mi się, że do niej pasuje. Miał solidną posturę, jasne loki i łagodny głos.

- W takich nerwowych czasach żyjemy - westchnęła Lou, wracając do recepcji. - To nie są specjalnie komfortowe warunki pracy.

Fliss spojrzała na mnie z uniesionymi brwiami.

- Lesley rozmawia z facetem z Praw Autorskich - powiedziałam. - Lou twierdzi, że pytał o nią po nazwisku.

- Linda? - zapytała Fliss, jeszcze wyżej unosząc brwi. - Nie powiem, żeby mnie to zdziwiło. No, Lesley jeszcze nie wie, w jakie bagno wpadła.

W tej samej chwili bagno we własnej osobie ukazało się w drzwiach hali. Wiedziałyśmy, że facet tylko wykonuje swoją pracę, ale to nie wydawało się dostatecznym usprawiedliwieniem. Spojrzałyśmy na niego tak, że omal nie wypaliłyśmy mu dziur w marynarce. Tymczasem on przeszedł obok recepcji i udał się prosto do gabinetu Lindy. Kiedy zamykał za sobą drzwi poczułam słaby zapach wiskozy.

- Pewnie pisze swój raport - powiedziała Fliss.
- Zdarzyło ci się kiedyś coś takiego?
- Nie - odparła, potrząsając głową.
- Ile wynosi kara?
- To zależy od ich humoru - Fliss wzruszyła ramionami.

Lesley wyszła z hali, niosąc pudełko z kasetami. Miała zaczerwienione oczy, ale zaciśnięte usta wyrażały jakieś stanowcze postanowienie. Przeszła obok nas, po czym zbiegła po schodach do piwnicy. Jej nogi w legginsach koloru limonek kołysały się o wiele mniej zalotnie niż zwykle.

- Pewnie szuka Dereka, żeby mu się wyżalić - zadrwiła Fliss. - Może się okazać, że Linda ugryzła więcej niż jest w stanie przełknąć.

- Jeśli Lesley chce znaleźć Dereka, to się rozczaruje. Wyszedł pół godziny temu - rzuciła Lou, siedząca w recepcji.

* * *

Znalazłam Lesley w damskiej przebieralni, bardzo cichej i spokojnej o tej porze dnia. Siedziała zwinięta na ławce i chyba płakała. Żółto-zielony strój, który tak ją rozświetlał, kiedy była w dobrym humorze, teraz eksponował bladość jej twarzy. Nawet oczy otoczone czerwonymi, spuchniętymi obwódkami wydawały się mniej niebieskie niż zwykle.

Przyniosłam jej zastępczą herbatę z zastępczej maszyny z napojami. Dwa razy naciskałam guzik „ekstracukier”. Wszystkim cierpiącym zalecałam zawsze herbatę w godzinach dziennych i wódkę w każdym innym. Chyba tym razem pomogła. Lesley siedziała przez chwilę w milczeniu i już chciałam odejść, zostawiając ją w spokoju, kiedy odstawiła filiżankę.

- To Linda go na mnie nasłała, prawda? - powiedziała cicho. - Facet znał wszystkie dane, moje nazwisko, datę rozpoczęcia pracy...

- Nie wiemy na pewno.
- To była ona. - Lesley wypila łyk herbaty. - Suka!
- Znasz już wysokość grzywny?

Lesley potrząsnęła głową.

- Powiedział, że najpierw musi przejrzeć dokumenty i policzyć, ile tu zarobiłam.

- No, jak na razie nie może być tego dużo - powiedziałam pocieszająco. - Pewnie jakoś się wykręcisz.

Ale myśli Lesley biegły zgoła innymi torami.

- Zazdrosna suka! - wykrzyknęła. - Moim zdaniem to co robi jest żałosne. Tylko dlatego, że się starzeje...

- Linda ma trzydzieści dwa lata! - Usiłowałam sprowadzić Lesley na ziemię. Ale ona tylko skrzywiła usta jak pokrzywdzone dziecko.

- No właśnie! - Lesley zrobiła teraz minę jak plastikowa lalka, która płacze, kiedy założy się jej rączki na plecy.

Jeszcze jedna taka uwaga na temat wieku kobiet i sama zamierzałam wypróbować ten manewr.

- Ma prawo być zazdrosna - zauważyłam. - Ostro się zabrałaś do Dereka.

- To co? On nie jest jej własnością! Nawet Rachel powiedziała, że mogę spróbować. Nie wiem, czemu ty nagle się zrobiłaś taka moralna.

- Rachel ci powiedziała, że co?!

Lesley wzruszyła ramionami.

- Powtarzam, że jeśli Linda nie może utrzymać przy sobie Dereka, powinna go uwolnić. - Oczy Lesley zwęziły się z wściekłości. - Tylko zaczekaj, aż mu o wszystkim opowiem. - Nagle wstała i zaczęła zdzierać z siebie ubranie.

- Tylko zaczekaj, aż mu powiem - wymamrotała do siebie jeszcze raz.

Wstałam i wyszłam z przebieralni. Lesley najwyraźniej nie potrzebowała ode mnie pocieszenia. Usłyszałam dźwięk włączanego prysznica. Zastanawiałam się, czy Fliss nie miała przypadkiem racji. Może Linda rzeczywiście ugryzła więcej niż mogła przełknąć?

6.

Kiedy wróciłam, w domu czekała na mnie wiadomość nagrana na sekretarkę. Dzwoniła konsultantka do spraw sztuki o imieniu Felice Borsch - albo Borsh albo Bortshe. Miała lekki amerykański akcent i chciała przyjść do mnie w piątek o pierwszej po południu. Prawdopodobnie dodała to „po południu” na wypadek, gdybym uznała, że cierpi na bezsenność i prześladowuje ludzi wizytami w środku nocy, żeby porozmawiać o rynku dzieł sztuki. Rozejrzałam się po mieszkaniu z pewnym niepokojem. Może Tom miał rację, że powinnam posprzątać.

Moje mieszkanie mieściło się w wysokiej na dziesięć metrów przybudówce do magazynu w niemieszkalnej, ale za to bardzo brudnej części pomocnego Londynu. Było tanie, ale i tak nie starczyło mi pieniędzy na zainstalowanie luksusowych kuchenek i ubikacji z podgrzewanym siedziskiem, względnie dopasowanych bidetów. Ograniczyłam się do ustawienia zestawu sprzętu kuchennego (czyli kuchenki gazowej i lodówki) w jednym rogu pomieszczenia i oddzielenia go od reszty wyjątkowo obrzydliwym stołem. Śpię na wysokiej antresoli, na którą prowadzi drewniana drabina, dokładnie pod antresolą urządziłam sobie salon (czyli sofę i telewizor) - może dlatego, że dzięki obniżonemu sufitowi jest tam ciepłej. Chociaż zimą wcale mi się tak nie wydaje. Tuż obok salonu znajduje się łazienka, a reszta mieszkania to moja pracownia. Zresztą Felice Bortshe nie musiałyby być Sherlockiem Holmesem, żeby się tego domyślić - wokół wałają się skrawki metalu, drutów, wszelkiego rodzaju narzędzi i plastikowe kontenery z zapasami podobnych surowców. Całość wygląda jak wysypisko śmieci, co ostatnio chyba jest w modzie.

Nie miałam nawet pomysłu, od czego zacząć sprzątanie. Ale przecież Felice na pewno była przyzwyczajona do bałaganiarstwa bohemy, czyż nie? Podobno w dzisiejszych czasach artyści są młodzi, piękni i bogaci, ale to chyba tylko ci, których fotografie drukują w „Vogue”. Jeszcze nigdy nie widziałam uporządkowanej pracowni, chyba że właściciel zajmował się *anal retentives*, a ten rodzaj sztuki cechuje pewne zamknięcie w sobie.

Co powinnam włożyć? To oczywiście było główne pytanie. Wspięłam się po drabinie do buduaru. Pod moim legowiskiem, obok skłębionych mas koców i kap, stało wielkie malowane przepierzenie, które zrobili dla mnie koledzy ze szkoły plastycznej. Przypominało dzieła Keitha Haringa i było trochę za jaskrawe, jak na mój gust, szczególnie rano, ale dawało mi

zastrzyk energii, żeby zacząć nowy dzień. W końcu coś musiało. Za przepierzeniem stał wielki przemysłowy wieszak na ubrania i stos kartonowych pudeł kryjących w sobie moją bieliznę i imponującą kolekcję butów.

W zamyśleniu przeczesywałam palcami wieszaki z ubraniami. Czy powinnam silić się na elegancję, dając tym samym do zrozumienia, że mogłabym się pokazać na wytwornych przyjęciach koktajlowych i czarować potencjalnych nabywców? Zatrzymałam się na skromnej, niebieskiej lnianej garsonce, którą kupiłam na wyprzedaży i jeszcze nigdy nie włożyłam obu jej części naraz. Może nadszedł czas, by to zrobić. Albo raczej powinnam postawić na nonszalancką abnegację i wykazać się nonkonformizmem? To przyszłoby mi bez zbytecznego trudu. Ale co wybrać? Boże, niełatwo jest być artystą.

Po paru minutach doszłam do wniosku, że moje pojęcie o elegancji może się nie zgadzać z gustami Felice. Chyba najlepszym wyjściem byłoby wziąć ją z zaskoczenia, w mojej obcisłej sukience, kabaretkach i skórzanych buciorach z mnóstwem suwaków...

Położyłam się na łóżku, żeby trochę ochłonać. Jeszcze trochę, a dostanę bólu głowy, pomyślałam.

* * *

Rachel stanowczo odradziła mi elegancję.

- Ci ludzie - kochają swoje wyobrażenia o artystach, wiesz? Staraj się wyglądać poważnie i seksownie.

- I co by to znaczyło w terminach ciuchów?

Zacisnęła usta.

- Mogłabyś włożyć te swoje spodnie w trupie czachy.

- Ale chciałam wystąpić w tych butach z suwakami, a jeżeli włożę je do takich spodni, Bortshe pomyśli, że jestem jakąś wściekłą feministką, wyzutą z poczucia humoru. Przecież znasz takie baby. Myślą, że feminizmem można się zarazić jak syfilisem.

- W takim razie buty plus mini.

Siedziałyśmy w małym, przytulnym mieszkanku Rachel, które było mniej więcej tak podobne do mojego, jak księżna Diana do Camilli Parker Bowles. Zostało zbudowane w latach sześćdziesiątych i wyposażone w charakterystyczne szerokie, drewniane klatki schodowe i wielkie okna od podłogi aż po dach w salonie. Mieszkanie Rachel cechowała prostota i elegancja, podobnie jak jego właścicielkę. Czerwone sofy, kremowe dywany, dobrze utrzymane juki... Całość wywierała wrażenie takiej dojrzałości, o jakiej ja mogłam tylko pomarzyć.

- Rachel - powiedziałam, nagle przypominając sobie coś, co nurtowało mnie od dłuższego czasu. - Rozmawiałam z Lesley o tym gościu od praw autorskich. Powiedziała, że zachęcałaś ją do romansu z Derekiem.

Rachel zapaliła papierosa.

- Nie wiem, czy ona jest taka głupia, czy po prostu nie słucha tego, czego nie chce słyszeć - westchnęła.

- W zeszłym tygodniu poszliśmy na drinka i opowiadała mi, jak to podoba się Derekowi. Nie sądzę, żeby myślał o czymś poważniejszym niż jedna noc. Jest zbyt głupia i niedojrzała. Myślałam, że jakoś da jej to do zrozumienia i to załatwi sprawę.

- Czyli jednak ją zachęcałaś.

- Sądziłam, że lepiej, żeby rozczarowanie przyszło wcześniej niż później. Zresztą nie dało się jej powstrzymać, Sam.

- Pewnie masz rację.

- To pewne, że Linda doniosła na nią do tego faceta? - spytała, zmieniając temat.

- Wszyscy tak sądzą, chociaż oczywiście nie możemy nic udowodnić. Kto inny mógł to zrobić?

Rachel wzruszyła ramionami.

- No właśnie, kto inny? - dmuchnęła dymem, przymrużając oczy. - Lesley pewnie łaknie teraz krwi Lindy. Wczoraj nawrzeszczała na nią w gabinecie.

- Lou twierdzi, że Linda zachowała spokój, wszystkiego się wyparła i uprzejmie poprosiła Lesley, żeby nie wpadała w większą histerię niż to możliwe.

- A co na to wszystko Derek?

- Powiedziałabym, że stulił uszy po sobie. Ostatnio rzadko go widuję, a ty?

- Ja spotkałam go parę razy.

- Jeśli Linda zamierza zmusić Lesley do odejścia, to bardzo się rozczaruje. Lesley zamierza zostać i walczyć do końca - powiedziałam.

- Derek nie będzie zachwycony - stwierdziła Rachel.

- On woli ciszę i spokój i nienawidzi babskich scen. Już teraz jest wystarczająco wkurzony na Lindę za całe to zamieszanie.

Rachel zdusiła niedopałek, po czym wstała, wyciągając ręce przed siebie. W czarnych legginsach i krótkim sweterku wyglądała jak gibka pantera.

- Chcesz herbaty? - zapytała rzeczowo.

- Poproszę.

Weszła do małej, uroczej kuchni i nastawiła czajnik.

- Zazdroszczę ci - powiedziała, przekrzykując szum gotującej się wody. - W każdej chwili możesz odejść. To znaczy, z siłowni. Bo kiedy spędza się tam za dużo czasu, w tym małym, skisłym świątku... Niektóre rzeczy wydają się wtedy ważniejsze niż są w rzeczywistości. A Linda zatruwa ci życie najmniejszym drobiazgiem... - umilkła.

- Ty też zawsze możesz odejść. Na pewno znajdziesz pracę.

- Odejść i dać jej wygrać? - spytała Rachel z niedowierzaniem. - Nigdy!

Napełniła dzbanek i przeniosła tacę do salonu.

- To co właściwie włożysz na spotkanie z tą babką od sztuki?

* * *

Myślałam, że to popołudnie zapisze się w mojej pamięci jako chwila, kiedy usłyszałam, że Marks and Spencer zaprzestał produkcji Krwawej Mary w serii koktajli w puszcze. Bardzo mnie to zdenerwowało.

- Dlaczego? - jęknęłam żałośnie, patrząc na sprzedawczynię.

- Zaprzestaliśmy produkcji - powtórzyła ze znużoną miną.

- Ale one były takie popularne! Często nie mogłam ich dostać, kiedy po nie przychodziłam.

Sprzedawczyni obojętnie podrapała się po nosie.

- Oni czasem tak po prostu robią - powiedziała, jakby dzieliła się ze mną ezoteryczną wiedzą na temat rzeczywistości. - Nieważne, czy coś się sprzedaje czy nie.

- A dżin z tonikiem?

- Też zaprzestali. Zostało tylko to, co na tej półce.

To było już zbyt wiele. Te koktajle stanowiły istotny element mojej wizji przyszłości. Jako wzięta, bogata artystka zamierzałam poświęcić się wypełnianiu lodówki samymi puszkami z Krwawą Mary i dżinem z tonikiem. Teraz, kiedy mi je odebrano, czułam, jak pograżam się w otchłani nędzy i rozpacz.

Popatrzyłam ponuro na Pinacolady i Harvey Wallbangery, zastanawiając się, dlaczego sklepy z rozmysłem rezygnują ze sprzedaży rzeczy, które tak lubię kupować. Na przykład aksamitne czerwone szminki Nexta, fasolowe burgery Holland and Barrett... Mogłabym wymieniać bez końca. Wyszłam, obrzucając ochroniarza pogardliwym wzrokiem, po czym poszłam na piechotę do pracy, zamiast złapać autobus. Musiałam jakoś się wyładować.

We wtorkowe popołudnia siłownia rzadko przeżywała nawet gości, ale tego dnia wydawała się wyjątkowo wyludniona. Może fatalna atmosfera wśród pracowników okazała się zaraźliwa.

- Coś tu dzisiaj pusto, nie, Lou? - zagadnęłam inteligentnie.

- Zła aura - odparła poważnie. - Nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie, Sam. Zaczynasz dopiero o wpół do szóstej.

Zerknęłam na zegar. Wskazywał dopiero trzecią trzydzieści.

- Chciałam zrobić zakupy w Camden, ale zmieniłam zdanie - wytłumaczyłam ogólnikowo, nie chcąc obciążać Lou moją koktajlową tragedią.

- Zamierzasz poćwiczyć? - zapytała z niedowierzaniem.

Stosunek Lou do trenowania był wybitnie ambiwalentny. Pracowała u nas ponad dziesięć lat, najpierw jako asystentka w poczekalni dla dzieci, potem jako opiekunka, aż wreszcie awansowała na stanowisko recepcjonistki. Tym samym nigdy nie brała bezpośredniego

udziału w zadziwiającym procesie kształtowania mięśni i chociaż zdawała sobie sprawę, że jej praca polega na zachęcaniu ludzi do ćwiczenia, sama uważała to za absurdalne zajęcie. Na ogół zachowywała się jak tolerancyjna matka, która z pobłażaniem patrzy na swoje nastoletnie dzieci, pochłonięte jakąś dziwną, ale krótkotrwałą modą.

Ta sprzeczność prowadziła do pewnego rozdzielenia osobowości. Jednego dnia wypominała wszystkim niedostateczne zaangażowanie w pracę nad formą, innego wypowiadała samo słowo „trening” z takim samym entuzjazmem, z jakim felietonista „Spectatora” pisze wyrażenie „całonocna szalona impreza”.

- Nie znoszę trenować przed zajęciami - powiedziałam. - Czuję się wtedy zbyt zadowolona i odprężona, żeby rozstawiać ich po kątach z właściwym przekonaniem.

- Jak uważasz. To co będziesz tu robić tyle czasu? Może się napijesz herbaty?

- Jasne. Nie przeszkadzam ci w niczym?

Lou wyciągnęła do mnie idealnie wymanikiowaną dłoń, po czym pomachała nią z wolna, dając do zrozumienia, że nie ma żadnych pilnych zajęć. Po chwili majestatycznie powstała z miejsca, podeszła do szafki w rogu i włączyła czajnik. Tego dnia nie miała na sobie turbana, za to podwinęła sobie i przylakierowała końce włosów. Wyglądała jak Oprah Winfrey, lśniąca i czarna. W uszach błyszczały jej sztuczne rubiny, a czerwoną garsonkę przykrywała mandarynkowa kamizelka. Zarówno marynarka, jak i kamizelka zostały wyposażone w spore poduszki na ramionach, dzięki czemu Lou wyglądała jeszcze efektowniej niż zwykle.

- Nie masz przypadkiem herbatników? - zapytałam z nadzieją. Popełniłam błąd, jedząc na lunch tylko niskokaloryczną kanapkę. Zestaw sera z piklami to bardzo dobra rzecz, ale właśnie zaczynałam sobie zdawać sprawę, że skonsumowałam tylko 67 kalorii.

- Niestety, nie. Zaproponowałabym ci papierosa, ale teraz palenie to ósmy grzech główny.

Lou przyniosła kubki z herbatą i postawiła je na biurku. Przyciągnęłam sobie krzesło, po czym przesiadaliśmy chwilę w milczeniu. Lou należała do tych ludzi, którzy nie odzywają się, o ile nie mają niczego do powiedzenia, więc jej towarzystwo zawsze przynosiło mi ulgę.

Stanowisko pracy Lou zajmowało mniej więcej jedną czwartą powierzchni recepcji. Drzwi od siłowni otwierały się tuż przy jej biurku. Nikt nie mógł wejść nie płacąc albo nie pokazując karty członkowskiej. Naprzeciwko biurka mieściły się schody wiodące do piwnicy i tablicy ogłoszeń, a po lewej drzwi do poczekalni dla dzieci, głównej hali gimnastycznej i toalet na piętrze. Lou panowała nad wszystkim.

- Masz stąd świetny widok - stwierdziłam. - Wszystko widzisz, kto przychodzi, kto wychodzi...

- Ostatnio raczej nie mam na co patrzeć - powiedziała Lou. - To martwa godzina. Zapaliłabym. Szkoda, że o tym wspomniałam, bo teraz mnie nosi.

Wstała, podnosząc torbę, po czym skierowała się w stronę gabinetu Lindy.

- Zaraz wracam.

Popatrzyłam na nią w oszołomieniu.

- Przecież Linda dostanie szau, jak cię przyłapie na paleniu w jej gabinecie!

Lou klepnęła się palcem po nosie.

- Powiedzmy sobie, że panna Gestapo też nie jest wolna od wad. Tę akurat dzieli ze mną. Ja nie donoszę na nią, więc ona nie donosi na mnie.

Lou zniknęła w środku, dokładnie zamykając za sobą drzwi, tak żeby dym nie przedostał się żadną szparą. Nie mogłam powstrzymać uśmiechu na myśl o Lindzie, która w najgłębszej tajemnicy jarała sobie w gabinecie. Zawsze to miło wiedzieć, że wróg też ma swoje słabości.

Przyjrzałam się harmonogramowi, zgodnie z którym następne zajęcia, o szesnastej, prowadziła Rachel., „Joga i stretching dla mam w ciąży”. Co za idiota wymyślił te nazwę? Przecież nie trzeba być w ciąży, żeby być mamą. Ale autor uniknął przynajmniej koszmarnego zwrotu „przyszłe mamy”. Wszystko ma swoje dobre strony.

Lou wynurzyła się z gabinetu z poczuciem winy, ale i zadowoleniem wypisanym na twarzy. Kiedy siadała, główne drzwi otworzyły się z łoskotem i weszła przez nie kobieta, która ewidentnie była mamą w ciąży.

- Nie muszę pytać, na jakie zajęcia pani się wybiera - powiedziała Lou z uśmiechem, podając jej bilet.

- To widać, nie? - ucieszyła się klientka. - Już niedaleko do mety. I powiem pani, że nie mogę się doczekać, kiedy ten mały wreszcie wylezie - powiedziała, kładąc pieniądze na kontuarze. - Jestem pierwsza?

- Zgadza się. Proszę wejść w środku są krzesła, jeśli będzie pani chciała usiąść.

Kobieta udała się w stronę poczekalni. W ciągu kolejnych dziesięciu minut zjawilo się parę innych uczestniczek zajęć Rachel, wszystkie znacznych rozmiarów, ostrożnie stawiające każdy krok, jakby dziecko mogło w każdej chwili wypaść na podłogę. Lou powiedziała coś miłego każdej z nich i absolutnie każda odpowiedziała jej uśmiechem. Widać utrafiła we właściwy ton, ani sentymentalny, ani protekcyjalny. Po chwili z poczekalni zaczęły dobiegać niskie szmery głosów, przerywane od czasu do czasu wybuchami śmiechu. Lou zerknęła na zegar. Dochodziła czwarta.

- Jeszcze pięć minut - powiedziała.

- Pewnie właśnie wymieniają się koszmarnymi opowieściami o porodach - zażartowałam.
- Po co mamy je poganiać?

Lou, matka czworga dzieci, popatrzyła na mnie z dezaprobatą. W tej samej chwili na schodach wiodących do piwnicy ukazała się Rachel, która podeszła do nas i spojrzała na zegar.

- Masz jeszcze chwilkę czasu - poinformowała ją Lou.

- To dobrze, bałam się, że jestem spóźniona. No nic, skoro już tu dotarłam, to chyba zacznę. Jeśli jeszcze ktoś dojdzie, przyslijcie go do mnie.

Rachel zniknęła w sali gimnastycznej, po czym chwilę później zjawiała się ponownie, tym razem niosąc stos mat dla swoich uczennic. Zerwałam się, żeby przytrzymać jej drzwi od poczekalni. Ledwo weszła do środka, głosy ucichły. Wiedziałam, że Rachel coś mówi, ale nie rozróżniałam słów.

Podniosłam plecak i kurtkę z podłogi.

- Dzięki za herbatę - powiedziałam do Lou. - Chyba pójde włożyć rzeczy do szafki. Mogę poświęcić najbliższą godzinę na wymyślanie nowych, potwornie trudnych ćwiczeń dla moich przyszłych ofiar.

- Nie ma za co - odparła Lou. - Wpadnij jeszcze, gdybyś się nudziła.

Schodząc ze schodów omal nie wpadłam na Naomi, która właśnie szła na górę. Miała wyjątkowo wściekłą minę i patrzyła spode łba. Potrąciła mnie, po czym ruszyła dalej, nawet nie przepaszając, i wybiegła z siłowni. Oczywiście trzasnęła drzwiami. Jedna z moich przyjaciółek mawia w takich sytuacjach „Jaka ty jesteś niegrzeczna” i robi to tak potępiającym tonem, że winny nieodmiennie czuje się skruszony. Żałowałam, że sama tak nie potrafię.

Schodząc po schodach, zauważyłam, że Jeff jest w biurze. Siedział przy stole nad jakimiś papierami. Na dźwięk moich kroków obejrzał się, żeby sprawdzić, kto idzie, ale po chwili z powrotem opuścił głowę.

Szafki znajdowały się naprzeciwko wejścia do biura. Powiesiłam kurtkę i wrzuciłam do środka plecak, wyjmując przedtem z niego garść spinek. Jak większość trenerów przychodziłam na siłownię od razu w stroju gimnastycznym, przynosząc ciuchy na zmianę w plecaku. Nikomu nie chciałoby się przebierać dwa razy. Miałam na sobie to co zwykle: legginsy, koszulkę i zapinany top z długimi rękawami, który zdejmowałam po rozgrzewce. Kiedyś był czarny, ale teraz przypominał raczej spalony węgiel, zdarty od zużycia. Na koszulce z przodu widniała kobieca dłoń trzymająca pistolet, a z tyłu dziury po kulach. Całość została opatrzona logo grupy rockowej, którą lubiłam dawno, dawno temu. Już jej nie słuchałam, ale koszulkę zanosiałam niemal na śmierć.

Przekręciłam klucz w zamku szafki. Wisiał na gumowej wstążce, którą mogłam założyć na kostkę i ukryć w fałdach skarpetki. Nie znosiłam, kiedy coś grzechotało mi na przegubach. Zostało mi już tylko upięcie włosów. Ścisnąc spinki w garści ruszyłam korytarzem w stronę łazienki. Po drodze przyglądałam się plakatom na ścianach, reklamującym całodzienne zjazdy fitnessowe, imprezy, makrobiotyczne restauracje i inne podobne rzeczy.

Po lewej minęłam wejścia do dwóch hal, męskiej i żeńskiej. Zza obu par drzwi wydobywał się strumień tętniącej muzyki, co oznaczało, że w środku trwały zajęcia. Linda bardzo surowo pilnowała, żebyśmy oszczędzali prąd, więc nikt nie zapominał o wyłączeniu magnetofonu po wyjściu z hali. Po prawej miałam drzwi od męskich przebieralni, potem toalet, następnie damskich przebieralni, a na koniec damskiego kibelka. Dalej nie było już nic, tylko reszta podłogi, pokrytej wytartym linoleum, która prowadziła pod drzwi

przeciwpożarowe, opatrzone jaskrawymi, zielonymi tablicami, informującymi jak używać gaśnic i nie wpadać przy tym w panikę. Środkowa z nich głosiła „Te drzwi są strzeżone”, a poniżej jakiś dowcipniś dopisał „Uaa, umieram ze strachu!”.

Otworzyłam drzwi do damskiej łazienki. Jedna z kabin była zamknięta - ktoś pewnie już tam siedział. Położyłam spinki na półeczce przed lustrem, po czym upięłam włosy w zgrabną, porządną fryzurkę, która, jak dobrze wiedziałam, po półgodzinie treningu zmieniała się w bezładną masę loczków, sterczących we wszystkich kierunkach. Kiedy skończyłam, uznałam, że skoro już tu jestem, mogę skorzystać z ubikacji. Dopiero siedząc na klozecie uświadomiłam sobie, że kobieta z sąsiedniej kabiny nie wydała żadnego dźwięku już od dobrych pięciu minut. Wydało mi się to dość dziwne. Oczywiście niektórzy ludzie są tak wstydliwi, że nie lubią się załatwiać kiedy inni to słyszą. Ale po pięciu minutach chyba musiałyby się poddać. A już na pewno rozległby się jakiś dźwięk - na przykład odgłos darcia papieru toaletowego albo zdejmowanego ubrania.

Spuściłam wodę, po czym wyszłam z kabiny. Moja sąsiadka nadal milczała. Nie chciałam być impertynencka, ale bałam się, że potrzebuje pomocy, więc ostrożnie zajrzałam pod jej kabinę. Zastanawiałam się, czy mnie zobaczy i czy uzna mnie za wariatkę.

Ledwo zobaczyłam jej nogę, skręconą pod dziwnym kątem w stronę ściany, zrozumiałam, że nie muszę się o to martwić. Wyglądało to tak, jakby głowę miała gdzieś pod muszlą. Gdybym nie wiedziała, że żadna z uczennic Rachel nie schodziła na dół, pomyślałabym, że to jakaś joginka robi sobie rozgrzewkę. Ale ta noga sprawiała dziwne wrażenie... A poza tym czemu nie słyszałam nawet najmniejszego szmeru? I jak długo można siedzieć pod ubikacją w tak niewygodnej pozycji?

Zamek w drzwiach miał czerwony kolor i napis „Zajęte”, na wypadek, gdyby ktoś żywił jakieś wątpliwości. Zapukałam grzecznie, ale nie usłyszałam żadnej odpowiedzi. Już planowałam użyć spinki do włosów w charakterze wytrycha, kiedy postanowiłam spróbować prostszego sposobu. Pchnęłam je mocno, a kiedy poczułam, że ustępują, wzmocniłam napór. Nagle obróciły się na zawiasach i uderzyły w coś z głuchym łomotem. Brzmiało to jak walnięcie w nieprzytomne ciało.

Zupełnie nie miałam ochoty zaglądać do środka. Serce biło mi bardzo szybko, a na karku poczułam ostre ukłucia zimna, chociaż nie wynikało to raczej z faktu, że moja fryzura odsłaniała całą szyję. Jednak skoro zaszłam już tak daleko...

Nie przyszła mi do głowy żadna rozsądna myśl na temat odcisków palców i bezcennych śladów. Przecisnęłam się przez szparę w drzwiach i popatrzyłam na kobietę, która leżała w środku. Była skulona, jakby spadła z ubikacji, a jej ręce i nogi zwiślały bezwładnie na ziemię. Teraz już rozumiałam, dlaczego nie wydawała żadnych dźwięków. Trudno coś mówić, kiedy część twojej twarzy jest zbita na miazgę.

7.

- I co pani potem zrobiła, panno Jones?

- Poszłam do biura, do Jeffa. Kazałam mu iść do Lou i wezwać policję. Następnie wróciłam do łazienki i pilnowałam, żeby nikt tam nie wszedł. A poza tym proszę mi mówić per pani - dodałam dla idei.

- Jest pani pewna, że nikt tam nie wszedł w czasie pani nieobecności?

- Raczej tak. Przez cały czas obserwowałam drzwi do hal i męskich przebieralni, a kiedy rozmawiałam z Jeffem, co chwila wyglądałam na korytarz. Nikt nie wszedł do toalet, z wyjątkiem samego Jeffa, który mi nie uwierzył i musiał sprawdzić na własne oczy. Podobnie jak ja tylko zerknął do środka. Niczego nie dotykał.

- Czyli nie widziała pani nikogo poza panem Robertsem?

- Poza kim? - zapytałam zdezorientowana.

- Poza panem Jeffem Robertsem - powtórzył cierpliwie policjant.

- O, faktycznie. Nie. Nikogo poza nim.

- A przed znalezieniem zwłok, nie spotkała pani nikogo na korytarzu?

- Nie, ale wkładałam kurtkę do szafki i wyciągałam coś z plecaka, więc możliwe, że w tym czasie ktoś wyszedł przez jedne drzwi i wszedł za inne. Chociaż musiałyby to zrobić szybko i cicho.

Popatrzyłam na policjanta, który siedział przycupnięty w rogu z notatnikiem na kolanach. Wyglądał jak profesjonalna sekretarka - miał eleganckie nogi, okryte szarymi spodniami i założone jedna na drugą, a kiedy pisał, ledwo dotykał długopisem papieru. Prędkość, z jaką wyrzucałam z siebie słowa także nie stanowiła dla niego żadnego wyzwania. Po chwili postanowiłam jednak brać oddechy - przynajmniej między zdaniami. Myślałam, że to mnie trochę uspokoi.

- Zrekonstruuemy sobie to popołudnie - powiedział nie znany mi inspektor. Wprawdzie przedstawił się na początku rozmowy, ale nigdy nie miałam pamięci do imion, a znalezienie trupa zawsze nieco odwraca uwagę od przyziemnych problemów. Siedzieliśmy w gabinecie Lindy. Wszyscy obecni na siłowni zostali grzecznie zaproszeni przez policję do poczekalni, gdzie policjant pilnował, żeby nie ustalali między sobą zeznań, a następnie byli kolejno wzywani na przesłuchanie.

Ciężarne matki na szczęście mogły iść do domu, bo zarówno Lou, jak i ja mogliśmy potwierdzić, że żadna z nich nie schodziła na dół. Zostawiły tylko swoje dane, po czym szybko się oddaliły, jedną rękę przyciskając do krzyża, a drugą wyciągając przed siebie jak chodździarze. Całe szczęście, że żadna z nich nie zaczęła rodzić.

- Przyszła tu pani około wpół do czwartej po południu, zgadza się?

- Mniej więcej.

- Skąd pani wie?

- Zarówno Lou, jak i ja spojrzaliśmy na zegar ścienny na zewnątrz.

Usłyszałam pracowite skrobanie długopisu asystenta w kącie. Inspektor popatrzył na mnie surowo. Wyglądał jak typowy policjant: wielki, o nieokreślonej fizjonomii i szarej cerze, którą zawdzięczał niezdrowym posiłkom w oficerskiej kantynie, papierosom i brakowi ruchu na powietrzu. Krawat i garnitur także idealnie wpisywały się w konwencję, a koszula miała wyjątkowo okropny odcień beżu. Obserwował mnie tak, jak naukowiec przygląda się zwierzątkom w laboratorium, kierując całą uwagę na rzeczy, które mogłyby być przydatne w jego dziedzinie badań. Wydawało mi się zresztą, że widzi całkiem sporo.

Dobrze rozumiałam, dlaczego nie spuszcza ze mnie wzroku - zaczęła mi się rozwalać fryzura. Tymczasem w rozmowie dotarliśmy do kluczowego etapu: ustalenia mojego alibi.

- I dlaczego nie poszła pani na dół od razu po przybyciu? - zapytał pozornie obojętnym tonem.

- Miałam jeszcze dwie godziny do zajęć - wyjaśniłam. - Zamierzałam zrobić zakupy, ale zobaczyłam straszny tłum u Sainsbury'ego, więc zrezygnowałam.

Jakoś nie zamierzałam się przyznawać do przeżyć związanych z brakiem Krwawej Mary w sklepie M&S.

- Lou zaproponowała mi herbatę, więc posiedziałam z nią do rozpoczęcia zajęć Rachel - dokończyłam.

- Czyli do czwartej - powiedział, wpatrując się w zadrukowaną kartkę, w której rozpoznałam nasz harmonogram.

- Tak. Zaczęły się kilka minut przed czasem, ale kiedy zesłam właśnie dochodziła czwarta.

- Hm. Kogo widziała pani na dole, pani Jones?

- Jeffa. Jeffa Roberta. Siedział w biurze i coś pisał. Aha, na szczycie schodów zderzyłam się z jedną z członkiń klubu, Naomi. Nie znam nazwiska.

- Czy pan Roberts widział, jak pani schodzi?

Popatrzyłam na niego z wyrzutem. Rozmawiał już z Jeffem i doskonale wiedział, że tak.

- Nie mógł mnie nie zauważyć. Przez szkło widać prawie całe schody, a że stopnie mają metalowe krawędzie, słychać każdego, kto się zbliża.

Zerknął na mnie, po czym wrócił do pracy.

Zatoczyliśmy pełne koło. Inspektor wiedział już, co robiłam potem, ale postanowił przepytac mnie jeszcze raz, na wypadek, gdybym popadła w jakas sprzeczność. Szczególnie interesował go moment, kiedy znalazłam zwłoki. Trzy razy pytał czy dotykałam ciała i trzy razy zaprzeczałam. Nie musiałam niczego sprawdzać - od razu widziałam, że kobieta nie żyje. Potem zapytał, czy Jeff lub Naomi zachowywali się dziwnie. Musiałam przyznać, że Naomi bardzo się spieszyła i miała zamyślony wyraz twarzy. Może to i konieczne, ale zwykle niechętnie mówię policji coś, czego jeszcze nie wie.

Przeszliśmy przez całą procedurę odczytania moich zeznań, po czym złożyłam swój podpis. Asystent-sekretarz miał zadziwiająco atrakcyjny głos. Zresztą wcale nie wyglądał źle. Natychmiast zaczęłam sobie robić wyrzuty za tak nieeleganckie myśli. Szczególnie kiedy popatrzyłam na jego paskudne ubranie. Te szare spodnie z zaprasowanymi kantami przypominały mi ciuchy, które straszyły na tylnych okładkach kolorowych dodatków do niedzielnych gazet. Tych gorszych.

Inspektor zapalił papierosa z miną kogoś, kto czekał na tę przyjemność od pół godziny, a sekretarz zdjął mi odciski palców precyzyjnie, jak gorliwy rekrut, ale trzy razy szybciej.

Potem wyprowadził mnie z gabinetu i poszedł po następną osobę do poczekalni. Wypadło na Lou. Miała bardzo zmęczony wyraz twarzy. Nagle uświadomiłam sobie, że skończyła już pięćdziesiątkę, a przecież zwykle wyglądała tak młodo. Przez chwilę nie wiedziałam co zrobić. Asystent już zniknął w drzwiach.

- Przepraszam - powiedziałam. - Ale czy mogłabym zejść teraz na dół i wziąć kurtkę i plecak? Ciągłe są w szafce.

Policjant pomyślał przez chwilę.

- Nie widzę przeciwwskazań. Proszę zaczekać.

Zajrzał do gabinetu, powiedział coś do inspektora, po czym odwrócił się do mnie.

- W porządku - oświadczył. - Tylko rzucę okiem na zawartość, jeśli pani pozwoli. W przeciwnym wypadku nie moglibyśmy pani stąd wypuścić z tymi rzeczami.

- Jasne. Tylko jeszcze umyję ręce.

Policjant miał niezdecydowaną minę.

- Chce pan popatrzeć? Porządnie szoruję paznokcie.

- Proszę iść - powiedział, potrząsając głową. - Tylko szybko.

Skoczyłam na górę do łazienki i zeskrobałam tyle tuszu z paznokci, ile dałam radę. Wprawdzie usunęłam dość, żeby nie brudzić wszystkiego, czego dotykałam, ale i tak rezultaty mnie nie zachwyciły. Ten rodzaj tuszu najwyraźniej wsiąkał w pory skóry. Przy okazji przypomniałam sobie ostatni raz, kiedy zdejmowano mi odciski palców. Nie była to najmilsza chwila w moim życiu, ale zdecydowałam, że nie będę informować o niczym policji. I tak sami do tego dojdą, w swoim czasie. Gdyby już to wiedzieli, przesłuchiwaliby mnie chyba cały dzień. Liczyłam na to, że kiedy smutna prawda wyjdzie na światło dzienne, pewien znajomy pomoże mi ugłaskać inspektora.

Zeszłam na dół w towarzystwie sekretarza i otworzyłam przed nim szafkę. Przeszukał kieszenie kurtki i zawartość plecaka. Broń, którą została zabita ofiara, leżała w kabinie, więc z pewnością nie szukał jej u mnie. Może miał nadzieję znaleźć jakieś zakrwawione ubrania? Z tej rany z pewnością nie wyciekło zbyt wiele krwi, ale nawet kropla czy dwie wystarczyłyby do celów policji. Zadrżałam.

Na mojej fioletowej, zamszowej kurtce byłoby widać każdy najmniejszy ślad. W plecaku leżał strój na zmianę: ciemnozielony sweter i aksamitne legginsy. Policjant wpatrywał się w nie z dużą uwagą.

- Czy mógłbym panią prosić, żeby się pani w to przebrała, pani Jones? - zapytał. - Chcielibyśmy zatrzymać to, co ma pani w tej chwili na sobie.

Poczułam ból w sercu. To była moja ukochana koszulka. Wiedziałam, że jeśli stanie się dowodem w sprawie, to nigdy jej już nie odzyskam.

- Przecież gdybym ją zabiła, czego nie zrobiłam, to chyba nie mówiłabym jak ostatnia kretynka, że nie dotykałam ciała - zauważyłam. - Kłamałabym raczej, że próbowałam ją podnieść albo przesunąć, bo to wytłumaczyłoby ewentualne plamy krwi. Ale kiedy tam weszłam, ona nie żyła od dłuższego czasu i krew już nie leciała. Mówiłam to panom.

- Bardzo mi przykro - powiedział nieco zbity z tropu, ale nieugięty. - Muszę nalegać.

Przebrałam się i oddałam mu ubranie.

- Chcę to dostać z powrotem - rzuciłam zdecydowanym tonem. - To mój ulubiony strój. Jak pan się nazywa?

- Detektyw sierżant Hawkins - odparł dość oficjalnie. Miał ładne, niebieskie oczy i szerokie bary. Wyglądał nieźle, ale ta szara marynarka mogła ukrywać wszelkie wady figury.

- Zapamiętam to - oświadczyłam, wkładając kurtkę.

- Podoba mi się ten kolor - powiedział nieoczekiwanie. - To znaczy, kolor pani kurtki.

- Och, dziękuję. - Zmierzyłam go wzrokiem. - Skoro o tym mowa, to ten szary kolor niezbyt panu leży. Granat pasowałby chyba lepiej do pańskich oczu.

Założyłam plecak i wyszłam z budynku. Dochodziła siódma. Niebo ściemniało już jakiś czas wcześniej, a latarnie wydawały mi się wyjątkowo pomarańczowe i jasne. Przez chwilę rozglądałam się wokół. Nic poza paroma policyjnymi wozami nie wskazywało na to, że zdarzyło się coś niezwykłego. Ulica była spokojna jak zawsze. Kiedy ktoś zostaje zamordowany, największy szok budzi fakt, że życie toczy się dalej, jak gdyby nigdy nic. To przypomina utratę dziewictwa. Chciałabyś, żeby cały świat zobaczył, jak wielki przełom nastąpił w twoim życiu, ale co z tego, skoro wyglądasz tak samo.

Przed oczami ciągle miałam ciało Lindy, skurczone na toalecie, z głową wciśniętą pod muszlę i martwymi oczami wpatrzonymi w sufit. Krew wypłynęła już z rany na skroni i skleiła jej złote włosy. Twarz była tak blada, że widziałam ciemne muśnięcia różu na policzkach. Kilka kropli krwi spadło na podłogę przed nią, szerokie plamy widniały na

siedzisku i na jej ramieniu, zwisającym tuż obok głowy. Na czarnym rękawie kostiumu Lindy widziałam tylko ciemniejsze plamy, które musiały być mokre w dotyku.

Na podłodze obok leżały srebrne hantle, ustawione porządnie na jednym końcu, tak żeby nigdzie się nie potoczyły. Zastanawiałam się, czy to oznaczało, że morderca umiał się posługiwać sprzętem gimnastycznym - bo każdy, kto uczęszczał regularnie na siłownię odłożyłby hantle właśnie w ten sposób. Drugi koniec, ten, który znalazł się w górze, był lepki od krwi. A zatem nie dość, że członek klubu, to jeszcze jeden z porządniejszych. Nie chciał pobrudzić podłogi.

Nagle odwróciłam się, słysząc jakiś głos za plecami. To tylko puszka po piwie zagrzecotała, turlając się po chodniku. Ku swojemu zażenowaniu zorientowałam się, że automatycznie uniosłam pięści w obronnym geście. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jak bardzo potrzebowałam się napić.

* * *

Zostawiłam samochód w Camden Town, więc ruszyłam piechotą w górę High Street, ciągle oszołomiona tym, co się stało. Wydawało mi się, że na ulicy panuje wyjątkowy ruch, ale możliwe, że wynikało to z mojego zdenerwowania. Każdy szum przejeżdżającego samochodu i każdy odgłos kroków przechodniów zwielokrotniał się w moich uszach i nic nie wydawało się solidne i bezpieczne. Światła samochodów i czerwony neon nad barkiem z kebabem oślepiły mnie tak, że musiałam odwrócić głowę. Wpatrzyłam się prosto w drzwi pubu. Przez wielkie okna zauważyłam znajomy kształt głowy, pochylonej nad kuflem. Siedział sam. A ja tak bardzo chciałam z kimś porozmawiać, że dobrowolnie zdecydowałam się wypić drinka z Jeffem.

Otworzyłam drzwi i podeszłam prosto do jego stolika. Po chwili opadłam na stołek naprzeciwko niego, czując, że drżą mi kolana.

- Hej, Jeff. Policja już cię przesłuchała? - zapytałam tonem, jakim na ogół zagaja się rozmowę. Tylko że wyjątkowo nie pytałam na przykład o pogodę.

Jeff miał wymiętą twarz z zapadłymi policzkami. Siedział dziwnie wtulony we własną kurtkę, której fluorescencyjne plastikowe naramienniki odbijały światło zielonych lamp nad naszym stolikiem.

- Faszystowskie świny - odparł automatycznie. Ta odpowiedź na hasło „policja” była pierwszą rzeczą, jakiej uczyli się wstępujący w szeregi nowych socjalistów. Pomyślałam, że musiało to być nieco męczące, kiedy spotykali się w większych grupach. Ale Jeff miał teraz zbyt wiele zmartwień na głowie, żeby wypowiedzieć się z należytą mocą.

Przypomniałam sobie o drinku.

- Chcesz jeszcze jedno piwo? - zapytałam. - Gorzkie, tak?

- Nie, dzięki - odparł, potrząsając głową.

Jeff na ogół nie odmawiał darmowych drinków, więc uznałam, że musi być w poważnym szoku. Jezu, przecież to ja znalazłam zwłoki, pomyślałam z rozdrażnieniem. Zamówiłam tequilę, po czym wypiliśmy ją w przerwie pomiędzy płaceniem a odbieraniem reszty, więc szybciotko poprosiłam o kolejną. Barman popatrzył na mnie wzrokiem, który wyraźnie mówił, że skoro od razu chciałam podwójną, to dlaczego do cholery nie powiedziałam.

Wróciłam do stolika. Nie mogłam wypić już więcej, bo byłam samochodem, więc starałam się, żeby starczyła mi na jak najdłużej.

- Nic dziwnego, że wzięli cię na pierwszy ogień - powiedziałam. - Miałeś doskonały punkt obserwacyjny i widziałeś wszystkich wchodzących i wychodzących.

- Przekłęte dranie. - Jeff wzruszył ramionami. - Żałuję, że cokolwiek im powiedziałem.

- Przestań, Jeff - powiedziałam niecierpliwie, bo sama podzielałam jego uczucia. - To nie byli policjanci, którzy biją antynazistowskich demonstrantów. Ktoś został zamordowany i oni mają prawo zadawać pytania. Możesz mi zaufać, przecież wiesz, że nie jestem bardzo ortodoksyjną konserwatystką.

Jeff zdawał sobie sprawę, że moje poglądy polityczne nie są tak odległe od jego, ale nie należałam do nowych socjalistów. A dla nich ktoś, kto nie jest członkiem ich partii automatycznie staje się podejrzany. Socjaliści nienawidzą innych lewicowych ugrupowań równie mocno jak zwolenników Margaret Thatcher.

A jednak trochę go to uspokoiło.

- I tak nie widziałem zbyt wiele - powiedział. Nawet nie tknął jeszcze piwa. Coś musiało być nie tak.

- To nieważne. Wiesz kto wchodził i schodził po tych schodach.

Jeff niespodziewanie wbił we mnie wzrok.

- Jesteś czysta. Nie miałaś czasu. Zdążyłam już to sobie przemyśleć.

- Mogłabym zdążyć, gdybym miała przy sobie hantle - powiedziałam wolno. - Wpadłabym po nie na halę dla kobiet, ale ćwiczące musiałyby mnie zauważyć. Nie, musiałabym zgarnąć je wcześniej. Ale skąd bym wtedy wiedziała, że znajdę Lindę w toalecie?

- Wyrobiłabyś się ze wszystkim w pięć minut. Poza tym i tak już nie żyła, kiedy ją znalazłaś.

- Skąd wiesz? - zapytałam nieco zbyt gwałtownie.

- Przecież krew już nie leciała? - Jeff uśmiechnął się, ale bez humoru. - Zdążyła zakrzepnąć. Wszyscy czytamy powieści detektywistyczne, nie? Gdybyś to ty ją zabiła, krew skapywałaby jeszcze na podłogę.

Dziękowałam szczęśliwym gwiazdom, że Jeff poszedł ze mną obejrzeć ciało Lindy. W przeciwnym wypadku miałabym poważne problemy z potwierdzeniem alibi.

- Kogo widziałeś na schodach, Jeff? - powiedziałam wprost.

Ledwo wiadomość o morderstwie się rozniosła, pod łazienką zebrała się grupa ludzi, którzy nie potrafili uwierzyć w to co słyszeli i chcieli sprawdzić zwłoki na własne oczy. Usiłując ich powstrzymać, czułam się jak Horacy broniący mostu. Ale nie mogłam zauważyć, kto dopiero co zszedł na dół, a kto już wcześniej był w piwnicy.

- Dereka, Fliss, Briana, tę dziewczynę, Naomi. No i siebie, oczywiście.

- A Rachel? Ona wcześniej poszła na górę. - Ani przez chwilę nie posądzałam o tę zbrodnię Rachel, ale chciałam, żebyśmy ustalili miejsce pobytu wszystkich podejrzanych.

Jeff potrząsnął głową.

- Widziałem Lindę już po tym, jak Rachel poszła na górę i więcej nie schodziła. Musimy ją skreślić.

- Jesteś pewien?

- Oczywiście, że tak! - warknął Jeff. - Myślisz, że nie zdaję sobie sprawy, jakie to ważne?

- Przepraszam.

Najwyraźniej uraziłam go w czuły punkt. Jeff nie lubił, jak wątpiło się w jego słowa. Prawdopodobnie nieraz wychodził wzburzony z zebrań nowych socjalistów tylko dlatego, że współtowarzysz zakwestionował jego interpretację definicji hegemonii według Engelsa.

- Pamiętam to dobrze, bo najpierw pomyliłem ją z Lesley - powiedział, uspokajając się. - Wiesz, od tyłu wyglądają tak samo, wzrost, kolor włosów. Ale potem Linda odwróciła się, żeby popatrzeć na plakat i poznałem ją po twarzy. To była ona, bez wątpienia.

Popatrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami. Aż do tego momentu nie zastanawiałam się poważnie nad tym, kto zabił Lindę. Ale teraz stało się oczywiste, że Lesley miała najsilniejszy motyw.

- I niemożliwe, żeby to jednak była Lesley? - zapytałam w napięciu.

Wolałabym, żeby to nie był w ogóle nikt, ale skoro Linda nie popełniła samobójstwa...

- Z całą pewnością nie. Nie widziałem tam Lesley. Zresztą nawet gdyby przekradła się niepostrzeżenie obok mnie to i tak nie wróciłaby na górę. Siedziałem tam przez cały czas, a ty i Lou byliście na górze, prawda? Musiałybyście ją zauważyć.

Powoli pokiwałam głową, zastanawiając się nad listą imion, które wymienił Jeff. Fliss, Brian, Naomi, Jeff, Derek. Dostyc wąskie to grono podejrzanych...

8.

- Nikt mi nie wmówi, że Derek zmiotł tej kobiecie twarz - powiedziała Lou z przekonaniem.

- A kto to zrobił, twoim zdaniem? - zapytałam, pochylając się do przodu.

- Nie tym się zajmujemy - wtrąciła niecierpliwie Rachel.

- Problem polega na tym, że policja już doszła do wniosku, że to Derek ją zabił. Dla nich to oczywiste: czarny chłopak, biała dziewczyna, pewnie się pokłócili, a na koniec zadał jej śmiertelny cios...

- Przecież Derek nie musiałby uderzać Lindy hantlami, gdyby chciał jej wyrządzić krzywdę - zaprotestowałam. - Większość ludzi padłaby od jego jednego uderzenia. Ale jeżeli rzeczywiście to on wałnął ją hantlami, to z pewnością świadomie zamierzał ją zabić.

- Ale my nie myślimy, że to Derek jest winien, Sam - zaznaczyła Lou.

- Znam go od wielu lat - powiedziała Rachel z wyrazem bólu w pięknych oczach. - Razem dorastaliśmy. Nie wierzę, że mógłby zrobić coś takiego.

Usiłowałam sobie wyobrazić potężnego, wiecznie wyluzowanego i unikającego wszelkich kłopotów Dereka, jak wkurza się na Lindę do tego stopnia, żeby przyłożyć jej hantlami. Nie, to niemożliwe. Derek nie podejmował walki - instynkt zawsze kazał mu się wycofywać w razie jakichkolwiek trudności. Gdyby Linda zaczęła na niego naskakiwać, po prostu spakowałby rzeczy, wyszedł z siłowni i odczekał, aż się uspokoi. Tak jak zrobił tego wieczoru, kiedy macał Lesley po pupie.

- Martwimy się - ciągnęła Rachel - że policja uprze się przy tej teorii i nie zbada już żadnych innych możliwości.

- Ale jakie dowody mogą mieć? - zapytałam z niedowierzaniem. - Wystarczy, żeby go aresztować?

- Wiedzą, że Derek i Linda ostatnio się kłócili.

- A wiedzą dlaczego?

- Chyba tak. Oby tylko nie przepytali tej kretynki Lesley, bo ona przedstawi to wszystko w jeszcze gorszym świetle, wyłącznie po to, żeby przypisać sobie większe znaczenie.

- Przepytają wszystkich - powiedziała Lou. - Nie są idiotami.

- Mimo wszystko to za mało jak na motyw - zaprotestowałam. Rachel obdarzyła mnie litościwym spojrzeniem.

- Nietrudno przekonać białych ludzi, że czarni często tracą kontrolę nad emocjami, Sam. Zawsze można powiedzieć, że Derek i Linda zaczęli na siebie wrzeszczeć, a potem on stracił panowanie...

- O cholera. - Opadłam na siedzenie, wyęzając wszystkie myśli. Zebrałyśmy się w trójkę u Rachel, żeby zrobić naradę wojenną. Na zewnątrz zaczynał się właśnie piękny dzień, złoty blask wpadał do nas przez wielkie okna, odbijał się od stolika i rozświetlał czerwoną sofę. W powietrzu wisiało zaledwie kilka kłaczek kurzu, co najlepiej świadczyło o tym, jaką gospodynią była Rachel. Zarówno ona, jak i Lou paliły, a nawet ja sama czułam pokusę sięgnięcia po papierosa. Wszystkie byłyśmy zdenerwowane.

Słowa Rachel trafiły mi do przekonania. Kiedy zadzwoniła, żeby mnie tu zaprosić, myślałam, że dramatyzuje. Ale teraz zrozumiałam, dlaczego tak poważnie potraktowała całą sytuację. Wyobraziłam sobie oskarżyciela, jak sadza Dereka na fotelu dla świadków, po czym zmusza, żeby zaprezentował przysięgłym swój wzrost i krzepę. A następnie po prostu odczytuje wymiary i wagę Lindy. I jej kolor skóry. Rachel miała rację.

- Tylko o kim my właściwie mówimy? - zapytałam. - Brian i Fliss nie wydają się bardzo prawdopodobni, oczywiście o ile nie zabili jej z powodu planów przekształcenia siłowni. Ale to raczej nie jest szczególnie porażający motyw morderstwa. Tym samym zostają nam Jeff i Naomi, chyba że o kimś zapomniałam.

Rachel poruszyła się niespokojnie na krześle, jakby to, kto zabił Linde zupełnie jej w tej chwili nie interesowało. Spojrzałam na nią. Najwyraźniej ciężko to wszystko przeżywała. Miała włosy ciasno zebrane w ogon, a jej strój był mniej nieskazitelny niż zwykle.

- Rachel - powiedziałam - dopóki nie dowiemy się, kto jest winny i nie poinformujemy policji, nie mamy szans pomóc Derekowi. Przynajmniej ja nie widzę innej możliwości.

Lou dołała sobie herbaty.

- Ta Naomi była wtedy w fatalnym humorze - zauważyła. - Nie chcę nikogo obrzucać głównem, ale...

- Podkochiwała się w Dereku. - Nagle przypomniał mi się urywek rozmowy, którą podsłuchałam w przebieralni.

- Parę dni temu rozmawiała o nim z przyjaciółką. Słyszałam ją. Z pewnością miała na myśli Dereka. Co ona robiła na dole, kiedy zginęła Linda? Naomi jeszcze nie uzyskała wstępu na siłownię. Nie skończyła kursu wprowadzającego. Sama wiem najlepiej, bo usiłuję z nią trenować. Czemu pozwoliłaś jej zejść?

- Twierdziła, że zostawiła coś w szafce. Ale nie było jej o wiele za długo.

- Jakoś nie wyobrażam sobie, żeby Naomi poczuła taką żądzę treningu. Raczej usiłowała wślizgnąć się na siłownię - powiedziałam sucho. - Musiała szukać Dereka.

- Też tak pomyślałam.

- A zatem prawdopodobnie go znalazła. Brian i Fliss mówili, że trenowali na hali i niczego nie widzieli, tak?

Oboje byli poważnie uzależnieni od wyciskania ciężarów w celu wyrobienia sobie perfekcyjnych mięśni. Bez trudu uwierzyłam, że trenowali całymi godzinami, nie zwracając uwagi na świat dookoła.

- Fliss widziała Lindę kilka razy, jak wchodziła do gabinetu. Pewnie robiła inwentarz i notatki na temat fatalnego stanu siłowni. W końcu musiała jakoś udowodnić dlaczego mielibyśmy podwyższać opłaty bardziej niż zostało to przegłosowane.

- A Brian?

- To samo - odparła Lou, zapalając kolejnego papierosa od poprzedniego. - Mówi, że Linda wchodziła i wychodziła kilka razy. A Derek był już w środku, kiedy Brian przyszedł, ale skończył po jakiejś półgodzinie i udał się pod prysznic.

- W takim razie żadne z nich nie widziało Naomi - powiedziałam do swoich myśli. - A jeśli szukała Dereka i Linda ją na tym przyłapała. Linda była bardzo spostrzegawcza w takich wypadkach. Wiedziała o tym, że Naomi podrywa jej chłopaka i spotykając ją w piwnicy domyśliła się bez trudu, co jest grane. Pokłóciły się, Naomi ją uderzyła... nie, to musiało się stać w łazience. Nikt nie ryzykowałby przenoszenia ciała korytarzem, kiedy Jeff siedział w biurze.

- Chyba że to Jeff ją zabił - powiedziała nagle Rachel, wychylając się naprzód.

- W biurze? To dość ryzykowne przy tych przezroczystych ścianach. Każdy mógł go zobaczyć. Może jakoś inaczej... No, ale o tym pomyślimy później. A zatem rozgląda się, droga wolna, ciągnie ją korytarzem i zamyka w damskiej łazience. Czemu nie w przebieralni? Jest znacznie bliżej? Załóżmy, że nie, bo zauważył w środku Naomi. Wrzuca Lindę do kabiny, zatrzaskuje drzwi, ucieka. Ale przede wszystkim dlaczego miałyby ją zamordować? Skoro wątpimy, czy Brian albo Fliss mogli zabić Lindę z powodu planów prywatyzacji siłowni, to dlaczego Jeff miałyby to zrobić?

- Może odkrył, że Linda zawarła jakiś układ z gminą, za naszymi plecami? - zaproponowała Rachel, choć bez przekonania.

Zastanowiłyśmy się nad tym.

- Nie słyszałaś o niczym podobnym, Lou? - zapytałam.

Potrząsnęła głową.

- Ale to możliwe - powiedziała. - Przepraszam za szczerść, ale wszyscy wiemy, jaka to była suka. Jaki piękny dzień, prawda? - zakończyła, zdejmując kamizelkę, żeby słońce mogło ogrzać jej plecy.

- Dasz mi papierosa? - zapytałam, łamiąc się w końcu. Nawet nie przepadam za paleniem, po prostu czasem nie potrafię się oprzeć. - Nie mam żalu do Naomi, ale jestem pewna, że to ona. Miała okazję i motyw. A poza tym... Spójrzmy prawdzie w oczy. Zważywszy na miejsce zbrodni o wiele łatwiej uwierzyć, że to kobieta ją popełniła.

- Możliwe, że zwłoki zostały tam tylko przeniesione - zauważyła Rachel.

- Mało prawdopodobne. Zarówno z powodu ryzyka, jak i ciężaru ciała. Zresztą to właśnie mnie ciekawi. Zdaje się, że morderstwo zostało precyzyjnie zaplanowane. Chyba że zabił ją Jeff. W końcu w biurze jest sporo zapasowych hantli i pewnie mógłby w jakimś ataku wściekłości porwać jedną i przyłożyć Lindzie. Potem oczywiście musiałby zostawić je przy trupie, żeby ukryć, skąd pochodzą. A Brian i Fliss mogliby zabić ją na jednej z hal, po czym usunąć ciało, by oddalić od siebie podejrzenia. Ale ciągle wracamy do tego samego problemu. W przypadku Jeffa: biuro nie byłoby bezpiecznym miejscem na popełnienie morderstwa. W przypadku Fliss i Briana: ryzyko przenosin zwłok pod okiem Jeffa. Brian musiałby w dodatku bardzo uważać, bo Jeff mógłby zauważyć, jak wychodzi z damskiej toalety i uznać to za dość dziwne.

- To mogło się stać w afekcie - zasugerowała Rachel. - I ktokolwiek ją zabił, myślał tylko o jednym. Jak pozbyć się ciała.

- Niepotrzebnie gadamy tyle o tym motywie - powiedziała Lou ze złością. - Linda po prostu palnęła coś tym swoim ostrym języczkiem, komuś zalazło to za skórę, no i stracił panowanie nad sobą.

Popatrzyła na nas.

- Ona naprawdę potrafiła człowieka przygwoździć, wiecie? - ciągnęła po chwili. - Zawsze trafiała bezbłędnie w czyjś słaby punkt. Założę się, że właśnie dlatego zginęła. Wkurzyła kogoś, kto nie wytrzymał i walnął ją, żeby zamknąć jej usta. Zabójca po prostu... stracił panowanie nad sobą.

* * *

Kiedy jechałam do domu, przed moimi oczami przesuwały się twarze pięciorga ludzi, których widziano na dole w siłowni. Zgadzałam się z Lou i Rachel, że mordercą nie mógł być Derek. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak uderza kogokolwiek, a co dopiero drobną kobietę. A już z pewnością nie zamierzyłyby się na nikogo hantlami, bo wiedziałyby, jaki skutek może to wywołać.

Nie przyjaźniłam się z Derekiem, więc nie mogłam przypisywać sobie głębokiej znajomości jego charakteru. Ale odkąd pracowałam na siłowni ani razu nie słyszałam, żeby podniósł głos, nie mówiąc o jakichkolwiek innych oznakach gwałtownego usposobienia. Z pewnością niektórzy ludzie uczą się opanowywać nerwy do tego stopnia, że zapominają, do czego są zdolni, ale Derek sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie miał czego kontrolować.

A Fliss? Ta wersja też wydawała mi się nieprawdopodobna. Bardzo szanowałam Fliss, to jak przeżywała życie na własnych warunkach i nigdy nie chciała nic od nikogo. Niezależna finansowo, w weekendy i wolne dni prowadziła stoisko na targu w Camden, na którym sprzedawała bric-a-brac. Mijałam je kilka razy i zawsze odnosiłam wrażenie, że nieźle jej

idzie. Nie potrafiłam wymyślić żadnego powodu, dla którego miałybyście chcieć zabić Linde. Wiedziałam, że Fliss bardzo się przejęła planowanymi zmianami na siłowni, ale nie sądziłam, żeby mogła popełnić morderstwo tylko po to, by utrzymać siłownię Chalk Farm w dziewiczym stanie, nieskalanym hańbą wolnego rynku. Nawet gdyby wykryła jakieś ciemne machinacje Lindy, w celu obalenia postanowień naszego zebrania, Fliss raczej zorganizowałaby strajk protestacyjny niż rozwalila jej głowę. Była niezwykle rozsądna.

Także sugestia Lou dotycząca prowokacji ze strony Lindy nie trafiała mi do przekonania. Ze wszystkich osób, które po południu feralnego dnia zeszły do piwnicy w Chalk Farm, właśnie Fliss najtrudniej dawała się wytrącić z równowagi. Gdyby Linda wyjechała z jakimiś złośliwościami, Fliss po prostu kazałaby jej się odwalić i wróciła do przerwanej treningu.

Kandydatura Jeffa wydawała się bardziej prawdopodobna. Wprawdzie plany Lindy i tak nie stanowiły najmocniejszego motywu, ale z pewnością to Jeff najbardziej się nimi przejął. Z łatwością wyobraziłam sobie, jak kłóci się z Lindą, która z pewnością obwinięła go o wyjątkowo złą wolę w kwestii jej propozycji. Nie wątpiłam, że mogłaby się posunąć do osobistych uwag pod jego adresem, a Jeff był niezwykle wrażliwy na osobiste uwagi i bardzo łatwo dawał się sprowokować. A poza tym w biurze stały zapasowe hantle, wystarczyło tylko sięgnąć, żeby kogoś uderzyć.

Nagle uderzyło mnie, że w takim wypadku nie powiedziałaby przecież policji prawdy na temat alibi dla mnie i dla Rachel. Z pewnością wolałaby raczej rozszerzyć krąg podejrzanych niż kogokolwiek z niego eliminować. Zawsze podejrzewałam, że jest trochę zauroczony Rachel, ale dlaczego pomógł także i mnie? To wskazywało na jego niewinność, choć bardzo niechętnie wyciągnęłam ten wniosek. Jeff nadal wydawał się najbardziej prawdopodobnym winnym.

Według Lou i Rachel tylko Naomi była bardziej podejrzana. Ale skąd Naomi wzięłaby hantle? Fliss zauważyłaby, gdyby weszła po nie na halę. A poza tym, trzeba być chyba jeszcze większą idiotką niż Naomi - jakkolwiek niewiarygodnie to zabrzmiało - żeby zaplanować zabicie kogoś w piwnicy, do której jest tylko jedno dojście i w porze dnia, kiedy na siłowni panuje taki spokój, że każdy mógłby cię zauważyć. Nawet gdyby Jeff nie siedział w biurze, to i tak zostałaby jeszcze Lou, która zawsze widziała wszystko i wszystkich.

Dojechałam do domu i zaparkowałam mojego czerwonego, poharatanego forda escorta, do którego byłam bardzo przywiązana, choć nie zdradzał tego jego zaniedbany wygląd, po czym wolno wysiadłam, wciąż obracając w myślach kolejne pomysły i możliwości. Nagle uświadomiłam sobie, że jest czwartek, co oznaczało, że następnego dnia miał być piątek, dzień największego ruchu na targu w Camden. A to bardzo sprzyjało pewnemu planowi, który właśnie się narodził w mojej głowie.

9.

Kiedy się obudziłam, nie potrafiłam od razu stwierdzić, jaka jest pogoda. Jak już wyjaśniałam, światło dzienne docierało do mnie jedynie przez skamieniałą pokrywę ptasich odchodów wymieszanych z miejskim kurzem, które gromadziły się na moich świetlikach od dziesięcioleci. Okna były równie brudne, a w dodatku bardzo wysokie. Jeszcze raz zanotowałam w myślach, że muszę zadzwonić do Janey w sprawie gołębi.

Jeden ze świetlików znajdował się dokładnie nad moją poduszką. Właśnie dlatego umieściłam tu swoją antresolę do spania: uwielbiałam leżeć w łóżku i patrzeć w górę, na niebo. Nie żebym coś widziała - patrz gołębie odchody i in. - ale kiedy padało, krople cudownie uderzały o szybę już nade mną, a ja wtulałam się w ciepły stos koców. Wada tego rozwiązania polegała na tym, że kiedy się budziłam, dźwięk deszczu płynącego niemal prosto na moją głowę działał na mnie często zbyt przygnębiająco, bym mogła wstać, więc chowałam się pod kołdrę i spałam dalej.

Na szczęście w ten piątek akurat nie padało. Wczesna wiosna w Londynie często przysparza wielu pogodowych niespodzianek, a zmiany następują w ciągu pół godziny. Ustalając, co powinnam włożyć, musiałam wziąć pod uwagę wszelkie ewentualności. Kiedy rozważałam swoje plany, doszłam do wniosku, że najmądrzej będzie ubrać się najcieplej, jak się da, w związku z czym wybrałam body z długimi rękawami, skórzane dżinsy, rajstopy, zbyt podarte, by je włożyć do spódnicy, ale zbyt dobre, by wyrzucić, wielki sweter z kapturem, grubą kurtkę, dwie pary skarpetek i martensy. Po chwili wyglądałam już jak ludzik z opon Michelin i z trudem zeszałam po drabinie do pracowni. Uznałam to za dobry znak. Po chwili musiałam iść do toalety i jeszcze raz wszystko poodpinać i pozapinać.

Na targ w Camden dotarłam o wpół do dwunastej. Zaparkowałam samochód w tylnej uliczce, gdzie nie groziła mi interwencja straży miejskiej - jestem przekonana, że gmina chowa strażników razem z wilkami, żeby wzmóc ich naturalną dzikość - a następnie ruszyłam w stronę stoisk skupionych wokół jeziora Camden. Z jakiegoś powodu, znanego tylko sklepikarzom, wszystkie butikiki wzdłuż High Street wyspecjalizowały się w obuwiu, szczególnie czarnym, ze srebrnymi klamrami. Te z obcasami i ostrymi czubkami były dla gotów, a te obłe dla punków i młodzieży alternatywnej. Tu i ówdzie stały też jakieś jaskrawozielone bądź czerwone, prawdopodobnie dla clownów i gwiazd muzyki pop.

Zajrzałam do sklepu, w którym kiedyś kupiłam srebrne, wiszące kolczyki. Już o tej wczesnej porze kręciło się tu sporo gotów z czarnymi, farbowanymi włosami i zielonymi paznokciami. Panie przeglądały wieszaki z sukienkami z PVC, które na plecach miały tylko kilka pasków. Spomiędzy tych pasków powinna wystawać, rzecz jasna, upiornie biała skóra. Całkiem niezłe ciuszki. Przyjrzałam się kolczykom, ale nie byłam w stanie wybrać niczego z takiej masy towaru. Więc wkrótce podszedł do mnie sprzedawca, odziany w długi kilt i koszulkę. Nie chciałam go prosić o pomoc. Miał wielki kolczyk, który przebijał mu nos i opadał na górną wargę. Lubię się uważać za tolerancyjną i otwartą, ale ostatnio, kiedy go spotkałam w tym sklepie, proponował, że pokaże mi wszystkie inne miejsca, które sobie przekłuł i nie wiedziałam, jak mu odmówić, żeby nie uznał mnie za pruderyjną.

Wnętrze było utrzymane w mrocznej tonacji z myślą o bardziej wampirycznych klientach, przez co musiałam kilka razy zamrunąć, zanim znów przyzwyczaiłam się do słonecznego światła. Obok mieściła się wystawa z ogromną lampą z lawy, niebieską z czerwonymi bąblami i uformowaną na kształt rakiety. Zawsze o niej marzyłam, więc przeszłam prędko obok, żeby uniknąć pokusy. Potem powlokłam się chodnikiem, mijając szeregi butów, okularów słonecznych i koszulek. Obeszłam szerokim hakiem dawny sklep z używanymi ciuchami, który teraz wygryzło jakieś kolejne obuwnicze imperium, płacące wyższy czynsz. Camden bardzo się zmieniło w ostatnim czasie i to nie tylko dlatego, że na rynku wyburzono kilka starych budynków i na ich miejsce wybudowano nowoczesny market z malowanymi na zielono metalowymi schodami - duchem z czasów królowej Wiktorii. Nie wątpiłam, że turystom te zmiany przypadły do gustu, ale to chyba najgorsze, co można powiedzieć o jakichkolwiek zmianach.

Przeszłam przez ulicę i przystanąłam na moście, patrząc w dół, na kanał. Woda miała jak zwykle oleistą konsystencję i zielony kolor. W lecie przechodnie kupowali drinki w pubach, po czym przechadzali się wzdłuż strumienia, siadali w słońcu, nasłuchując szumu wody i patrząc na występy ulicznych żonglerów i bardzo amatorskich połykaczy ognia. Z konieczności od czasu do czasu ktoś musiał się upić i spaść do kanału. Nie sądziłam, żeby można się było w nim utopić, ale pięciominutowe zanurzenie mogło spowodować zarażenie większą liczbą chorób niż te, które występują na całym subkontynencie indyjskim.

Na środku tej części rynku mieściła się stara przystań, wokół której biegł rząd stoisk w kształcie litery U. Panował tu duch hippisów: ciężkie, ręcznie robione kubki, malowane w gwiazdki i uśmiechnięte buzie, dzwiczące dzwonki do powieszenia na oknie, które po paru godzinach doprowadzały każdego do furii, farbowane i batikowane ciuchy, turkusowe kolczyki i obrzydliwe, wełniane swetry w kolorach odpadów przemysłowych. Szybko poszłam dalej. Mam alergię na hippisów. Na zakręcie U znajdowało się stoisko z kapelusznami, gdzie wydałam już o wiele za dużo pieniędzy i kolejne, z wielkimi, klekoczącymi, srebrnymi zegarkami, w którym nie wydałam za dużo pieniędzy tylko dlatego,

że nigdy nie umiałam się zdecydować, co chcę kupić. Za zegarkami zaczynało się sklepienie przejście, a w nim, w przytulnym miejscu po prawej stronie było to, czego szukałam.

Fliss znakomicie urządziła swoje stoisko. Większe obiekty oskrzydlały z dwóch stron stolik z mniejszymi, więc każdy, kto do niej zajrzał, zwabiony przez jakiś ciekawy przedmiot, zostawał otoczony przez kuszące towary. Po jednej stronie leżała elegancko ustawiona jak domino sterta skórzanych walizek, niektóre miały nawet etykiety prosto z czasów czarno-białych filmów. Obok stały bakelitowe radia utrzymane w znakomitym stanie.

Fliss stała oparta o mur i sączyła coś ze styropianowego kubka, jednego z tych, które wszyscy handlarze mają po prostu przyszyte na stałe do rękawiczek.

- Cześć Sam - przywitała mnie lakonicznie, nie okazując zdziwienia. Fliss rzadko w ogóle okazywała jakiegokolwiek emocje. To nie byłoby w stylu macho.

- Strasznie mi się podobają twoje rzeczy - powiedziałam, kiedy moją uwagę odwróciło przepiękne, srebrne lustro z inicjałami wygrawerowanymi z tyłu rączki. - Skąd ty je bierzesz?

- Od dealerów w Bermondsey i Greenwich. Ale to wszystko bardzo droższe. Jeżdżę trochę po okolicy i szukam w sklepach ze starzyzną, z używanymi rzeczami... Zdziwiłabys się, ile można znaleźć w takich miejscach

- Andy jeździ z tobą?

- Kiedy może. Ostatnio większość czasu spędza w pracy.

Podniosłam małe, rzeźbione pudełeczko.

- To też jest cudne. Założę się, że w domu masz prawdziwą wyspę skarbów.

Fliss niespodziewanie się uśmiechnęła. Jeszcze nigdy nie widziałam jej uśmiechu, a odejmował jej lat i dodawał urody.

- W porządku - powiedziała szorstko. - Czasem ciężko rozstać się z niektórymi rzeczami. Wystawiam je na sprzedaż i mam nadzieję, że nikt ich nie weźmie.

- Rozumiem. - Niechętnie odstawiłam pudełko. - Właśnie chciałam sobie kupić bułkę. Przynieść ci?

- Chętnie, dzięki.

Podeszłam do najbliższego stoiska z jedzeniem dla hippisów i kupiłam dwa kawałki marchewkowego ciasta z rodzynkami, zawiniętego w papierowe serwetki. Podałam jeden Fliss, po czym wgryzłam się w swoją porcję. Było dość twarde, może z powodu nadmiaru mąki organicznej.

- Poczęstuj się kawą - powiedziała Fliss, wskazując na termos.

- Dzięki - odparłam, nalewając sobie w kubek. Tymczasem jakaś elegancka para właśnie zainteresowała się skórzanymi walizkami.

- Długo cię wczoraj trzymali na przesłuchaniu? - zapytałam, zniżając głos, żeby klienci nie uznali Fliss za pasera.

Wzruszyła ramionami, sącąc kawę. Zauważyłam, że jej kubek został wyposażony w plastikową pokrywkę, w której wykroiła małą dziurkę do picia. W ten sposób zatrzymywał maksimum ciepła. A każda kropla ciepłego napoju się liczy, kiedy stoisz na mrozie przez bitych osiem godzin bez przerwy. Nawet pomimo ochronnego stroju straciłam już czucie w nosie i w uszach.

- Nie było tak źle - odparła w końcu. - Nie miałam wiele do powiedzenia. Cały czas siedziałam na hali. Wyszłam dopiero, jak usłyszałam zamieszanie. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałam Lindę. Nie patrzę na zegar, jak ćwiczę. To bez sensu. Więc chyba im nie pomogłam.

- A Jeff? Był już w biurze, kiedy zeszłaś na dół?

- Tak, pisał jakąś petycję w sprawie siłowni. Chyba przedwcześnie. Tego typu rzeczy mogą zaszkodzić, jeśli się za bardzo pospieszymy.

- Powiedziałaś mu to?

Fliss tylko potaknęła. Nie lubiła marnować słów.

- Ale to na nic. On i Linda nigdy się nie dogadywali. Tylko marzył, żeby wsadzić jej kij między szprychy. Fatalna taktyka.

- Przepraszam - odezwał się pan od eleganckiej pary.

- Czy zechciałyby pani powiedzieć nam, ile kosztują te walizki?

Przeklęłam go w duchu.

- Ceny są na rączkach - wyjaśniła Fliss.

- Ach, to prawda. Dziękuję.

Fliss znowu odwróciła się do mnie.

- Mówiłaś, że... - zaczęłam.

- A co, gdybyśmy wzięli dwie? Rozumie pani, do pary - dodał pan, na wypadek, gdyby Fliss nie rozumiała słowa „dwie”. Miał na sobie starą, tweedową marynarkę. - To znaczy, czy dałaby pani nam jakąś zniżkę?

- Nie na dwie. Może na trzy - odparła Fliss.

Para naradzała się przez chwilę, po czym wystąpiła z ofertą kupna dwóch walizek oraz kuferka na kosmetyki. Fliss zgodziła się na pięcioletnią zniżkę.

- Są ciężkie - powiedziała. - Z najlepszej skóry. Nie nadają się do samolotu.

Dałam jej dużego plusa za moralność.

- Och, nie będziemy ich naprawdę używać w podróży - wyjaśniła dama głosem, który mógłby ciąć szkło. Nosiła aksamitną opaskę na włosy, w stylu dziewczynek z angielskich szkół z internatem. Kolejna blondynka. Żałowałam, że nie umiem przygryzać warg. - Chcemy je zabierać na weekendy na wsi. W lecie, kiedy jeździmy z otwartym dachem. Będą fantastycznie wyglądały na tylnym siedzeniu.

Fliss wzruszyła ramionami, po czym wydała im resztę. Mężczyzna zapakował kuferek do jednej z walizek, po czym podniósł po jednej w każdej ręce i zachwiał się pod ciężarem. Kobieta położyła mu dłoń na ramieniu, więc uznałam, że zamierza mu pomóc.

- Lepiej nie wszystko naraz, Julian - powiedziała. - Pamiętaj o swoim kręgosłupie.

- Pomogę państwu - zaoferowała się Fliss, podnosząc walizki tak lekko, jakby to były damskie torebki. Mężczyzna popatrzył na nią z podziwem, kobieta z pogardą. - Popilnuj mi stoiska, dobrze Sam?

- Jasne.

Fliss zaczęła się przebijać przez tłum, a za nią ruszyli klienci. Chętnie przeszukałabym jej torebkę w celu znalezienia jakichś obciążających dowodów, ale oczywiście miała tylko saszetkę na pieniądze, przymocowaną do paska. Chciałam sprzedać coś pod jej nieobecność, żeby wkupić się w łaski, ale nikt nawet nie przeszedł obok stoiska.

- Kretyni - powiedziała pogardliwie, wracając do stolika. Po chwili wyciągnęła z kieszeni dzinsów mały grzebyczek i przeczesała nim włosy, chociaż i tak były już wygładzone warstwą tłuszczu. Pewnie przejęła ten gest z filmów z lat pięćdziesiątych.

Bałam się, że niełatwo skieruję rozmowę z powrotem na interesujące mnie tory, ale ku mojemu zaskoczeniu Fliss wpadła w niezwykle u niej nastrój, który u każdej innej osoby nazwałabym plotkarskim. Widać fakt, że przed chwilą dostała ponad sto funtów gotówką poprawił jej humor. Mnie by poprawił.

- Żal mi Lindy - powiedziała niespodziewanie, wkładając ręce do kieszeni i opierając stopę o mur. - Bardzo niespokojna, ale taka ambitna. Ostro walczyła o posadę dyrektorki, a kiedy ją dostała wpadła w panikę. Oczywiście wiedziała co robi, była sprawna i tak dalej. Ale ciągle dręczyła ją świadomość, że nie skończyła koledżu, w ogóle wcześniej odeszła ze szkoły. I nigdy nie pracowała w biurze. Sądziła, że ludzie będą ją traktować z góry.

- Nigdy bym nie pomyślała - powiedziałam, unosząc brwi. - Wydawała się tak pewna siebie, jakby prowadziła tę siłownię od lat.

- Najwyżej kilkanaście miesięcy. Zaczęła tu pracować parę lat wcześniej. Szybko się uczyła. Wszystkimi pomiatała, więc uważali ją za twardzielkę. Ale tak naprawdę zamęczała się w pracy i w związku z Derekiem. Szkoda, że go nie rzuciła.

- Derek to niezły łup - zaprotestowałam.

- Nie powinna go była kraść. Wykańczała się, walcząc z tymi wszystkimi panienkami, które go obsiadały. Gra nie warta świeczki. - Fliss urwała i dołała nam kawy. - Dlatego bez przerwy walczyła z Jeffem. Nie znosiła, kiedy ktoś stawiał jej wyzwania. Chciała mieć święty spokój. A on ciągle proponował zmiany. Linda traktowała to bardzo osobiście. Nie rozumiała, że Jeff zachowywałby się tak samo wobec każdego na kierowniczym stanowisku. Usiłowałam jej to wytłumaczyć, ale nic z tego. Więc robiła wszystko, żeby się zemścić. Podkopywała jego pozycję, mówiła, że zajęcia Dereka są bardziej popularne, pytała, czy wciąż pije te swoje

koktajle. Wiesz, te proteinowe. Stek bzdur. No, ale przynajmniej nie sterydy. Już i tak wszędzie jest za dużo tego świństwa.

Pokiwałam głową.

- Ale to by nie wystarczyło, żeby Jeff ją zabił, prawda?

Fliss popatrzyła na mnie zdziwiona.

- Co takiego?

- Przecież ktoś ją zabił, Fliss. Nie ja, i z pewnością nie ty.

Fliss nie wydawała się zbyt przejęta moim ostatnim zapewnieniem.

- W każdym razie nie Derek. Znam go od stu lat. Nie skrzywdziłby muchy - powiedziała.

- Zostają nam zatem Brian, Jeff i Naomi.

- Ta dziewczyna w ogóle nie powinna do nas chodzić. - Fliss zmarszczyła brwi z irytacji.

- Marnuje tylko czas, swój i nasz.

- Ale czy sądzisz...

- Ja nic nie sądzę - ucięła Fliss. - To nie moja działka.

- Popatrzyła na mnie nieprzyjemnym wzrokiem. Kiedy chciała, potrafiła być bardzo surowa. - I nie twoja, Sam. Na twoim miejscu trzymałabym się od tego wszystkiego z daleka.

Już otwierałam usta, żeby odpowiedzieć, ale Fliss minęła mnie i podeszła do nowej klientki.

- Ceny są pod spodem - mruknęła do dziewczyny, która przyglądała się radiom.

Nietrudno było zgadnąć, że nie ma mi już nic więcej do powiedzenia.

* * *

Powlokłam się w stronę Camden Town, dość usatysfakcjonowana rozmową z Fliss. Nie ustaliłam nic konkretnego, ale gdyby Fliss wiedziała coś więcej, policja już by to z niej wyciągnęła. Nie oczekiwałam, że z czymś się wygada. Należała do tego rzadkiego gatunku ludzi, którzy najpierw myślą zanim coś powiedzą. Moje podejrzania dotyczące Jeffa stopniowo się potwierdzały. Cieszyłam się, że Fliss nie wątpi w niewinność Dereka. Zabawa w detektywa przysparzała mi wiele radości, szczególnie że mogłam wpychać nos w cudze sprawy nie dla własnej satysfakcji, a w poczuciu obywatelskiego obowiązku.

Przez chwilę włączyłam się po targu, oglądając stoiska z ciuchami, chociaż było ich mniej niż w weekendy. Wszyscy zawieszali tu swoje towary na długich rurach, które biegnęły przez pół rynku i nigdy nie wiedziałas, co ukaże się twoim oczom za zakrętem.

Nigdzie nie widziałam faceta, który sprzedał mi lamparci płaszcz, ale nie zmartwiło mnie to, bo i tak nie miałam już pieniędzy. Usłyszałam dudniącą piosenkę Pearl Jam, wydobywającą się z wielkich głośników przy stoisku z pirackimi nagraniami najnowszych albumów i koncertów, popakowanymi w jaskrawe, fluorescencyjne pudełka. Na rogu stała buda z samosa i wegetariańskimi hamburgerami, bez których aromatu Camden straciłoby

wiele ze swojej charakterystycznej atmosfery. Pokusa okazała się nie do przewyciężenia. Przejrzałam jeszcze parę wieszaków i ogłosiłam kapitulację na widok srebrnej minispódniczki, która wyglądała, jakby po kilku włożeniach mogła rozpaść się na części. Całkiem w porządku jak za sześć i pół funta.

Wszędzie wokół wisiały futra z owczej skóry, co wskazywało na jakiś nowy trend w modzie. Prześlizgnęłam się obok szeregu wieszaków, które nadawały temu miejscu charakter i wygląd afgańskiego bazaru z biednych dzielnic Kabulu. Usiłowałam nie dotykać ubrań, żeby się czymś nie zarazić. Niespodziewanie po chwili przedarłam się na ulicę i stanęłam twarzą w twarz z dziewczyną, która właśnie macała palcami kłapy długiego płaszcza zrobionego z jakiejś wyjątkowo niezdrowej owcy. Zerknęła na mnie z błyskiem zaskoczenia w oku.

- O, hej - powiedziała.

Poznałam ją od razu. To była przyjaciółka Naomi, cierpiąca na cellulitis.

10.

Nie mam zwyczaju wyśmiewać się z ludzi dotkniętych cellulitis, sama nie jestem odporna na jego ataki. Ale tę dziewczynę widziałam tylko jeden raz w życiu i to akurat w chwili, w której właśnie masowała sobie charakterystyczne krostki na tyłku. Najwyraźniej jednak ona zapomniała o tej okoliczności, bo uśmiechała się do mnie bez cienia zażenowania.

- Spotkałam cię kiedyś na siłowni. To ty musisz być Sam i uczysz ćwiczeń z hantlami, racja?

- Zgadza się.

- Ja jestem Cath. Moja kumpela Nao, to znaczy Naomi, chodziła na twoje zajęcia. Mówiła, że potem nie mogła się ruszyć przez tydzień.

- Na początku zawsze jest trudno...

- Och, nie przejmuj się. Ona zawsze przesadza. Ja wiem najlepiej, to moja najlepsza przyjaciółka. Poza tym, właśnie Naomi zaciągnęła mnie na waszą siłownię.

Cath miała szczupłą twarz ze szpiczastą brodą i kartoflowatym nosem. Nie nosiła makijażu, a jej jasnobrązowe brwi i rzęsy wyglądały jak cienie na tle pozbawionej koloru twarzy. Była uczesana w dwa krótkie warkoczyki, związane wstążkami - fryzura na przedszkolaczkę najwyraźniej święciła tryumfy w tym sezonie. Do Cath zresztą nawet pasowała, bo wyglądała w niej na najwyżej dwadzieścia lat, a figurą przypominała dwunastolatkę. Jej malutka, skurczona w praniu koszulka obciskała równie malutki i skurczony biuścik. Całości stroju dopełniały workowate džinsy i króciutka kamizelka. Może Cath należała do tych ludzi, którzy nigdy nie czują chłodu.

- Okropne, co się stało Lindzie, nie? - ciągnęła Cath. - Policja nawet przesłuchała wczoraj Naomi.

- Naprawdę?

- No! Przyszło takich dwóch facetów. Naomi chyba była na dole, kiedy ona zginęła, prawda?

Oczy Cath błyszczały z podniecenia. Musiała być zachwycona, że ma przyjaciółkę, która jest wplątana w morderstwo. Postanowiłam zakasować ją własnym - niemałym - powodem do chwały.

- To ja znalazłam zwłoki - rzuciłam niedbale.

- Och ty w życiu! - sapnęła, kiedy już zamknęła z powrotem usta. - I jak wyglądały? Oni nie chcieli nic opowiedzieć.

- Miała zmiażdżoną połowę twarzy - oświadczyłam.

- Było dużo krwi? - zapytała podekscytowana. - Mój chłopak czyta wszystkie pisma z reportażami o zbrodniach. Chyba padnie z wrażenia, jak mu to opowiem.

- Nie, kiedy tam przyszłam, rana już nie krwawiła.

Cath przybrała zawiedziony wyraz twarzy.

- Aha, racja, znaczy, że nie żyła już od jakiegoś czasu. Och, Darren będzie zachwycony.

- Mam nadzieję, że policja nie wymęczyła za bardzo Naomi? - Zrzuciłam przynętę.

- Nie rozumiem?

W tym samym momencie obok przetoczyła się banda sobowtórów Kurta Cobaina, poszukujących owczych płaszczy. Usunęłyśmy się z drogi. Już się bałam, że to sprowadzi Cath z tematu naszej rozmowy, ale nie, na szczęście nadal wbijała we mnie zaciekawiony wzrok. Każda przesłuchiwana powinna mieć chłopaka, maniaka kryminalistyki.

- Przecież ona jest jedną z podejrzanych - zauważyłam, na co oczy Cath rozszerzyły się do rozmiaru spodków. - Przynajmniej teoretycznie - dodałam, naginając nieco prawdę. - Podobnie jak ja.

- Ale czemu Nao miałyby zabić Lindę... - zaczęła Cath, zamierającym głosem. - Znaczy... W końcu jest koniec dwudziestego wieku, nikt nie zabija kogoś tylko dlatego, że podoba mu się jakiś chłopak. To byłoby naprawdę głuu-u-pie.

- Masz na myśli Dereka?

Cath popatrzyła na mnie bezczelnie.

- Wiesz, nie tylko Nao się do niego podwalała. Sama miałam na niego ochotę. A wszyscy wiedzą, że Derek raczej się nie oszczędza w tych sprawach, nie? Linda także.

- Hm. I nie była tym zachwycona.

- No, ale to już jej problem.

- A jednak Naomi znalazła się wtedy na dole - powiedziałam z nutą zastanowienia w głosie. - Ciekawe, co tam robiła? W końcu nie skończyła jeszcze zajęć przygotowawczych i nie mogła samodzielnie korzystać z siłowni.

Cath cmoknęła z łobuzerskim uśmieszkiem.

- Głupia krowa pewnie łąziła za Derekiem. Nietrudno się tego domyślić.

- Mam nadzieję, że nie powiedziała tego policji?

- Nieee, spokojna głowa. Znaczy, przecież nie jest totalną idiotką, nie? Powiedziała, że zostawiła coś na dole i poszła tego poszukać. Na szczęście nie pytali jej, czemu szukała tego w męskich przebieralniach! - Cath zachichotała. - Chciała go przyłapać z opuszczonymi spodenkami. Pewnie jest na co popatrzeć.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

- I jak, zobaczyła, co chciała?

- Nie wiem. Coś się wydarzyło, ale raczej nie chciała o tym gadać.

- Widziałam, jak wraca na górę. Była strasznie wkurzona.

- Taa. - Cath wzruszyła ramionami. - Może do niczego nie doszło. W końcu seks pod ścianą w damskiej przebieralni, kiedy twoja dziewczyna w każdej chwili może cię nakryć, to coś w stylu „Fatalnego zauroczenia”, nie? Chociaż z drugiej strony coś musieli zrobić - westchnęła. - Naomi bywa strasznie głupia. - Jak zwykle przeciągnęła słowo „głupia” tak, że powstały trzy sylaby, wszystkie ociekające pogardą. - Znaczy, jak widzisz kogoś takiego jak Derek, to od razu wiesz o co chodzi. On już ma dziewczynę, która przypadkiem jest dyrektorką siłowni, na której pracuje. Więc chyba nie zamierza sobie robić kłopotów, nie? Jeżeli wyraźnie mu się coś proponuje, to okej, pewnie nie odmówi. Ale nawet jak już powie tak, to nic specjalnego z tego nie wynika. A Nao myśli, że seks od razu coś znaczy. Kretynka. Tyle razy próbowałam jej tłumaczyć... - Cath zerknęła na zegarek. - Cholera. Muszę lecieć. W tym tygodniu jem późny lunch, ale późny to nie znaczy bardzo późny.

- Gdzie pracujesz? - spytałam, odprowadzając ją do metra. Chociaż niby przejęła się swoim spóźnionym lunchem, to nie aż tak, żeby przyspieszyć kroku.

- W Satins na High Street. Jestem fryzjerką.

- Serio? Mogę o coś spytać?

Wzruszyła ramionami.

- No?

- Sądziś, że powinnam rozjaśnić włosy?

- Czemu nie? - powiedziała, przyglądając mi się uważnie. - Ale najpierw musisz je obciąć.

- Okej.

- Wpadnij do nas. Zrobię ci to raz-dwa. A potem zrób sobie języka. Mnóstwo ludzi teraz tak chce. Mogłabym cię fajnie przyciąć.

- W takim razie przyjdę, jak już się zdecyduję.

- Jak chcesz, to mogę tylko podciąć - zaproponowała. - Chętnie pomajstruję przy twoich włosach.

- Dzięki.

- W takim razie do zobaczenia.

Pomachała mi, po czym przeszła na drugą stronę. Z odległości sprawiała wrażenie malutkiej, ale w żadnym razie nie kruchej. Była twarda jak bat.

Przez chwilę zastanawiałam się, która to może być godzina. Wreszcie zerknęłam na zegarek. Dwunasta czterdzieści. No, nie tak źle. I wtedy przypomniałam sobie, że jest piątek.

Co oznaczało, że dokładnie dwadzieścia minut dzieliło mnie od spotkania z Felice Bortshe.

* * *

Przynajmniej szalone tempo, w jakim wracałam do domu uchroniło mnie przed dalszym roztrząsaniem sprawy stroju. Ledwo zdążyłam się trochę podmalować, kiedy usłyszałam dzwonek do drzwi. Punkt pierwsza. Myślałam, że nie powinno się przychodzić punktualnie na żadne spotkanie. A może to dotyczyło tylko przyjęć? Błyskawicznie włożyłam wiszące, srebrne kolczyki i ruszyłam do drzwi, rozglądając się po mieszkaniu. To był błąd. Ale pocieszałam się, że przynajmniej nie ma żadnych brudnych talerzy w zlewie. Chyba że...? W ostatniej chwili powstrzymałam się od kontroli kuchni, po czym otworzyłam drzwi.

- Hej! - powiedziała Felice Bortshe, ubrana w błękitny kostium ze złotymi guzikami i szpilki. W swojej wymuskaney fryzurze wyglądała, jakby właśnie urwała się z „Dynastii”. Miała wspaniały makijaż i serdeczny uśmiech.

Kontrast pomiędzy nią a mną, nie wspominając już o stanie mieszkania, przyprawiał mnie o drżenie. W panice chciałam zamknąć jej drzwi przed nosem i rzucić się z płaczem na łóżko.

- Ty pewnie jesteś Sam! - ciągnęła.

- Tak, eee, to prawda, może pani wejdzie? - powiedziałam, skupiając wszystkie siły, żeby nie zacząć jej przeproszać za bałagan. Gdybym zaczęła, chyba już bym nie potrafiła przestać.

- Jakie świetne mieszkanie! - Felice Bortshe najwidoczniej nie uznawała innych znaków niż wykrzyknik.

Wyciągnęła do mnie rękę. Niechętnie podałam jej swoją, która nagle wydała mi się wyjątkowo brudna i niehigieniczna. Jednak Felice uściśnęła ją tak mocno, że zobaczyłam gwiazdy przed oczami. Musiała mieć prawdziwe paznokcie, bo tipsy by czegoś takiego nie wytrzymały.

- Hm, może... Może napije się pani herbaty? - zaproponowałam.

Felice roześmiała się, odsłaniając idealnie białe zęby.

- Uwielbiam to! Ten angielski styl! Nie, bardzo dziękuję. Tak brzmi prawidłowa odpowiedź?

- Tak, yyy, w pewnym sensie...

- Tutaj śpisz? - spytała, wskazując ręką na moją antresolę. - Ja bym umarła ze strachu. Taka malutka drabinka!

Była bardzo przyjacielska, ale za nic nie mogłam pojąć dlaczego. Co ty tu robisz, zapytałam w myślach, czemu jesteś taka uprzejma? Czemu nie powiesz szczerze: „Rany, ale chlew!” i nie zostawisz mnie, żebym zgniła we własnej pleśni? Felice właśnie przechadzała się po pracowni, a ja z najwyższym trudem powstrzymałam się, żeby nie ruszyć za nią i nie zasłaniać plecami wszystkich miejsc, które mogły nie pasować do jej standardów czystości. Ale w tym celu musiałabym się chyba rozdwoić.

- A to pewnie ta ruchoma rzeźba!

- Eee, tak - mruknęłam. A co, myślałaś, że to bojler?, powiedziałam do siebie. Czemu ludzie uważają, że w dobrym guście jest uporczywe wygłaszanie oczywistych stwierdzeń.

Przekrzywiła głowę, przyglądając się Rzeczy, po czym okrążyła ją wprawnym ruchem, jak dobrze wytrenowany rekin. Usunęłam jej z drogi trochę narzędzi. Nie chciałam ponosić konsekwencji, gdyby przewróciła się na tych swoich dwunastocentymetrowych obcasach.

- I jak ją nazwałeś?

- Yyy, ona jeszcze nie ma... tak w sumie...

- Nieodkryta Planeta! - wykrzyknęła tryumfalnie Felice, obracając się przez ramię, by na mnie spojrzeć. - Fantastyczna!

- Naprawdę pani tak uważa?

- Ruchome rzeźby to teraz wielka sprawa - powiedziała z charakterystyczną powagą, z jaką wypowiada się rzeczy znane tylko wtajemniczonym. - Naprawdę wielka.

Jeszcze raz rozejrzała się po mieszkaniu, przesuwając wzrok jak światło reflektora po stertach narzędzi, kabli, metalu i różnych różności zalegających na podłodze. Przez chwilę niemal widziałam, jak każdy przedmiot na chwilę wydobywany jest z mroku i poddawany badaniu. Błagam, nie patrz tam, pomyślałam. Naprawdę chciałam to posprzątać. Szczerze.

- To takie prawdziwe - powiedziała z aprobatą. - Serio! Powinnaś poznać mojego syna, Jake'a. Podobałoby mu się to. Anglicy kochają bohemę, nie sądzisz?

Nawet zaczynałam ją lubić. Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby ktoś ładniej wyraził słowa „Ale śmietnik”.

- No, ja...

- Masz przedstawiciela?

Tylko potrząsnęłam głową.

- No, nic nie szkodzi. Musisz się spotkać z moim przyjacielem, Duggiem Suttonem. Co robisz w przyszły poniedziałek? Zaraz, jeszcze sprawdzę... - zanurzyła dłoń w błyszczącej torebce, po czym wydobyła z niej elektroniczny notesik. Przez chwilę przytkała jednym paznokciem w różne małe guziczki, po czym popatrzyła na mnie z satysfakcją. - Tak, w poniedziałek! Wpadnij. Duggie robi małe przyjęcie u siebie w mieszkaniu. Zaraz zapiszę ci adres.

Wrzuciła z powrotem notesik i zamiast niego wyjęła zeszyt, w którym po chwili znalazła pustą kartkę. Błyskawicznie coś na niej zanotowała, po czym wydarła ją i wsadziła mi w dłoń. Papier był szary, marmurkowy i z pewnością bardzo drogi.

- Aha, i jeszcze dam ci swoją wizytówkę...

Tym razem wymieniła zeszyt na złoty wizytownik. Sprawnym gestem wydobyła jeden kartonik i podała mi go z uśmiechem.

- Pracujesz teraz nad czymś?

- Tak, właśnie... Tutaj mam projekt - powiedziałam, wskazując na kuchenny stół. Felice podeszła do mnie, stukając szpilekami. Po drodze z gracją wyminęła maskę spawalniczą i dwie pary mocno używanych rękawic. W końcu z dużym zainteresowaniem pochyliła się nad rysunkami Córki Rzeczy.

- O tak, to bardzo nowoczesne - powiedziała. - Tylko czy to będzie duże? Rozumiesz mnie, naprawdę duże? Wiesz, takie... wielkie?

Popatrzyłam na nią nic nie rozumiejącym wzrokiem. Nie wiedziałam, co chce usłyszeć.

- No, może być... - zaczęłam dyplomatycznie.

- Mam na myśli - Felice rozłożyła szeroko ręce - tak duże.

Nagle załapałam, co miała na myśli, mówiąc, że ruchome rzeźby to wielka sprawa.

- O, zdecydowanie - oświadczyłam stanowczo. - Myślałam o czymś naprawdę dużym. W sumie to nawet ogromnym...

- Znakomicie! - Felice obdarzyła mnie oślepiającym uśmiechem. - No, to brzmi bardzo obiecująco. Zobaczymy się w poniedziałek, tak? Nie mogę się doczekać, kiedy poznasz Duggiego!

Odprowadziłam ją do drzwi. Na progu zatrzymała się na chwilę, obrzucając mnie uważnym spojrzeniem, od kaptura na głowie po martensy na stopach.

- Aha, jeszcze jedno, Sam - powiedziała. - Klienci, których reprezentuję... Wiesz, oni naprawdę kochają artystyczny styl, ale z niczym nie należy przesadzać, rozumiesz. Jesteś ładna dziewczyna! Czemu nie pokażesz figury? Kup sobie jakąś ładną sukienkę na poniedziałek. Pomyśl o tym jak o inwestycji! - Uśmiechnęła się do mnie w niemal matczyzny sposób. - Wiesz, przypominasz mi mojego Jake'a. Wiem, że wy młodzi macie własne zdanie w każdej sprawie! Ale zaufaj mi, ja znam swój rynek. Może będzie ci najładniej w czerwonym?

Jeszcze raz uściśnęła mi dłoń, po czym zniknęła. Chwiejnym krokiem odeszłam od drzwi. Teraz już wiedziałam, czemu ofiary trąby powietrznej są zawsze takie oszołomione. Jak w transie popatrzyłam na dwa kawałki papieru, które trzymałam w ręku. Na jednym widniało nazwisko Duggiego Suttona, adres w pobliżu Holland Park i notatka „szósta do piątej”, na drugim czarny napis „Felice Bortshe, konsultant” i nowojorski adres. Wsadziłam oba do kieszeni dzinsów.

Wciąż oszołomiona, popatrzyłam na Rzec. Pewnie powinnam się nauczyć nazywać ją Nieodkrytą Planetą. Ciekawe, jak nazwą Córkę Rzeczy, jeśli klient Felice kiedykolwiek zleci mi, żebym ją zrobiła, pomyślałam.

Po chwili rozległ się dzwonek do drzwi. Cofnęłam się o krok. Boże, oby to nie była znowu Felice, jeszcze nie odzyskałam sił po ostatnim spotkaniu, przemknęło mi przez głowę. Muszę teraz poleżeć przez parę dni w absolutnej ciszy i natychmiast zacząć się przygotowywać psychicznie do poniedziałku.

Podeszłam do drzwi, żeby wyjrzeć przez judasza, który niedawno zainstalowałam. Natychmiast, kiedy zobaczyłam, kto dzwoni, poczułam przyływ ulgi.

- Już idę! - krzyknęłam radośnie.

To był ten sekretarz-policjant, tym razem w nieprawdopodobnie brzydkiej brązowej, skórzanej kurtce. Westchnęłam z żalem nad takim marnotrawieniem przyzwoitego materiału. Za to jego oczy wyglądały wyjątkowo niebiesko.

- Sierżant Hawkins - przedstawił się dość oficjalnie. - Czy zechciałaby pani podejść na posterunek, żeby odpowiedzieć na parę dodatkowych pytań?

- Z przyjemnością - odparłam rozkosznie. - Mam iść natychmiast?

- Jeśli nie będzie to dla pani kłopot... - Sierżant miał dość zdezorientowaną minę. Ludzie na ogół chyba nie reagują entuzjazmem, kiedy w drzwiach zjawia się policjant, żeby zabrać ich na przesłuchanie.

- Żaden problem - powiedziałam z promiennym uśmiechem.

Sierżant patrzył gdzieś ponad moim ramieniem. Poszłam za jego spojrzeniem, które wiodło aż do Rzeczy.

- Podoba się panu?

- Pani sama to zrobiła? - zapytał z zamyśloną miną.

Gestem wskazałam mu narzędzia, leżące na podłodze. Teraz, kiedy Felice już wyszła, mieszkanie znowu wyglądało zupełnie normalnie.

- Jak pan widzi - dodałam.

- Bardzo dobre. Mocne - oświadczył, kiwając głową.

- Dziękuję! - prawie już wróciłam do formy. Nie ma to jak policjant z zacięciem krytyka sztuki, żeby odzyskać pewność siebie. - Tylko skoczę po kluczyki.

- Och, proszę się nie martwić - powiedział nieco zbyt nonszalanckim tonem. - Mogę panią potem podrzucić.

Uniosłam brwi. Albo nie miał co robić - raczej mało prawdopodobna możliwość - albo liczył na to, że przemagluje mnie dodatkowo w czasie jazdy tam i z powrotem, albo chciał jeszcze raz obejrzeć sobie Rzecz, albo... Cóż, widziałam wiele wytłumaczeń.

Cieszyłam się, że jestem umalowana. Świadomość, że mam szminkę na ustach zawsze jakoś mi pomaga w czasie oficjalnych przesłuchań.

Zamknęłam za nami drzwi.

- Chciałabym ją nazwać Nieodkryta Planeta - powiedziałam, schodząc po schodach. - Co pan o tym myśli?

11.

Pokoje przesłuchań są zazwyczaj brzydkie i ten nie stanowił wyjątku. Na szczęście sierżant Hawkins wydatnie podniósł jego walory estetyczne, zdejmując swoją straszliwą kurtkę. Właściwie samo słowo kurtka stanowiło zbyt wielki zaszczyt jak dla tej szmaty.

Detektyw inspektor Monroe palił właśnie papierosa i zaproponował mi herbatę, co prawdopodobnie oznaczało, że usiłuje mnie zmiękczyć przed przesłuchaniem. Odmówiłam, nie tyle po to, żeby zachować przewagę psychologiczną, co dlatego, że przez ostatnie kilka dni wypijałam całe litry herbaty i zastanawiałam się, czy poziom teiny w mojej krwi nie przekroczył pięćdziesięciu procent.

Inspektor kazał mi raz jeszcze opowiedzieć o wydarzeniach tamtego popołudnia, ale dobrze wiedziałam, że zmierza do czegoś innego. Odpowiadałam bez trudu, niemal automatycznie. Jak to miło dla odmiany nie musieć kłamać.

- Czemu we wtorek nie powiedziała nam pani, że to nie pierwszy przypadek gwałtownej śmierci, w który jest pani zamieszana? - zapytał nagle, jakby chciał mnie zbić z tropu.

Wiedziałam, że prędzej czy później do tego dojdą. To są właśnie ciemne strony komputeryzacji.

- W tę raczej nie jestem zamieszana, nie licząc faktu, że znalazłam zwłoki - zauważyłam.

- To chyba weszło już pani w nawyk - powiedział sarkastycznie. - To znajdowanie zwłok.

- Mam nadzieję, że nie - warknęłam. - Sierżant Hawkins nadal ma moją ulubioną koszulkę oraz inne rzeczy. Jeżeli podobna sytuacja będzie się powtarzać, niebawem nie będę się miała w co ubrać.

Zapalił kolejnego papierosa, po czym przeszył mnie wzrokiem, w którym błyszczała inteligencja. Najwyraźniej zorientował się, że sarkazmy na mnie nie działają, więc postanowił zmienić taktykę.

- A jednak musi pani przyznać, że to ciekawy zbieg okoliczności - zasugerował uprzejmie.

- Owszem.

- Oczywiście nie została pani oskarżona ani osądzona, pani Jones. Koroner wydał werdykt o nieszczęśliwym wypadku. - Spojrzał na mnie surowo. - Co było pewnym niedopowiedzeniem, nie uważa pani?

- Zabiłam w obronie koniecznej - oświadczyłam stanowczo, spychając wspomnienia w najdalszy kąt umysłu. Nie zamierzałam roztrząsać tego wszystkiego teraz, kiedy Monroe obserwował każdy mój ruch. - Czemu nie porozmawia pan z inspektorem Finchamem? Kiedyś pracował na tym posterunku. Prawdopodobnie wytłumaczy panu, że nie jestem psychopatyczną morderczynią, która od czasu do czasu musi sztachnąć kogoś po głowie. Chociaż nie sądzę, żeby ujął to w tak bezpośredni sposób.

- Już rozmawiałem - odparł nieoczekiwanie. - Inspektor poręczył za panią.

- Jak miło.

- I powiedział, że na moim miejscu nie wierzyłby w tę historyjkę, którą pani nam zaprezentowała na przesłuchaniu.

Popatrzyłam na niego zranionym wzrokiem.

- Zasmucił mnie pan. Naprawdę. A może mówi pan tak tylko dlatego, że jest pan zazdrosny o moją przyjaźń z inspektorem Finchamem?

Monroe niecierpliwym gestem zdusił niedopałek.

- Czy jest pani w posiadaniu jakichś informacji na temat śmierci Lindy Fillman, którymi chciałaby się pani z nami podzielić?

- Powiem wam, kto jej nie zabił. Derek. Jej chłopak.

- Nie pani pierwsza tak twierdzi - odparł inspektor, unosząc brew.

- O, nie wiedziałam. A tak lubię być oryginalna.

- Dlaczego sądzi pani, że to nie pan Brewster jest winny?

- Pan Brewster, czyli Derek, tak?

Inspektor patrzył na mnie przez chwilę ze zdziwieniem.

- Czy wy w ogóle nie znacie nawzajem swoich nazwisk?

- Wszyscy chodziliśmy do szkoły - wyjaśniłam. - To leczy ludzi z używania nazwisk do końca życia. Derek pewnie przez lata był nazywany „mały Brewster”. A to powoduje głębokie, psychologiczne rany. Takie blizny nigdy się nie goją.

Hawkins uśmiechał się dyskretnie, a Monroe obrzucił mnie spojrzeniem, w którym dezaprobata przeważała nad szacunkiem.

- Ale wracając do spraw podstawowych - ciągnęłam - chcecie wiedzieć, dlaczego moim zdaniem pan Brewster nie zabił Lindy. To znaczy, pani Fillman - dodałam uprzejmie. - Znam odpowiedź. Dostanę nagrodę? No cóż, w każdym razie, ogólnie rzecz biorąc dlatego, że Derek nie skrzywdziłby muchy. To po prostu nie w jego stylu. Gdyby pokłócił się z Lindą, po prostu by ją zostawił. Czemu nie? Już porzucił jedną dziewczynę, z którą ma dziecko.

- Ale nie zaprzeczy pani, że jak do tej pory wydaje się najbardziej podejrzany. Mógł wejść do męskiej siłowni i zabrać hantle, nie zauważony przez pana... - Inspektor miał zamiar wymienić nazwisko Briana, ale się powstrzymał. - Niezauważony. Jedyna osoba poza nim, którą widziano wchodzącą na którąś z hal to sama ofiara. Ale raczej nie przekonuje nas teoria o samobójstwie.

Jak ja lubię ten policyjny sarkazm. Jest tępy jak kłoda drzewa.

- W biurze stały zapasowe hantle - powiedziałam.

- Pan... Jeff Roberts twierdzi, że nikt ich nie ruszał. A ponieważ nikt nie wie ile ich tam stało na początku, nie sposób niczego stwierdzić.

- Dwie albo trzy sztuki - pospieszyłam z odpowiedzią. - I, mówiąc bez uprzedzeń, proszę wziąć pod uwagę, że jeśli Jeff jest winny, to nie mógłby zeznać nic innego.

- Ach, więc tak pani uważa?

- Po prostu zwracam uwagę na oczywiste fakty.

- A Naomi Fisher? W swoim zeznaniu powiedziała pani... chwileczkę... że „bardzo się spieszyła i miała zamyślony wyraz twarzy”. Chciałaby pani coś dodać?

Nie dało się tego uniknąć.

- Była wściekła. Ewidentnie poirytowana - powiedziałam wolno.

- Z jakiego powodu?

- Nie wiem, nie znam jej.

- Ale zna pani Dereka Brewstera i to w wystarczającym stopniu, by orzekać o jego charakterze.

- Tak.

- Ma reputację podrywacza, prawda, pani Jones?

Popatrzył na mnie tak uważnie, jakby sądził, że ja sama miałam romans z Derekiem.

- Derek i dziewczęta znakomicie się dogadują - potwierdziłam. Nie było sensu zaprzeczać.

- A czy Naomi Fisher nie należała do jego podbojów?

- Naprawdę nie wiem.

- Ponieważ twierdzi, że spędziła niemal pół godziny w piwnicy na poszukiwaniu rzekomo zaginionego kolczyka. A zważywszy, że pani...eee... Felicity Brady stanowczo wyklucza, żeby Fisher mogła niepostrzeżenie wejść na siłownię, to nie widzimy wytłumaczenia dla tak długich poszukiwań. Nie zgodzi się pani?

- Szczególnie, że zapytana nie potrafiła opisać owego kolczyka - dodał sierżant Hawkins.

- Pewnie dlatego tak długo szukała - powiedziałam niefrasobliwie. - No już dobrze, przepraszam. Ale w takim razie co robiła, waszym zdaniem? Mordowała Lindę? Z jakiego powodu? I czym? Skąd wzięłaby hantle?

- Sądzimy, że czekała na Dereka Brewstera - oświadczył inspektor, wbijając we mnie wzrok. - Być może nawet byli umówieni.

- To ostatnie raczej odpada. Nie sądzę, żeby Derek świadomie podjął ryzyko, że jego dziewczyna przyłapie go na figlach z Naomi w męskiej przebieralni.

- Dlaczego w męskiej przebieralni? - podchwycił natychmiast Hawkins.

Obróciłam się i popatrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami.

- A gdzieżby indziej? - zapytałam, prostując niedbale nogi. Musiałam mieć się przed nim na baczności. Nic nie uchodziło jego uwadze.

Monroe otworzył kolejną paczkę.

- Inspektor Fincham wspominał - zaczął ostrożnie - że kiedy panią poznał, właśnie straciła pani przyjaciela i okoliczności jego śmierci wydawały się pani mocno podejrzane. Nie dalej jak parę tygodni później została pani... nazwijmy to: zamieszana... w kolejną zbrodnię. Inspektor Fincham uważa, że te wypadki jakoś się ze sobą łączyły, jakby druga zbrodnia stanowiła swojego rodzaju zemstę za pierwszą, jeżeli wolno mi się tak melodramatycznie wyrazić.

- Widać inspektor Fincham ogląda za dużo serialu „Poirot prowadzi śledztwo”. Nasłuchał się o tych małych szarych komórkach i teraz popuszcza wodze fantazji.

- Może - detektyw Monroe popatrzył na mnie tradycyjnym, twardym spojrzeniem amerykańskich glin, które wszyscy papugują po aktorach z telewizji.

- Jest pani wolna, pani Jones - powiedział po dłuższej chwili.

- Według rozkazu - odparłam, po czym odwróciłam się do sierżanta Hawkinsa. - Czy mogę liczyć na obiecane podwiezienie do domu?

Po raz pierwszy w życiu jechałam na przednim siedzeniu radiowożu. Bawiłam się wszystkimi guziczkami, w nadziei, że rozzłoszczę sierżanta Hawkinsa, ale on nie zwracał na mnie uwagi, więc dałam za wygraną. Przez dłuższą chwilę milczeliśmy oboje. W końcu nie wytrzymałam z nudów.

- Myślałam, że chciał mnie pan odwieźć, żeby wykorzystać moment nieuwagi i zrobić mi wiwisekcję mózgu. A może stara się pan o licencję szofera i potrzebuje praktyki?

- To pierwsze - odparł, nie spuszczać wzroku z drogi.

- W takim razie czy nie powinien pan już zacząć usypiać mojej czujności? Prawie dojechaliśmy.

- Zdaje sobie pani sprawę, że pani alibi zależy w głównej mierze od zeznania Jeffa Robertsa? - zapytał nieoczekiwanie, choć nie bez uśmiechu.

Wzruszyłam ramionami.

- To co? Wiem, że tego nie zrobiłam i wiem, że pan też wie. Jaki mogłam mieć motyw?

- Na przykład zazdrość o Dereka Brewstera. Zdaje się, że to najbardziej chodliwy motyw wśród podejrzanych płci żeńskiej - zasugerował.

- Wy faceci chyba zbyt wysoko szacujecie możliwości Dereka - powiedziałam sucho.

- Mówi pani z własnego doświadczenia, pani Jones?

- Mam na imię Sam. I nie bądź wulgarny.

Zaparkowaliśmy pod moim mieszkaniem. Sierżant zaciągnął hamulec ręczny, nie gasząc silnika, po czym odwrócił się do mnie, ewidentnie zamierzając coś powiedzieć.

- Tak, czekałeś na tę chwilę - oświadczyłam kordialnie. - Nie sądź, że uważam taką procedurę przesłuchania za standardową. Niech zgadnę, o co wam chodziło: ty zjawiasz się

bez uprzedzenia, wzywasz mnie na komendę i masz nadzieję, że się wystraszę. Ale Monroe traktuje mnie nadspodziewanie pobłażliwie, usiłuje mnie zmiękczyć, więc odwozisz mnie do domu, żeby dać mi przyjacielską radę, że nie należy zatrzymywać dla siebie żadnych informacji, bo to może być niebezpieczne. Oczywiście robisz to w nadziei, że jako słaba kobietka opowiem ci teraz wszystko, co wiem.

Hawkins zachował minę pokerzysty. Dostał u mnie dużego plusa.

- Inspektor Fincham poinformował inspektora Monroe, że jeżeli w twoim otoczeniu zdarzyła się gwałtowna śmierć, to nie sposób cię powstrzymać przed wsadzaniem nosa w śledztwo. No, chyba że to ty sama ją spowodowałaś. Powiedział też, że jesteś zawzięta jak buldog.

- Hm, jaki komplement. Buldog z wielkim nosem.

- I jeszcze, że gdybyśmy wsiedli ci na kark, to wyjdiesz z siebie, byleby tylko nam nie pomóc. Więc, owszem, rzeczywiście stosujemy supermiękkie podejście. - Popatrzył mi prosto w oczy. - Ale chyba nie zamierzasz się skarżyć? Wolisz, żebyśmy ci naprawdę dokopali?

Naprawdę ładnie to wszystko ujął. Co oczywiście nie znaczyło, że zamierzałam odpuścić.

- Więc gdybym zdobyła jakieś informacje, powinnam natychmiast przybiec z nimi do was z wywieszonym ozorkiem i merdającym ogonem, czy tak? - spytałam najśłodszy tonem, na jaki potrafiłam się zdobyć.

- Brzmi ciekawie. Szczególnie ostatnia część twojej wypowiedzi.

- Och, przestań... - Odpięłam pasy. - Czy to już wszystko na dzisiaj? Nie planowałeś przypadkiem podstępnego przepytывania w chwili mojej nieuwagi?

- To nie zabawa. Ktoś zabił Lindę Fillman - oświadczył z poważnym spojrzeniem błękitnych oczu.

Nagle zauważyłam, że ma ładne usta, bardzo proste, jakby w każdej chwili mógł je zmiękczyć, gdyby tylko zechciał.

- Wiem! - warknęłam. - Warto by było pomyśleć czasem, kto to zrobił.

- Jeżeli naprawdę martwi cię, że podejrzewamy Dereka Brewstera, powinnaś powiedzieć nam wszystko, co wiesz.

- Merdając ogonem. Zapamiętam.

Wysiadłam, zamykając drzwi za sobą. Spodziewałam się usłyszeć szum zapuszczanego silnika, ale zamiast tego rozległ się trzask jego drzwi. Błyskawicznie znalazł się przy mnie.

- Twoje ubrania - powiedział, podając mi reklamówkę.

- Dzięki - odparłam niespecjalnie uprzejmie. Stał tak blisko, że jego obrzydliwa kurtka niemal dotykała mojej. Popatrzyłam mu w oczy.

- Jeżeli zastanawiasz się, jakich perfum używam, to Fidji - powiedziałam, spychając włosy na jedno ramię i przekręcając głowę. Nadal nie spuszczałam z niego wzroku. Miałam nadzieję, że się zarumieni, ale wytrzymał.

- Wiesz, ja naprawdę woziłem ze sobą twoje ciuchy przez te parę dni - powiedział. - Sam.

Nieźle, jak na pożegnanie.

* * *

W końcu siłownia uzyskała zgodę na ponowne otwarcie, więc następnego dnia poszłam do pracy. Atmosfera nie wydała mi się szczególnie oczyszczona po tym, co się stało. „Lekko przewietrzona” to i tak zbyt optymistyczne sformułowanie. Chciałam pomówić z Lou, pełniącą obecnie szczytną funkcję zastępcy zarządcy, ale właśnie siedziała w dawnym gabinecie Lindy, za zamkniętymi drzwiami.

- Ma wywiad z reporterem z lokalnej gazety - powiedziała Lesley, która przywitała mnie w recepcji. - Prosiła mnie o zastępstwo.

Przyjrzałam się Lesley z pewnym zażenowaniem. Miała natapirowane włosy i podwinięte rzęsy nad wielkimi, niebieskimi oczami, a jej jaskrawożółty, obcisły kombinezon w połączeniu z amarantową kamizelką przyprawił mnie o dreszcz.

- Czy ty nie masz żadnych ciemniejszych ubrań? - zapytałam wymownie.

Potrząsnęła głową. Nie opadł jej przy tym ani jeden rozczapierzony kosmyk, jak na reklamie lakieru do włosów.

- Nie, odkąd ustaliłam sobie gamę kolorystyczną. Jestem Wiosna-Lato.

Popatrzyłam na nią z melancholią. Jak bystro zauważył inspektor Hawkins, ktoś zabił Lindę i dałabym wiele, żeby to była Lesley. Ale jakoś nie potrafiłam sobie jej wyobrazić, jak przemyka się niepostrzeżenie obok Jeffa i Lou, nie wspominając już o mnie samej, nawet gdyby akurat tego dnia włożyła niespodziewanie coś mniej jaskrawego. A to z kolei wymagałoby premedytacji. Zupełnie nie widziałam Lesley w roli przebiegłej morderczyny.

- Gdzie byłaś tego popołudnia, kiedy zginęła Linda? - zapytałam prosto z mostu. Z Lesley nie ma po co robić ceregieli.

Otworzyła oczy tak szeroko, że zaczęły przypominać niebiańskie półmiski dla aniołów.

- Na zakupach. A potem wróciłam do domu.

- Ktoś ci towarzyszył?

- Nie, czy to ważne?

Wzruszyłam ramionami.

- Policja pewnie będzie chciała wiedzieć, co wszyscy robili w czasie, gdy popełniono zbrodnię. Wszyscy, którzy mieli motyw, żeby zabić Lindę. Czy już cię przesłuchali?

- Tak. Wypytywali o te naszą kłótnię. Wiesz, chodziło o tego faceta od praw autorskich, bo Linda podała mu moje nazwisko i...

- Pamiętam, Lesley - powiedziałam cierpliwie.

- Więc wypytywali i wypytywali. - Lesley zrobiła swoją charakterystyczną minę. - I jeden z nich palił, aż musiałam poprosić, żeby przestał, bo źle się poczułam.

- I przestał? - zapytałam, wyobrażając sobie spojrzenie inspektora Monroe.

- Tak, ale chyba niezbyt chętnie. Ale ja nie byłam na siłowni, kiedy Linda zginęła, więc co mogą mi zrobić? Chyba to też ich wkurzyło

- Pewnie już wiedzą, dlaczego Linda nasłała na ciebie tych facetów z praw autorskich?

- Jakich? Aha. Tak. Zadawali mi mnóstwo pytań o Dereka, czy inne dziewczyny go lubią. Powiedziałam, że tak, wszystkie! Potem oni zapytali czy Derek kogoś lubi. Więc powiedziałam, że mnie. A oni na to, że Linda chyba nie była zachwycona. Więc ja mówię, trudno, jej pech, no nie? To jeszcze nie znaczy, że ja ją zabiłam, w końcu Derek zawsze mógł od niej odejść.

Oparłam się o ścianę recepcji.

- Ale, wiesz, trzymał się jej przez wiele lat. Dla niej rzucił ostatnią dziewczynę i dziecko. Jasne, że bez przerwy pozwalał sobie na jakieś romansiki, ale związek z Lindą to co innego.

Nie martwiłam się, że zmęczone Lesley tymi pytaniami. Być może wolałaby teraz jak zwykle patrzeć do lustra, jak pięknie ćwiczy, ale opowiadanie o sobie zajmowało mocną drugą pozycję na liście.

Przez chwilę nie odpowiadała, po czym niechętnie otworzyła usta.

- Co za głupota robić takie zamieszanie wokół tego wszystkiego. W końcu to nie była sprawa życia i śmierci!

- Dla kogoś była.

- Brr! - zadrżała. - Mam i tata chcą, żebym stąd odeszła. Ale ja im powiedziałam, że nie ma mowy. Teraz będą tu takie możliwości, znaczy, skoro Linda nie żyje... Już teraz prowadzę za nią kilka dodatkowych zajęć.

Zabrakło mi słów.

- Ale to Rachel dostała te dla zaawansowanych - dodała. - Jeśli chodzi o mnie, to w porządku. Ludzie, którzy tam chodzą, są strasznie poważni, a ja lubię, kiedy na moich zajęciach jest zabawnie.

Tymczasem ja już odzyskałam zdolność mowy, której nigdy nie tracę na zbyt długo.

- Mówiłaś Derekowi, co Linda zrobiła? Że doniosła na ciebie?

- Nie rozumiem? - Lesley uniosła brwi.

- Kiedy rozmawialiśmy w przebieralni groziłaś, że powiesz wszystko Derekowi.

- O tak, oczywiście, że mu mówiłam. Był taki miły. Ja tylko opowiedziałam, co się stało, a on już sam obiecał, że z nią porozmawia. Nawet nie musiałam się skarżyć bezpośrednio na Lindę.

Pomyślałam, że to bardzo sprytne.

- I rzeczywiście porozmawiał z nią?

- Twierdzi, że tak. Ale następnego dnia zachowywała się wobec mnie tak złośliwie jak zwykle. Kazała mi trzymać się z daleka, ale sama dokuczała mi jak zawsze. Porzucona stara krowa.

- Słyszałam, że pokłóciłyście się w gabinecie.

- To była taka wredna suka! Po prostu siedziała tam, wgapiając się we mnie z uniesionymi brwiami! Powiedziałam, że Derek zabronił jej mnie prześladować i że będę wdzięczna, jeśli się odczepi, zamiast wygłaszać złośliwości pod moim adresem.

- I co ona na to?

- Kazała mi dla odmiany zacząć używać mózgu... Uwierzyłybyś! Więc ja na to, że jak mi nie da spokoju, to będę wiedziała co zrobić.

- Co miałaś na myśli?

- Zamierzałam ukraść jej Dereka - odparła słodko Lesley, bez zmrużenia oka. - I wystawić ją przed wszystkimi.

- Ale przecież i tak to planowałaś - zauważyłam. - Musiałaś chcieć czegoś więcej.

Lesley najwyraźniej się zmieszała, ale w tej samej chwili z gabinetu wyszedł potężny mężczyzna w niedopasowanym, szarym garniturze. Gdybym nie wiedziała, że to reporter, dałabym głowę, że był policjantem. Tuż za nim ukazała się Lou.

- Żegnaj pana - oświadczyła, niemal wyrzucając go za drzwi machaniem rąk. - Już pan ma to, po co pan tu przyszedł.

- Może tylko jeszcze zamienię słówko z tą panią... - powiedział, patrząc na mnie z nadzieją.

- Ona nic nie wie - ucięła Lou. - Do widzenia.

Dziennikarz niechętnie skierował się do drzwi, a Lou klasnęła w dłonie w geście zniecierpliwienia.

- Ale natręt - powiedziała. - Daj mu palec, a weźmie całą rękę. - Nagle popatrzyła na mnie i na Lesley. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

- Nie, skąd. Właśnie omawialiśmy temat, który jest u nas ostatnio szczególnie w modzie.

- A ja tak bardzo staram się o tym nie myśleć, że głowa mnie boli - powiedziała Lou.

- Chcesz aspirynę? - spytała radośnie Lesley.

Przez chwilę obie przypatrywałyśmy się jej w ciszy.

- Przejdiesz się na spacer? - spytała nagle Lou. - Tylko wezmę kurtkę.

Na chwilę zniknęła w gabinecie, po czym wyszła stamtąd w kreacji ze sztucznego, brązowego futra, rozszerzającego się w ramionach i jeszcze bardziej rozkloszowanego w pasie. U samego dołu osiągało chyba średnicę dwóch metrów. Na Lou wyglądało świetnie, ja przypominałabym w tym chodzącą choinkę.

Wprawdzie słońce nie wystawało zza chmur, ale rozświetlało całe niebo, które dla odmiany przybrało kolor jasnego błękitu. Razem z Lou minęłam wejście do metra i przeszłam przez mostek kolejowy wiodący na wzgórze Primrose. Kiedyś mieściła się tam mała stacyjka, ale zamknęli ją, żeby łatwiej było sprywatyzować całą linię. Nie dajcie sobie wmówić, że torysi złagodnieli, odkąd nie ma Margaret Thatcher.

W międzyczasie streściłam Lou przebieg rozmów z Fliss i Cath.

- Coś musieli zrobić - powiedziała wolno Lou, powtarzając wypowiedź Cath na temat Dereka i Naomi. - A jak Linda ich przyłapała? I obrzuciła Naomi tyłoma wyzwiskami, jakie tylko przyszły jej do głowy, aż w końcu Naomi kazała jej się zamknąć?

Słońce zaszło, co nie było bardzo pomocne.

- Nadal pozostaje problem hantli - powiedziałam. - Ale Derek mógł je mieć przy sobie, na przykład jeśli zabrał je właśnie do naprawy. Załóżmy, że Naomi uderzyła Lindę, a on nie chce na nią donieść, bo czuje się odpowiedzialny. To byłoby bardzo szlachetne z jego strony, nie? Może za bardzo?

Lou zastanawiała się przez chwilę.

- Derek bywa bardzo opiekuńczy wobec dziewczyn. I na pewno uznałby, że to on jest winny. Prawdopodobnie też nie chciałby powiedzieć policji niczego, czego by jeszcze sama nie wiedziała.

- Ktoś musi z nim pogadać. Wy tłumaczyć, że nie wolno mu kłamać. Wczoraj znowu mnie przesłuchiwali i zauważyłam, że nie są ani półgłówkami, ani rasistami. Chociaż z tym nigdy nic nie wiadomo. Ale zorientują się, jeśli ktoś coś przed nimi ukrył i na pewno zaczną go podejrzewać.

Nagle minęło nas dwoje dzieciaków, pędzących na starych deskorolkach. Myślałam, że to już wyszło z mody, ale najwyraźniej właśnie wracało. W tych czasach prędkość jest na topie. Dzieciaki wystrzeliły zza mostku, po czym wyprysnęły ze świstem prosto na drogę. Na szczęście nie rozległy się żadne klaksony ani wizg hamulców. Ulżyło mi. Jak na razie widziałam wystarczająco dużo zwłok.

Zerknęłam na Lou, która poprawiała sobie kołnierz imponującego futra.

- Porozmawiasz z nim? - spytałam. - Dasz mu kopa w dupę? Ciebie posłucha.

Schodziłyśmy właśnie ze wzgórza Primrose. Po prawej mieścił się sklep o nazwie Bibendum. Zawsze byłam przekonana, że to znaczy „muszę się napić”. I świetnie rozumiałam autora.

- Lou? - powiedziałam.

Lou stała jak wryta. Dopiero po chwili zobaczyłam, co ją zatrzymało. Tuż przed nami zjawił się Derek i właśnie szedł w naszą stronę.

- A wilk tuż... - powiedziała.

12.

Przez chwilę Derek nawet nas nie poznawał. Wyglądał jakby występował w reklamie środków antystresowych, tyle że w części pod tytułem „przed zastosowaniem”. To mnie akurat nie zdziwiło. Spotkanie z nami też nie poprawiło mu nastroju - wymamrotał przywitania i najchętniej poszedłby w swoją stronę, gdyby Lou go nie zatrzymała.

- Stój, chcę z tobą pomówić. Najlepiej od razu.

Odwróciła się na pięcie, po czym weszła do ogródka pubu na rogu ulicy. Stało tam kilka drewnianych stołów z ławami. W taką pogodę mogliśmy liczyć, że na dworze nikt nam nie przeszkodzi. Lou pieczołowicie złożyła futro, po czym usiadła na nim, nie chcąc dotknąć ławki. Derek niechętnie przycupnął na drugim końcu.

- Wygodnie ci, Sam? - zapytał, kiedy usiadłam na krawędzi stołu. - To drewno jest trochę wilgotne.

- Chyba nie mamy czasu na te wersale - oświadczyła niecierpliwie Lou. - Siadaj i słuchaj, co mam ci do powiedzenia.

Nie miał wyboru. Lou, z wielkimi kolczykami, pobrzękującymi we wnętrzu kołnierza, zatrzymała go na miejscu samym spojrzeniem. Detektyw Monroe mógłby brać u niej lekcje przeszywania wzrokiem przesłuchiwanym. Derek wprawdzie nie zadrzał, ale siedział na baczność, w pozycji, w której jeszcze nigdy go nie widziałam i słuchał uważnie. Jestem pewna, że w czasie rozmowy z Monroe'em zachowywał się zgoła inaczej. Przypomniałam sobie o czterech synach Lou i pomyślałam, że pewnie żaden z nich nie zszedł na złą drogę. Przynajmniej nie na długo.

- Czy powiedziałeś policji wszystko co wiesz?

- Ja...

- Bo jeśli tak, to nie mam ci nic więcej do powiedzenia. Ale jeśli nie, to możesz wpakować się w niezłe kłopoty. Czy Linda przyłapała cię z tą Naomi?

Derek popatrzył na mnie niespokojnym wzrokiem.

- Nie przejmuj się Sam. - Uspokoiła go Lou. - Mów.

Derek zaczął się wiercić na krześle. Cała swoboda jego zachowania nagle gdzieś przepadła. Lou zmieniła go w dwunastolatka, którego właśnie mama przyłapała na paleniu w sypialni.

Wsunął ręce do kieszeni, patrząc w ziemię. Przez ulicę przemknął powiew wiatru, który przez chwilę buszował w moich włosach, po czym porzucił je, jakby nie nadawały się do zabawy. Okej, może rzeczywiście powinnam je była umyć.

- Nie wiem, o czym mówisz - oświadczył Derek, ale bez przekonania.

- Tylko nie próbuj ze mną takich numerów. Przecież nie rozmawiałeś z Naomi o pogodzie.

- No dobra. - Wzruszył ramionami. - Trochę się wtedy zbliżyliśmy. Ale Linda nas nie przyłapała.

- Gdzie byliście? W męskiej przebieralni?

- Taa.

- I jak daleko zaszliście?

Skóra Dereka miała barwę kawy, więc nie potrafiłyśmy stwierdzić, czy się rumieni. W każdym razie głośno odchrząknął..?.

- Lou, przestań, nie jesteś moją mamą...

- Twoje szczęście, draniu - warknęła Lou. - W takim razie na tyle daleko, że Linda mogłaby mieć pretensje?

- Mówię ci, że nawet tam nie weszła - podkreślił Derek. - Nie widziałem jej.

- To co się właściwie stało? - zapytała Lou, mierząc go podejrzliwym wzrokiem.

W tym momencie rozległ się huk pociągu, przejeżdżającego pod mostem. Miałam nadzieję, że to nie zdekoncentruje Lou i Dereka. Sama czułam się tak zakłopotana, że trzymałam buzię na kłódkę i usiłowałam w miarę możliwości wtopić się w tło. W mojej fioletowej kurtce nie było to wcale takie łatwe. Ale przynajmniej przybrałam obojętny wyraz twarzy i wbiłam wzrok we fronton pubu, żeby Derek pomyślał, że straciłam zainteresowanie ich rozmową i właśnie usiłuję odtworzyć z pamięci ostatnią krzyżówkę z *The Guardian*.

- Nic - odparł ponuro Derek. Właśnie odkrywałam jego całkiem nowe oblicze. Żelazne spojrzenie Lou stopiło jego zwykły chłód i opanowanie. Niełatwo jest tłumaczyć się rodzicom, niezależnie od wieku. Ja straciłam swoich już dawno i może dzięki temu zrobiłam się taka pewna siebie.

Zerknęłam w stronę Lou, która właśnie kiwała groźnie palcem na Dereka.

- Nawet nie waż się mnie okłamywać. Ta cała Naomi wparowała potem na górę w ataku furii i omal nie staranowała Sam. A ty mi wciskasz, że nic się nie stało.

- Wkurzyła się - przyznał Derek. - Ale ja niczego jej nie obiecywałem. Nigdy niczego nie obiecuję. - Nerwowo przeczesał palcami loki na głowie. - Myślałem, że to jasne! Że jestem... to znaczy byłem z Lindą! Czego Naomi się spodziewała?

- Poczula się wykorzystana?

- Posłuchaj - powiedział Derek, krzyżując ręce na piersiach. - Ja nikogo nie wykorzystuję. Ja je szanuję. Nie wyzywam dziewczyn od dziwki tylko dlatego, że idą ze mną do łóżka, okej? W sumie robię dokładnie odwrotnie. Ale niczego im nie obiecuję. I byłem pewny, że

Naomi rozumie, na czym polega ten układ, inaczej bym jej to wytłumaczył. Ale nie dała mi szansy.

- Poszła za tobą? - spytała Lou.

Derek spojrział na nią z wyrzutem.

- Naprawdę sądzisz, że to ja sprowadziłem ją na dół na szybki numerek niemal pod nosem Lindy? Niezbyt wysoko mnie cenisz, Lou. Ja się nie przechwalam. Nie lubię o tym gadać, to sprawa między mną a kobietą, o której rozmawiamy. Osobista sprawa. Ale uznaj przynajmniej, że nie jestem ostatnim idiotą. Ona rzeczywiście poszła za mną. Nic więcej nie powiem.

- I co? - Lou nie zamierzała się poddać. - Podziękowałeś jej, powiedziałeś miło, że na tym koniec i ona się obraziła?

- Mniej więcej. - Derek znowu miał niepewną minę, ale najwyraźniej nie zamierzał wchodzić w szczegóły. - Wyzwała mnie od ostatnich, po czym wybiegła, trzaskając drzwiami.

- W którą stronę poszła? - nie mogłam się powstrzymać, by nie spytać.

- Nie zauważyłem.

- Te drzwi są przeszkłone.

- Tak, ale szyba jest z bąblami. Nic nie widać, o ile nie przyciśnie się nosa do szkła. W każdym razie nie patrzyłem za nią, tylko poszedłem pod prysznic. Po raz drugi.

- Sądzisz, że to ona zabiła Lindę, Derek? - spytała Lou, patrząc mu prosto w oczy.

- Czemu miałyby to zrobić?

- Z zazdrości o ciebie. To motyw jak każdy inny.

Derek jeszcze nigdy nie objawiał takiego zakłopotania. Pochylił głowę i spojrział w ziemię, być może zbierając myśli. Obok naszego stolika przeszło dwóch młodych ludzi, opuszczających pub.

- Jak możesz stawiać Altmana wyżej niż Tarkowskiego? - zapytał z irytacją jeden z nich.

- Tego nie powiedziałem - odparł gniewnie drugi. - Ja nie wygłaszam takich pochopnych sądów.

Cholerni studenci. Głosy powoli milkły, w miarę jak chłopcy oddalali się ulicą. Znowu popatrzyłam na Lou, która wbijała w Dereka nieustępliwy wzrok.

- No więc? - mruknęła.

Derek w końcu podniósł głowę.

- Nie. Nie sądzę, że Naomi zabiła Linde. Okej?

W jego głosie zabrzmiał jakiś fałszywy ton. Obie to wychwyciłyśmy.

- Więc kto to zrobił, twoim zdaniem?

- Nie wiem.

Wstał, wyciągając nogi spod stolika.

- Mówiłeś o tym wszystkim policji?

- Myślisz, że oszalałem? - wybuchnął Derek. - Przecież to właśnie chcą usłyszeć. Powiedzą, że sam zabiłem Lindę, bo przyłapała mnie z inną kobietą. I z dużą satysfakcją wpakują mnie za kratki. Nie rozumiesz tego? Czarny facet i biała dziewczyna. To oczywiste.

Lou miała teraz zmartwioną minę. Jej przewaga psychologiczna po raz pierwszy została zachwiana. Teraz wyglądała jak matka, która wie, że jej syn planuje zrobić coś niebezpiecznego, ale nie może go powstrzymać.

- Jeżeli im tego nie powiesz, domyśla się, że coś ukrywasz...

- I trudno. Nie zabiłem Lindy i nikt mi tego nie wmówi. Muszę tylko trzymać głowę na kłódce. Nie mają żadnych dowodów.

Derek przez chwilę spoglądał na Lou z wyraźnym współczuciem.

- Chcesz mi pomóc, Lou. Dziękuję. Ale wierz mi, że wiem co robię.

Nasze oczy spotkały się na chwilę. W jego spojrzeniu błyszczało wyzwanie i coś jeszcze, co tylko ja rozpoznałam. Po chwili odszedł energicznym krokiem. Chyba nie wybierał się na siłownię.

- Cholera! - powiedziała Lou z taką mocą, że błyskawicznie skierowała na siebie moją uwagę. Z wściekłością wstała z ławki i zastygła w pozie wyrażającej niemą furję.

- Lou? - zapytałam nieśmiało.

- Niech go szlag! Ja wiem, że on coś ukrywa! Cholera! Szkoda, że mu nie przyłożyłam! Nauczyłby się, że nie wolno mnie okłamywać - wykrzyczała Lou, przestępując z nogi na nogę. Ludzie z przeciwnej strony ulicy przyglądali się nam ciekawie. - Następnym razem nie popełnię tego błędu, niech Bóg go wyda w moje ręce! Żeby zgrywał niewiniątko, kiedy jego dziewczyna została zamordowana! Co z tego, że ona nie jest nawet warta tego całego zamieszania. Pomówię z jego matką, ale ona nigdy nie potrafiła go do niczego zmusić. On potrzebował ciężkiej ręki, kiedy był mały, a nie pobłażliwej mamuśki. Ja nigdy nie oszczędzałam swoich chłopaków, kiedy mi się narazili, i jakoś im to nie zaszkodziło!

- Lou? - powtórzyłam. - Może powinniśmy już wracać.

- Przepraszam, Sam. Ale tak mnie nosi, kiedy widzę, jak ci chłopcy zadzierają z policją. Myślą, że to wszystko zabawa.

Po chwili ruszyliśmy z powrotem, walcząc z wiatrem, który wyraźnie się wzmógł. Instynktownie uchyliłyśmy się w tym samym kierunku przed kolejnym podmuchem. Zastanawiałam się, co powiedzieć. Jeszcze nigdy nie widziałam Lou w takim stanie i trochę mnie to wszystko zdziwiło. Zawsze uważałam ją za uosobienie spokoju. Teraz wyglądało to tak, jakby posąg właśnie ruszył z miejsca, żeby dokopać gołębiom.

- Posłuchaj mnie, zapomnij na chwilę o Dereku. Powinnaś się martwić o siebie - powiedziałam.

- O czym ty gadasz?

Uśmiechnęłam się z wysiłkiem.

- Czujesz się jak ryba w wodzie w charakterze szefowej siłowni. Bardzo ci to pasuje. Jeszcze cię ktoś posądzi, że zabiłaś Lindę, żeby ją zastąpić.

Lou nie odezwała się do mnie więcej w drodze powrotnej. Zupełnie, jak gdyby mój żart jej nie rozweselił.

* * *

Chciałam pomówić z Rachel, ale jej zajęcia miały trwać jeszcze piętnaście minut. Zeszłam na dół, żeby poszukać Briana albo Naomi i przypadkiem wpaść na któreś z nich. Naomi nie było, a Brian, obecny ciałem na męskiej hali, ducha poświęcił wyłącznie wyciskaniu na ławce. Mogłabym położyć się na ławce obok i zacząć się masturbować, śpiewając głośno „Like a Virgin”, a on nawet by nie odwrócił głowy.

Przez chwilę rozglądałam się po hali, z braku lepszego zajęcia. Mężczyznom nie przeszkadzała publiczność, obojętnie jakiej płci. Większość facetów uwielbiała być podziwiana, a skromna reszta nigdy nie przyznałaby się, że krępuje się ćwiczyć przy obcych. Inaczej było na damskiej hali, gdzie wśród kobiet panowała atmosfera życzliwego zainteresowania i współpracy, ale nielicznych facetów, którzy odważyli się tam zajrzeć, już na progu witały wrogie spojrzenia.

Parę minut zajęła mi zabawa w wycenianie męskich tyłków, efektownie prezentujących się w opiętych legginsach bądź szortach, w skali od jednego do dziesięciu. Następnie wyceniłam samych właścicieli. Mister Najlepszy Zadek zajął dopiero czwarte miejsce w klasyfikacji końcowej, co dowodzi, że tyłek to nie wszystko. W końcu jednak znudziły mnie te typowe zajęcia kibica i wyszłam. Brian przez cały czas nawet nie oderwał wzroku od sztangi.

Zerknęłam na zegarek w korytarzu na dole. Zajęcia Rachel skończyły się dziesięć minut wcześniej, więc poszłam na górę, ale już pod drzwiami usłyszałam jej podniesiony głos. Najwyraźniej na kogoś krzyczała. Jeszcze nigdy nie widziałam Rachel zdenerwowanej, a tymczasem właśnie z dużym przekonaniem darła się na jakąś nieszczęsną ofiarę. Zastanawiałam się właśnie, co zrobić, kiedy zza drzwi wypadł Jeff, wymęczony i spokojnie. Na mój widok podskoczył, jakbym przyłapała go na jakimś przestępstwie.

- Wszystko w porządku? - spytałam ciekawie.

- O, jasne...

Był bledszy i chudszy niż ostatnio, niemal tonął w swojej nieśmiertelnej kurtce z pomarańczowymi paskami. Jego włosy wyglądały jakby ktoś obciął je na mokro nożyczkami do paznokci i tak już zostawił, a zapadłe policzki jak jamy w twarzy kościotrupa. Nawet przyszczy miał więcej niż zwykle. Chyba jadł za mało świeżych warzyw. Wydawało mi się, że stosował wegańską dietę, więc prawdopodobnie żył tylko o kanapkach z sojową margaryną i odgrzewanych fasolowych burgerach.

Już chciał coś powiedzieć, kiedy wymamrotał pod nosem jakieś słowa, których nie wychwyciłam, po czym wypadł przez drzwi wejściowe na zewnątrz. Popatrzyłam za nim w oszołomieniu. Ostatnio pracownicy siłowni zaczęli dość dziwnie się zachowywać.

Rachel stała przy stercie mat, trzymając jedną w ręku. Z twarzy Rachel mogłam wyczytać, że chętnie dałaby nią Jeffowi po głowie, gdyby była z twardszego materiału.

- Co się stało Jeffowi? - zapytałam. - Właśnie wybiegł z siłowni z dziwnym wyrazem oczu.

Rachel była zmęczona, miała cienie pod migdałowatymi oczami, ale przy jej urodzie sprawiły tylko, że wyglądała perwersyjnie seksownie. A jednak ruszała się wolniej i bardziej ociężałe niż zwykle. I to nie dlatego, że właśnie dała wycisk trzydziestu superwytrenomowanym atletom. Dla Rachel godzina superintensywnego treningu to zwykła rozgrzewka.

- Zanudzał mnie na śmierć tą swoją petycją - powiedziała wyczerpanym głosem. - A ja po prostu nie mam teraz czasu o tym myśleć. W końcu straciłam cierpliwość i kazałam mu się odpieprzyć. Żałuję, że nie wytrzymałam, ale on mnie tak wkurzył...

Urwała, nadal trzymając matę, jakby o niej zapomniała. Popatrzyłam na nią z niedowierzaniem.

- Ale teraz, kiedy Linda nie żyje, ta petycja nie jest chyba aż tak ważna? Przecież tylko ona chciała sprywatyzować siłownię.

Rachel potrząsnęła głową.

- Jeff ubzdurał sobie, że musi zabezpieczyć klub na przyszłość. Napisał apel, że powinniśmy zawsze pozostawać pod kontrolą gminy, czy coś w tym stylu. Jakbyśmy nie mieli ważniejszych rzeczy do roboty.

- Chyba jesteś trochę przemęczona - zauważyłam.

Przez chwilę przypatrywała mi się w milczeniu, po czym upuściła matę z piaskiem.

- Nie, wszystko w porządku. Po prostu stresuje mnie ta praca na dwie zmiany. Zastępuję Lindę na prawie wszystkich zajęciach i pomagam Lou przy robocie papierkowej. Ona nie wie mnóstwa rzeczy. Ostatnio nie mam zbyt wiele czasu dla siebie.

- Pewnie nudzi cię to administrowanie - powiedziałam. - Ja nie znoszę siedzenia za biurkiem.

- Nie, dlaczego, mi to nie przeszkadza. Kiedyś pracowałam dorywczo jako sekretarka w drukarni i wszystko organizowałam. Świetnie się wtedy bawiłam. Nie, po prostu wzięłam sobie za dużo na kark. To mnie przygnębia. Potrzebuję trochę odpoczynku w ciemnym pokoju.

- Właśnie rozmawialiśmy z Derekiem - powiedziałam. - A właściwie, Lou rozmawiała. Ja tylko siedziałam obok i starałam się nie przeszkadzać.

- I co mówił? - zapytała szybko.

Błyskawicznie streściłam konwersację, włączając w to nasze wątpliwości. Wydawała się zmartwiona.

- Myślicie, że Derek chroni Naomi?

- Nie wiem - odparłam wolno. - Może. Ale z pewnością coś ukrywa. A skoro my to widzimy, to policja z pewnością także.

- Cholera. - Rachel spojrzała na mnie uważnie. - Masz jakieś podejrzenia, co to może być?

- Nawet zielonego pojęcia.

Rachel westchnęła.

- To raczej nam nie pomoże - powiedziała w końcu. - Przepraszam, Sam, nie chciałam cię krytykować.

Objęła mnie, po czym podeszłyśmy razem do drzwi.

- Chciałabym pogadać z Brianem, tylko nie wiem jak to zrobić - wyznałam.

- A kto wie? - roześmiała się Rachel.

- Teraz ćwiczy i nie sposób oderwać go od maszyn.

- Hm. Zgadza się, na siłowni nic z tego nie wyjdzie. Może złapiesz go gdzieś na neutralnym gruncie, w chwili nieuwagi?

- Na przykład gdzie?

Rachel pstryknęła palcami.

- Idź na jedną z dyskotek, gdzie pracuje. Wtedy będzie to wyglądało jak przypadkowe spotkanie.

- Świetny pomysł - mruknęłam z szacunkiem. - Teraz muszę tylko obejść wszystkie magazyny w Londynie, aż znajdę przed którymś z nich Briana, przebranego za pingwina.

- Złośliwa małpa. - Rachel trzepnęła mnie lekko w tył głowy. - Przecież Brian zawsze rozwiesza ulotki o koncertach. Chodźmy zerknąć.

- Nikt nie lubi takich sprytnych, wrednych bab, wiesz Rachel - powiedziałam z wyrzutem. - Ktoś ci w końcu da po łbie w czasie przerwy obiadowej.

Podeszłyśmy do tablicy ogłoszeń. W rogu wisiała ulotka pokryta psychodelicznymi splotami pomarańczowych i żółtych spiral. Całość głosiła, że tego wieczoru w klubie Lambeth odbędzie się impreza zatytułowana „Paradisiac”.

- Cholera - powiedziałam. - Na południe od rzeki.

- Tylko trochę - pocieszyła mnie Rachel. - A ty masz wóz.

- Co znaczy, że nie mogę dużo pić i ćpać. Kiedy wszyscy dookoła będą leżeć pod stołem. Nie znoszę się wyróżniać.

- Po prostu zapanujesz nad nałogami - oświadczyła surowo Rachel. - Dla dobra śledztwa.

Rozmawiałyśmy ściszonymi głosami, ale dla pewności rozejrzałam się, czy nikt nas nie może usłyszeć. Lesley nadal siedziała w recepcji, obłożona stertami magazynu „Hello”. Pewnie szukała porad życiowych od Mandy Smith.

- Może byś poszła ze mną? - zasugerowałam. - Dobrze ci zrobi. Wpadnij teraz do domu, odsapnij i podjadę po ciebie o jedenastej.

Przez chwilę myślałam, że odmówi, ale wzruszyła ramionami.

- Dobra, czemu nie? Przynajmniej wyjdę z domu.

Za nami rozległ się szcęk otwieranych drzwi.

- Będę zaszczycona - powiedziałam słodko.

W tej samej chwili usłyszałyśmy podniesione głosy. Obróciłyśmy się jak na komendę, żeby sprawdzić kto krzyczy i dlaczego. Na widok Naomi moje uszy natychmiast nastawiły się na odbiór.

- Po prostu powiedz mi czy jest, czy nie, okej? Nie potrzebuję twoich rad - wrzeszczała do Lesley.

Lesley wstała, opierając ręce na biodrach.

- Nie ma go - warknęła. - I nie mów do mnie takim tonem.

- Kłamiesz! - ryknęła Naomi. - Pewnie sama się na niego napaliłaś, ty chuda suko!

Lesley zmrużyła oczy z pogardą. Była znacznie wyższa od Naomi, co wzmogło efekt tego spojrzenia.

- Przy tobie każdy wydawałby się chudy! - powiedziała. To zrobiło na mnie wrażenie. Nie spodziewałam się po niej nawet próby riposty. Ale Naomi nie sprawiała wrażenia onieśmiałej.

- Nie wiesz, co lubią faceci? No? Cieszę się, że nie mam dupy jak deska!

- Wiem, że nie lubią tłustych dziwek! - Lesley błyskawicznie staczała się w stronę rynsztokowych wywisk.

- Ty pieprzona suko!

- Ale będą jatki - powiedziałam rozemocjonowanym głosem.

Naomi skoczyła do drzwi recepcji, prawdopodobnie chcąc wyciągnąć Lesley za włosy i sprać ją po głowie. Niestety, w tej samej chwili otworzyły się drzwi od gabinetu i Lou stanęła na progu w królewskiej pozie, odziana w długą kamizelę ze szkarłatnymi lamówkami i turkusowy turban w stylu wschodnich władców. Sama jej obecność wystarczyła, żeby obie wojowniczkę zamarzyły w pół kroku. Lesley, która zdążyła już chwycić w dłoń teczkę z papierami, najprawdopodobniej w charakterze broni, teraz znieruchomiała z wyciągniętą ręką. Wyglądała dość idiotycznie.

- Co tu się dzieje do cholery? - zapytała Lou.

- Ona zaczęła! - wypaliła natychmiast Lesley.

- Donosicielka - mruknęłam do Rachel.

- Zapytała mnie, gdzie jest Derek, a ja powiedziałam, że nie ma i wtedy ona zaczęła mnie wyzywać i...

- Ty cholerna kłamczucho - wrzasnęła Naomi, niechcący potwierdzając, przynajmniej częściowo, słowa swojej przedmówczyni. - Nie zapomnę ci tego, słyszysz? Jeszcze cię dopadnę - warknęła, wymierzając w Lesley tłusty paluch.

Następnie obróciła się na pięcie i wyszła. Nie marnowałam czasu.

- Do zobaczenia o jedenastej, okej? - zapytałam Rachel, błyskawicznie wkładając plecak, po czym pomachałam do Lou i już byłam na dworze.

13.

Naomi kroczyła uliczką w stronę głównej drogi z ramionami przygarbionymi z wściekłości. Miała na sobie puchatą parkę, zebraną paskiem w talii, workowate džinsy i adidas, czyli to co zwykle noszą zaniedbane dziewczyny. Jej włosy, zebrane na czubku głowy, upięte były wielką, złotą spinką. Dogoniłam ją na rogu.

- Niechcący usłyszałam, o czym rozmawiałyście - powiedziałam, żeby wkupić się w jej łaski. - Ta Lesley to niezła suka, nie?

- A co ty możesz o tym wiedzieć - zapytała gwałtownie, przeszywając mnie wrogim spojrzeniem.

- Wkurza mnie - odparłam, wzruszając ramionami. - Tak jak i wszystkich.

- Pieprzyć ją - poradziła mi Naomi, patrząc prosto przed siebie. Miałam nadzieję, że na tym nie zamierzała zakończyć konwersacji.

- Spotkałam na targu twoją przyjaciółkę. - Postanowiłam zaatakować z flanki. - Cath. Bardzo miła.

Naomi lekko zwolniła kroku.

- Taaa, Cath jest w porządku - powiedziała. W ustach Naomi musiało to być sporą pochwałą. - To moja kumpela, wiesz? - dodała nieco normalniejszym tonem.

Przez chwilę usiłowałam wymyślić coś, co nie zabrzmiałoby zbyt natarczywie, ale Naomi szybko wróciła do tematu, który ją nurtował.

- Ona się do niego podwała, no nie? Ta suka!

- Do Dereka? - spytałam.

- A myślałaś, kurwa, że do kogo? - Naomi najwyraźniej nie wróciła jeszcze do siebie. Odczekałam chwilę, po czym wznowiłam atak.

- Owszem, tak sędzę. Pewnie teraz, po śmierci Lindy, Lesley ma nadzieję, że zajmie jej miejsce.

Naomi nawet nie zadrżała na dźwięk imienia Lindy.

- Pieprzyć ją - powtórzyła. - Jeszcze za to beknie.

- Jak Linda? - walnęłam śmiało. Na szczęście szliśmy High Street w sobotnie popołudnie i w pobliżu nie było żadnych hantli. Uznałam, że jestem w miarę bezpieczna. Naomi stanęła jak wryta.

- Ja nie mam z tym nic wspólnego, okej?

- Słyszałam, że przyłapała cię z Derekiem w męskiej przebieralni - powiedziałam straceńczym tonem. Oczy Naomi zwęziły się w ciasne szparki.

- To nieprawda - syknęła. - A Derek to drań. Poszłam tam, żeby mu pokazać.

Chodnik nie był tak zatłoczony, jak w pobliżu targu, gdzie trzeba wolno manewrować pomiędzy chmarami ludzi. Ale przechodnie i tak potracali nas niecierpliwie, chociaż jedno spojrzenie na Naomi ucinało wszelkie wypowiedzi. Wyglądała jak rozsierdzony pit bull z zespołem napięcia przedmiesiączkowego, tylko nie tak atrakcyjnie.

- On nie może traktować mnie w ten sposób - oświadczyła.

- W jaki sposób?

- Bez szacunku - odparła natychmiast. - Jak tanią dziwkę, jak tę głupią krowę, Lesley. Już ja jej pokażę. Jeśli sądzi, że może go tak po prostu mieć, to będzie musiała zmienić zdanie. Powiedz jej to.

Obróciła się na pięcie, po czym ruszyła dalej, nie patrząc przed siebie. Ludzie skwapliwie usuwali się jej z drogi, a ja popatrzyłam za nią, ciekawa, czy jej dość bezpośredni sposób okazywania uczuć nie podziałał na Dereka nazbyt silnie.

Najwidoczniej nadal go pożądała, pomimo wszelkich narzekań i pretensji. I chociaż Derek cierpiał na nieuleczalny promiskuityzm, to jednak lubił pozostawiać dziewczynom inicjatywę. Wątpiłam, czy kiedykolwiek musiał się za kimś uganiać. Z tego co słyszałam, Linda odbiła Dereka ciężarnej dziewczynie i od tamtej pory trzymała go przy sobie zębami i pazurami. Może gdyby Lesley i Naomi stoczyły o niego bój, zwyciężczyni rzeczywiście przypadłaby nagroda. Wyścigi są dla silnych i zdeterminowanych.

Rachel i ja dotarliśmy do klubu na kwadrans przed północą, wystarczająco wcześnie, żeby nas wpuścili. Impreza i tak miała trwać do rana, jak zawsze, kiedy w grę wchodzi Ecstasy. Ci, którzy odlecieli musieli mieć czas na powrót, zanim dopadnie ich poranny chłód. Ale ostatnio małe kluby w stylu Lambeth i paru innych, których nazwy krążyły wśród wtajemniczonych, robiły prawdziwą furorę i nie chciałam pchać się na drugą stronę rzeki tylko po to, żeby pocałować kłamkę.

Klub miał doskonałą lokalizację, pod wiaduktem kolejowym w małej uliczce niedaleko brzegów Tamizy. Zaparkowałam samochód i przez chwilę stałam obok niego, wdychając zapachy nocy. Ciemność rozświetlały łańcuchy pomarańczowych latarni, lśniącej jak fluorescencyjna biżuteria noszona przez bywalców Paradisiac. Most błyszczał jak świąteczna ozdoba, a szum samochodów, które po nim przejeżdżały, brzmiał jak strumień. Przy wejściu do klubu stał jakiś śmiejący się gość. Gdybym wyteżyła słuch, słyszałabym głębokie wibracje basów. To było cudowne uczucie wiedzieć, że ten wieczór dopiero się zaczyna, w porze, kiedy większość ludzi już spała albo leżała przed telewizorem.

Mój nastrój poprawiał się z każdą chwilą. Jeszcze w mieszkaniu Rachel i ja strzeliłyśmy sobie po małej dawce amfy, żeby później nie wyróżniać się z tłumu. Ale nie przyszyliśmy tu

się zabawić. Staliśmy w kolejce do wejścia, przestępując z nogi na nogę dla rozgrzewki. Nie potrzebowałyśmy zaproszeń - klub stał w mało eksponowanym miejscu, więc właściciele nie musieli się martwić, że będą ich nękać zabłąkani turyści i podpici piwosze.

Po chwili zobaczyłyśmy Briana, stojącego przy drzwiach. Pomachałam do niego. Ku mojemu zdumieniu odpowiedział tym samym.

- W porządku? - zapytał zaskakująco przyjaznym tonem.

- Widziałyśmy twoją ulotkę.

- Będzie dzisiaj ostro - oświadczył z dumą. - Bawcie się dobrze - dodał po chwili, a raczej zagrzmiał.

Wymieniłyśmy z Rachel zdumione spojrzenia. Miała świetny pomysł z tą wizytą w klubie. W ciągu pięciu minut wypowiedział więcej słów niż kiedykolwiek, odkąd go znałam.

Za drzwiami stali kolejni bramkarze i usiłowali groźnie wyglądać.

- Twoje przyjaciółki? - powiedział jeden do Briana. - Nie tracisz czasu, co nie?

Drugi tylko zachichotał. Tymczasem my właśnie dotarłyśmy do drzwi.

- Co tak stoisz - burknął Brian do tego, który chichotał. - Otwórz paniom drzwi.

Chociaż drugi z bramkarzy do ułomków nie należał - wyglądał jakby tatuś wystrugał go z bardzo dużych kartofli i dołożył jednego, niedokładnie obranego, na czubek - to jednak najwyraźniej wolał nie zadzierać z Brianem. Błyskawicznie chwycił klamkę i po chwili szeroko otworzył przed nami drzwi.

Weszłyśmy do małego, czarnego przedsionka, w którym zobaczyłyśmy kolejnego, solidnie zbudowanego bramkarza, który rozmawiał z jakimś naćpanym chłopcem w kraciastym wdzianku i czapce z daszkiem.

- Przyjaciółki Briana - krzyknął kartoflowaty.

Dziewczyna za szklanym przepierzeniem wzięła od nas po siedem funtów. Nad nią wisiała tabliczka z napisem „Wstęp 10L. Nie można wchodzić dwukrotnie”, ale widocznie „Przyjaciółki Briana” wchodziły na specjalnych prawach. Otworzyłyśmy kolejne czarne drzwi i weszłyśmy do samego klubu. Bar mieścił się po prawej, obok paru wygodnych leżanek i krzeseł ustawionych pod ścianą. Większość miejsca zajmował jednak parkiet taneczny, znajdujący się dokładnie pod łukiem kolejowym. Przeszłyśmy do następnej sali, gdzie zobaczyłyśmy oddzielny, mały bar i platformę dla didżeja. Już teraz na środku tańczyło paru ekshibicjonistów, ale większość chowała siły na później.

W Lambeth panowała gotycka atmosfera, dzięki czemu od razu poczułam się jak w domu. Wszystko było pomalowane na czarno, z wyjątkiem ogromnych filarów, udających marmur. Kolorowe światła igrały po ścianach i po odblaskowych ciuchach gości. Dominowało srebro, złoto i szkocka krata, chociaż tuż obok nas siedziała grupka dziewczyn w tanich, cekinowych sukienkach. Najodważniejsza z nich miała długie, białe rękawiczki i czerwoną suknię z wielkim dekoltem, która sięgała jej do kostek. Jej koleżanka zgodnie z wymogami mody nie włożyła na nogi nic z wyjątkiem krótkiej spódniczki o kroju litery A.

Niestety, dostała gęziej skórki, co już nie było tak na topie. Zarówno kamienne ściany, jak i podłoga wydawały się zimne i mokre. Po paru godzinach tańczenia z pewnością się rozgrzewały, ale o północy dziewczynom przydałyby się jeszcze wełniane skarpety.

Rachel zamówiła dwa piwa, z których każde kosztowało chyba tyle, co opłata za wstęp, po czym usiadłyśmy przy barze, czekając, aż klub się wypełni. O tej porze nie miałyśmy jeszcze po co rozmawiać z Brianem - musiał pilnować napływającego strumienia gości. Zamierzałyśmy do niego uderzyć, kiedy już wszyscy wejdą i nie będzie miał nic do roboty poza staniem pod drzwiami.

Musiałam przyznać, że muzyka w klubie była bardziej melodyjna niż zwykle. Normalnie wykańcza mnie to obsesyjne powtarzanie rytmów. Kiedy jedziesz na czymś w rodzaju Ecstasy, nawet najprostsza muzyka wydaje się niezwykle głęboka. Ale jeśli zażyłaś wspomaganie i chcesz się wyszaleć, piosenka typu „Come With Me To Ecstasy” czy „I’m Coming Up On Love”, w której jakaś baba wykrzykuje te same słowa po sto razy i to w dodatku do tej samej melodii, naprawdę działa ci na nerwy. Pocieszał mnie tylko fakt, że słuchając tej szmiry poszerzałam swoje horyzonty i zaznajaniałam się z najnowszymi trendami.

Chłopiec w kraciastym wdzianku siedział obok nas przy barze i zamawiał sok pomarańczowy.

- Chcecie coś, dziewczyny?

Potrząsnęłyśmy głowami. Chłopiec odszedł w poszukiwaniu innych klientów. Miał przekreśloną czapkę i kościstą, niezwykle ekspresyjną twarz, jedną z tych, które zapowiadają kłopoty. Spod kurtki wyzierała naga pierś, nie pokryta ani włosami, ani gęsią skórką. Gładka i wątła, wyglądała jak kawałek przeżutego sznurka.

- Pójdziemy potańczyć? - spytała Rachel, odstawiając pustą szklanekę. Dziewczyny w cekinach stanęły już na parkiecie, w świetle reflektorów, i pokazywały jak się tańczy do tego typu muzyki. Pewnie musiały rozgrzać swoje gołe nogi. Światło opromieniało każdy ich ruch, a ruszały się świetnie. W klubie panowała wyjątkowo przyjazna atmosfera, ciepła i lekko nasycona seksem - zupełnie inna niż w grungeowych lokalach, w których bywałam do tej pory. Tutaj nie przychodziło się na podryw, ale na radosne szaleństwo, ci ludzie nie byli obcymi, ale przyjaciółmi, których jeszcze nie poznałaś. Mnóstwo facetów i dziewczyn, których w życiu nie widziałam na oczy, teraz witało się ze mną w przejściu. Chociaż wydało mi się to nieco hippisowskie, to nie mogłam się oprzeć czarowi miejsca, w którym ludzie dobrze się bawią. W moich klubach obowiązuje niepisana reguła, że goście mają wyglądać może nie jak kandydaci na samobójców, ale przynajmniej jakby leczyli się z ciężkiej depresji.

Odkąd raz wyszłam na parkiet, nie mogłam przestać tańczyć, niesiona rytmem i entuzjazmem Rachel, która uwielbiała tego typu muzykę. Nagle jakiś chłopak w białej koszuli i srebrnych spodniach chwycił ją za rękę i zaczęli tańczyć razem, śmiejąc się i splatając

ramiona w skomplikowane wzory. Rachel wyczuła moje spojrzenie i odwróciła się do mnie z szelmowską miną. Poruszała się płynnie i gibko.

Tuż obok mnie stało jedno z podwyższeń, rozsianych po parkiecie. Tańczyła na nim grupka dziewczyn w cekinach, które machały rękami ponad głowami ludzi. Wyglądało to szczególnie efektownie w wykonaniu dziewczyny w białych rękawiczkach. Przedarłam się do wyjścia i na chwilę przystanąłam przy jednym z filarów, zerkając w stronę Rachel. Nadal tańczyła z chłopcem w srebrnych spodniach i najwyraźniej nie zwróciła uwagi, że zniknęłam. Nie miałam pojęcia, która mogła być godzina, ale nie zjawiali się już żadni nowi przybysze. Kupiłam butelkę piwa w barze, po czym ruszyłam do przedsionka, ignorując tabliczkę z napisem „Nie można wchodzić dwukrotnie”. W końcu byłam „Przyjaciółką Briana”.

Mój przyjaciel i jego kolega, bramkarz, stali na końcu korytarza.

- ...ale nie musi robić tego tak cholernie jawnie, prawda? - mówił bramkarz. - Równie dobrze mógłby sobie powiesić na szyi tabliczkę „Sprzedaję narkotyki!”. Co on sobie myśli?

Uznałam, że rozmawiają na temat chłopaka w kraciastym wdzianku.

- O, Sam - powiedział Brian, ledwo mnie zauważył. - Dobrze się bawisz?

- Super.

Drugi bramkarz zmył się do środka klubu. Ledwo otworzyłam drzwi, powiew lodowatego powietrza uderzył mnie w rozgrzane ciało jak bicz, ale jak prawdziwa kobieta udawałam, że nic się nie stało.

- Chcesz trochę? - spytałam, wyciągając piwo w stronę Briana.

- Nie, dziękuję. Nie piję.

- A, jasne. Ee.

Nie ustaliłam sobie wcześniej, co właściwie powiem i teraz brakowało mi słów. Jako osoba dość gadatliwa uważam, że takie silne, milczące typy jak Brian powinny zostać poddane resocjalizacji.

- Widziałam cię dzisiaj, jak trenujesz - wypaliłam w końcu.

Brian wydał z siebie tylko nieokreślony pomruk. Znowu zapadła cisza. Nerwowo ścisnęłam butelkę w ręce. Powoli traciłam nadzieję na rozmowę, ale pocieszałam się myślą, że chociaż Brian mógł być znudzony, to przynajmniej stał obok mnie. Jego czarna, obszerna kurtka rozchyłała się na wysokości moich oczu, ukazując rozwinięte mięśnie klatki piersiowej, które rozsadały obcisłą, białą koszulkę. Muzyka wciąż pulsowała, szturmując dwie pary cienkich drzwi jak morskie bałwany, które napierają na falochron.

- Jakie to okropne, co się teraz dzieje na siłowni, nie sądzisz? - zapytałam straceńczym tonem.

Brian mruknął ponownie, ale chyba z większym zaangażowaniem, jakby chciał powiedzieć „tak”. Uznałam, że robię postępy i że jeśli potrafi również wyrazić „nie”, to jesteśmy na dobrej drodze do porozumienia. Co prawda minęły lata, odkąd ostatni raz grałam

w dwadzieścia pytań, ale mogłam sobie szybciotko przypomnieć zasady. Jednak po chwili Brian przemówił znowu, z ogromnym wysiłkiem dobywając z siebie każde słowo.

- Ale teraz już nic nie zrobią.

- Kto nie zrobi? Czego? - zapytałam zdezorientowana.

- No wiesz. - Brian łaskawie postanowił mi wytłumaczyć o co chodzi. - Teraz jak Linda nie żyje, nie sprywatyzują siłowni - dodał głosem, wydobywającym się z głębi przepony, zgodnie z zaleceniami najlepszych nauczycieli dykcji.

- A, fakt. Eee. Ja miałam na myśli właśnie to, że Linda nie żyje.

Brian znowu burknął coś pod nosem, tym razem zdecydowanie pogardliwym tonem. Oczekałam chwilę, ale najwyraźniej nie miał już nic więcej do powiedzenia na ten temat.

- Ty też byłeś na dole, kiedy to się stało, prawda? - ciągnęłam. - Policja przeszukiwała mnie już dwa razy - powiedziałam podstępnie, podkreślając, że ja też jestem podejrzana.

- Taa. Ćwiczyłem. Zabrali mi ubranie, żeby sprawdzić czy nie ma krwi.

- Serio? Mnie też - odparłam entuzjastycznie, w nadziei, że wspólnota doświadczeń zbliży nas do siebie. - Dostałeś już je z powrotem?

- Wczoraj. Nic nie znaleźli. Mówiłem im, że tak będzie.

- Na moim podobnie. Oczywiście - dodałam pospiesznie, zdając sobie sprawę z głupoty własnych wypowiedzi. - Bardzo cię wymęczyli?

Uniósł ramiona, po czym po prostu pozwolił im opaść. Miał tak twarde mięśnie, że niemal słyszałam, jak ze szczękiem wracają na swoje miejsce. Zdaniem Briana ten gest wystarczał za całą odpowiedź.

- Ciekawe, kogo najbardziej podejrzewają - powiedziałam nonszalancko.

- Dereka - zbulgotał Brian, gdzieś w głębi klatki piersiowej.

- Masz na myśli, że ich zdaniem to Derek zabił Linde?

Kiwnął głową.

- Skąd wiesz?

- Sto razy mnie pytali, czy brał hantle z hali. Powiedziałem, że nie, ale mi nie uwierzyli.

Zdawało mi się, że zaraz doda coś jeszcze, więc czekałam cierpliwie, ale po dłuższym milczeniu dałam za wygraną. Już chciałam otworzyć usta, kiedy rozległ się bas Briana.

- To nie on - zagrzemiał.

Wypiłam duży łyk piwa dla uspokojenia.

- Czemu tak sądzisz?

- Derek by tego nie zrobił - powiedział tak głębokim głosem, że każde słowo zyskiwało ogromną wagę.

- Jasne. To znaczy, zgadzam się z tobą. - Moja odpowiedź zabrzmiała bardzo nieszczerze. Znowu sięgnęłam po puszkę z piwem. Z nie znanych mi przyczyn ta rozmowa wyraźnie wyprowadzała mnie z równowagi.

- A według ciebie kto jest winien? - palnęłam.

- Ty - odparł, patrząc na mnie z góry.

Dopiero po dłuższej chwili zorientowałam się, że żartował. Miał lekko uniesione kąciki warg.

- O, ha, ha, ha - powiedziałam. - Bardzo zabawne.

Brian śmiał się bezgłośnie. Widziałam, jak jego muskuły napinają się i rozluźniają w krótszych niż zazwyczaj odstępach.

- Hm. To ja idę sobie potańczyć. - Dopiliśmy piwo. - Miło się z tobą gawędziło.

Chciałam, żeby to zabrzmiało sarkastycznie, ale Brian chyba brał wszystko za dobrą monetę.

- No, z tobą także, Sam. Do zobaczenia.

Ruszyłam z powrotem do drzwi. Otwierając je, popatrzyłam za siebie i natychmiast pożałowałam, że to zrobiłam. Brian patrzył na mnie bardzo dziwnym wzrokiem.

* * *

Pod moją nieobecność parkiet przemienił się w ciasno upakowaną płataninę spoconych ciał. Chłopak w srebrnych spodniach, który tańczył z Rachel, teraz zrzucił koszulkę i prezentował zgrabny zestaw mięśni brzucha, gimnastykując się na jednym z podwyższeń. Za nim stał diler w ubraniu w kratkę. Także zdjął kurtkę i najwyraźniej zażył sporo własnego towaru. W kontraście z gościem w srebrnych spodniach wyglądał nieszczególnie, ale był tak naćpany, że chyba go to nie onieśmialo. Dziwił mnie sam fakt, że jeszcze trzyma się na nogach, nie wspominając już o wygibasach na podium wysokości metra. Jednak na twarzy miał wyraz nieopisanej rozkoszy i unosił ręce w górę w geście czcicieli słońca.

Wolno przebijałam się przez wilgotną masę ludzi. Tańczący nie tylko zdążyli już całkiem odlecieć, ale w dodatku lepili się od potu. Kiedy w wilgotnej piwnicy zbierze się spora grupa tancerzy, którzy zażyli narkotyki, wzmagające potliwość ciała, na efekty nie trzeba długo czekać. Idąc, otarłam się ręką o ramię dziewczyny w srebrnej sukience. Jej materiał zostawił na moim ciele lepkie, śluzowate ślady przypominające wydzielinę świeżo obudzonego ślimaka.

W końcu dotarłam do łazienek, w których panował dość bachiczny klimat. Faceci i dziewczyny tłoczyli się wokół umywalek i usiłowali zdobyć dostęp do kranów. Zastanawiałam się, czy zarząd klubu celowo wyłączył wodę, żeby zmusić ludzi do kupowania horrendalnie drogiej wody mineralnej przy barze. Było to nie tylko nielegalne, ale też niebezpieczne, bo w takich warunkach organizm bardzo łatwo ulega odwodnieniu. Jednak nasłuchując gwałtownych skarg pijących zrozumiałam, że klub wybrał rozwiązanie kompromisowe: woda działała, ale tylko ciepła.

Z kabiny, przed którą stałam, wyłoniły się naraz trzy dziewczyny. Zamknęłam się w środku i zażyłam kolejną porcję amfy dla odświeżenia sił. Nikt się na mnie nie gapił, ale

zdawałam sobie sprawę, jak bardzo odstaję od towarzystwa. Wszyscy wokół mieli około osiemnastu lat i ubierali się w jasne stroje. Zerknęłam do lustra. Szminka - trzymała się na właściwym miejscu. Włosy - nie opadały. Krzyżyk - nadal wisiał na obróżce. Czyli wszystko w porządku, pomyślałam. Tylko że naprawdę nosiłam za dużo czarnych ciuchów. To jest jednak spora wada.

Znalazłam Rachel przy barze, nad szklanką coli z rumem.

- Hej, Sam! - powiedziała, obejmując mnie w pasie.

- Jak dobrze cię widzieć!

Albo naprawdę świetnie się bawiła, albo Srebrne Spodnie dał jej coś, kiedy poszłam do Briana.

- Chcesz jeszcze drinka? - wrzasnęłam, przekrzykując muzykę.

- Nie. A zresztą, cholera, dlaczego? Pewnie, że chcę - wydarła się Rachel.

- I o to chodzi!

Zamówiłam drinki. Jeszcze jedno piwo wyczerpywało mój limit na ten wieczór.

- Na zdrowie! - Stuknęłyśmy się szklankami.

- Niezły strzał - pochwaliłam, wskazując na Srebrne Spodnie, który nadal tańczył na podwyższeniu.

- Ma najwyżej osiemnastkę - odparła Rachel, chichocząc.

- Ładny i nadaje się do zdemoralizowania.

Tym razem zachichotałyśmy obie.

- A właśnie - zaczęłam, nagle przypominając sobie, po co tu przyszłam. - Rozmawiałam z Brianem.

W tej samej chwili pożałowałam tych słów. Rachel należała do tych ludzi, dla których pijaństwo to nastawienie umysłu, a nie ilość promili we krwi. To zdanie wystarczyło, żeby natychmiast wytrzeźwiała.

- I co mówił? - zapytała poważnym tonem.

- Nic specjalnego. On też nie podejrzewa Dereka.

Rachel nachyliła się do mnie, żeby lepiej słyszeć.

- To kto ją zabił jego zdaniem?

- Powiedział, że ja. Chyba żartował.

- Brian żartował? - zapytała Rachel, najwyraźniej nie wierząc własnym uszom.

Potaknęłam.

- Zmyślasz.

- Nawet się roześmiał.

- No, no. Niezły numer. - Dokończyła drinka i odstawiła szklankę na blat. - Idziemy?

- Myślałam, że chcesz jeszcze zostać.

Potrząsnęła głową.

- Nie, już się wyszalałam. I chyba zrobiło się późno.

Odebrałyśmy palta z szatni, po czym wyszłyśmy na zewnątrz. Brian i jego podkomendni stali tuż pod drzwiami.

- Cześć - powiedziałam do Briana.

- Cześć, Sam, cześć Rachel - odparł, wyciągając ogromną dłoń, żeby nam pomachać. Gdyby to on zabił Lindę, nie musiałby używać hantli. Wystarczyłyby mu gołe dłonie. - Do zobaczenia.

Rachel zamarła z wrażenia.

- A nie mówiłam? - szepnęłam bezgłośnie, zapinając płaszcz.

Cała dygotałam z zimna. Nie ma lepszego sposobu na złapanie kataru, jak spocić się w wilgotnym, gorącym klubie, po czym wyjść na chłodne, nocne powietrze. Ale ja byłam tak dumna z mojego lamparciego płaszcza, że nie pozwalałam, żeby przynębiały mnie takie przyziemne sprawy.

Zegar w samochodzie wskazywał drugą trzydzieści. W Silver to już pora zamknięcia, podczas gdy tu impreza dopiero się rozkręcała. Bez żadnych trudności wróciłam na naszą stronę rzeki. Jechałyśmy w milczeniu. Londyn nocą jest taki spokojny i wyciszony. Po drogach przemykają nieliczne pojazdy, w biurach nie palą się światła. To tak, jakby płynąć po ciemnym morzu, obok innych statków, mknących obranym przez siebie szlakiem. Małe grupki ludzi, schowane w przytulnych, subtelnie oświetlonych wnętrzach pojazdów. Czułam się tak, jakby cały Londyn należał tylko do mnie, jakbym właśnie dokonywała inspekcji mojej własności. Okazałe, cudownie podświetlone budynki wzdłuż Tamizy wyglądały jak pałace skąpane w bladej poświacie. Mój umysł unosił się w coraz wyższe rejony. Ale potrafię być poetycka, kiedy jestem naćpana.

Wkrótce dotarłyśmy na przedmieścia Camden.

- Dzięki, że mnie wyciągnęłaś. Naprawdę mi się podobało - powiedziała Rachel, ziewając.

- Supermiejsce, nie? - Odwróciłam się, żeby popatrzeć na nią z uśmiechem. - Muzyka była chyba bardziej w twoim guście niż w moim.

- Następnym razem my też zaszalejemy z Ex. Przygotuj się.

- To kiedy będzie ten następny raz?

- Może w przyszły weekend? - zaproponowała.

- Dobra.

Skręciłam w jej uliczkę, zwalniając do jakichś pięciu kilometrów na godzinę. Blok, w którym mieszkała Rachel ciągnął się przez całą ulicę i łatwo było przeoczyć właściwą klatkę.

- To ten - powiedziała po chwili Rachel. - Dzięki.

Zaparkowałam przed właściwym wejściem. Rachel pocałowała mnie na dobranoc, po czym wysiadła.

- Do soboty - powiedziała jeszcze, nachylając się nad moim oknem.

- Jesteśmy umówione.

Patrzyłam, jak wspina się po schodach i idzie do drzwi. Miała na sobie czarny płaszcz przeciwdeszczowy, zawiązany w talii i uczesana była w kok na czubku głowy. Nawet prosta czynność wchodzenia do mieszkania wyglądała w jej wykonaniu tak efektownie, jak wielkie solo Odetty z „Jeziora łabędziego”.

Od czasów szkolnych nigdy nie otaczałam się paczkami przyjaciół, z którymi mogłabym chodzić na imprezy i kłócić się o bzdury. Z natury jestem samotniczką. Ale Rachel bardzo do mnie pasowała. Obie nie przepadałyśmy za towarzystwem, więc szanowałyśmy nawzajem naszą potrzebę samotności, a zarazem uwielbiałyśmy się bawić na tyle, żeby pozwolić sobie na trochę luzu na imprezie. Cieszyłam się, że tego wieczora bawiła się równie dobrze jak ja. Im dłużej ją znałam, tym więcej sympatii do niej żywiłam, a to nie zdarza się często. Mam mnóstwo znajomych, ale niewielu przyjaciół. Teraz zanosilo się na to, że będę mogła kogoś dodać do tej krótkiej listy.

Mieszkania były znakomicie zaprojektowane, przynajmniej z punktu widzenia bezpieczeństwa. Wszystkie drzwi frontowe wychodziły na ulicę. Nie odjechałam dopóki nie zobaczyłam, jak Rachel zamyka za sobą drzwi i włącza światło w salonie. Po chwili znowu zgasło. Ziewnęłam, przeciągnęłam się, po czym zapuściłam silnik i ruszyłam do domu.

14.

Po przebudzeniu czułam szum w głowie i rozpierającą mnie energię. Nie ma to jak kac po amfie, kiedy planujesz wiosenne porządki. Mniej więcej godzinę zajęło mi czyszczenie antresoli: usuwanie pokładów ubrań i książek, które zalegały na podłodze oraz ścielenie łóżka, a właściwie legowiska, które na ogół tylko zarzucałam stertą koców. Potem zeszłam na dół, wrzuciłam płytę Depeche Mode - „Songs of Faith and Devotion” - nastawiłam maksymalną głośność i poszłam sprzątać łazienkę. Umyłam nawet spód siedziska z muszli klozetowej, czego na ogół nie robię, wychodząc z założenia, że jeśli jakiemuś facetowi będzie to przeszkadzało, to może sobie umyć sam. Nikt poza mężczyznami nie ogląda tego miejsca. Znałam na pamięć wszystkie ponure piosenki z płyty. Melancholijne ballady pełne egzystencjalnego bólu są idealne do prac domowych.

Nuciłam sobie w najlepsze, szorując mydelniczkę gąbką pokrytą cifem. Uznałam, że zdecydowanie wolę taką muzykę od tych rozkosznych śpiewów na temat dozgonnej miłości, wykonywanych przez sztucznie odchudzanych soulowych wokalistów, których własne związki trwają krócej niż piosenki o nich. Tymczasem dotarłam już w pół drogi w dół klozetu i nadal nie przestawałam zawodzić. Podśpiewywanie przy robocie naprawdę pomaga.

Kiedy płyta się skończyła, odgwizdałam fajrant, wrzuciłam gąbkę do zlewu i wskoczyłam na sofę, czując, jak cnota paruje ze mnie wszystkimi porami. Zadzwoiłam do Janey, mojej przyjaciółki od gołębi, ale odpowiedziała mi tylko sekretarka. Nagrałam komunikat o swoich problemach. Odkładając słuchawkę, włączyłam telewizor. Leciąło akurat „Eastenders”, więc ułożyłam się wygodniej przed ekranem. W połowie filmu zadzwonił Tom, ale warknęłam, żeby oddzwonił o trzeciej i rzuciłam słuchawkę. Powinien już się nauczyć mojego niedzielnego rozkładu jazdy.

Tom oddzwonił kwadrans po trzeciej, kiedy byłam w połowie obiadu (tost z fasolą) i umówiliśmy się, że wpadnę do niego na wieczór i pooglądamy sobie wideo, jedząc pizzę. Działanie amfy powoli się kończyło, ale umożliwiło mi jeszcze umycie talerza i patelni. A potem ubrałam się i wyszłam. Musiałam z kimś porozmawiać.

Dostałam jej adres od Lou. Nie wiedziałam nawet dlaczego tak bardzo mi zależy na tym spotkaniu - może zwykła konsekwencja? Nie, coś więcej. Miałam przeczucie, że usłyszę coś ciekawego, nawet gdyby powiedziała mi tylko co sądzi o winie bądź niewinności Dereka.

Pod wskazanym adresem stał wielki, wiktoriański dom naprzeciwko Parliament Hill. Ona musi nieźle zarabiać, pomyślałam. Czynsz za mieszkanie w tej okolicy kosztuje fortunę. Okna wychodziły na główną drogę, ale tuż obok rozciągały się tereny zielone Parliament Hill, a jeszcze dalej Hampstead Heath. Jednak parkowanie było tu chyba dość trudne - przynajmniej dla mnie. Po obu stronach jezdni stały znaki informujące, że w tej strefie jeśli zaparkujesz na pięć minut, żeby wejść po swoją chorą babcie i zabrać ją do lekarza, to oni zdemolują ci samochód, a następnie poleją go benzyną i podpalą, najlepiej z babcia w środku. I jak ja miałam w tych warunkach obserwować dom? Miejscy planiści są takimi egoistami.

Na szczęście niedaleko upatrzonych przeze mnie drzwi, po tej samej stronie ulicy, mieścił się przystanek. Zaparkowałam samochód za rogiem, po czym usiadłam na ławeczce i otworzyłam „Observera”, którego kupiłam specjalnie w tym celu. W razie gdyby moja ofiara nie zjawiła się w ciągu godziny, zamierzałam albo zadzwonić pod byle pretekstem, albo iść na drinka. Prawdopodobnie to drugie. Mój intelekt wymagał ostatnio odpoczynku.

Właśnie kończyłam kolejny ciekawy artykuł, kiedy spostrzegłam, jak ktoś wychodzi przez frontową bramę. W pierwszej chwili zirytowałam się, że przerwano mi lekturę. Potem zobaczyłam jej twarz i natychmiast zapomniałam o gazecie. Wiedziałam, że ta dziewczyna musi być Janice, eks-przyjaciółką Dereka. Lou opisała mi ją dość dokładnie. A poza tym w jednym domu nie mogło być więcej szczupłych, eleganckich blondynek (Derek pozostawał, jak widać, wierny swoim upodobaniom). Szczególnie takich, którym towarzyszył mały chłopiec, chodzący portret Dereka, tyle że kilka odcieni jaśniejszy? Z początku widziałam oboje tylko od tyłu, ale Janice odwróciła się po chwili, otwierając bramę. Poznałam ją od razu.

To była dziewczyna, którą widziałam z Derekiem w klubie Silver.

* * *

Błyskawicznie ukryłam twarz w otwartym piśmie. Kątem oka widziałam, jak idzie ulicą w moją stronę, trzymając chłopca za rękę. Była ubrana na czarno, nie w stylu Camden („nie widać plam i ukrywa tłuszcz”), ale w stylu najlepszych projektantów („elegancja i prostota”). Miała na sobie spodnie jeździeckie, sweter polo, kurtkę z paskiem z bardzo miękkiej skóry i buty do kostek na modnym, kwadratowym obcasie. Coś takiego mogłaby włożyć także Rachel. Tymczasem od chłopca aż biły jaskrawe kolory: żółta kurtka, czerwona czapka, sweter w paski, puchowa kamizelka i zielone dżinsy. Gówniarz jak z żurnalu. Najwyraźniej dzielił się z matką jakąś ekscytującą informacją i wyglądał przy tym tak ładnie, że mogłaby zarobić fortunę, sprzedając jego wizerunek agencjom reklamowym. Już widziałam opakowanie mydła ze zdjęciem tego chłopczyka w nieskazitelnie białym swetrze, który tak wspaniale podkreśliłby czekoladowy kolor skóry.

Chwilowo nie musiałam się zastanawiać, co robić dalej, bowiem urodziwa para usiadła obok mnie na przystanku. Miło z ich strony. Zerknęłam na nią bez szczególnego zainteresowania, tak jak się zerka na sąsiada na ławce. Na chwilę wróciłam do lektury, po czym popatrzyłam znowu, jakbym coś sobie przypomniała.

- Przepraszam, czy myśmy się już gdzieś nie spotkały? W klubie Silver, jakiś czas temu?
- spytałam, starając się sprawiać wrażenie osoby towarzyskiej i otwartej na ludzi do tego stopnia, że mogłaby zacząć rozmowę z nieznajomą na przystanku. Po namyśle uśmiechnęłam się do Janice najmniej zwariowanym uśmiechem, na jaki było mnie stać.

Janice odpowiedziała tym samym.

- Czy to ten klub pod Underworld? Tak, poszliśmy tam jakieś parę tygodni temu - powiedziała przyjaznym tonem.

- Zgadza się! - wykrzyknęłam. - Widziałam cię z Derekiem, prawda? Pracuję w siłowni Chalk Farm i stąd go znam.

Potaknęła, ale widziałam, że imię Dereka podziało na nią przygnębiająco. Nie mogłam jej o to winić. Pewnie już nie raz słyszała je z ust różnych rozemocjonowanych dziewcząt.

- Zdziwiłam się widząc Dereka w takim klubie - ciągnęłam. - Nie sądziłam, że to jest w jego stylu.

- Bo nie jest! - Janice uśmiechnęła się wbrew sobie. - Poszedł wbrew własnej woli. Zabrał mnie na kolację i potem uparłam się, żebyśmy się gdzieś wybrali.

Nikt nie sprzeczałby się z kimś tak urodziwym, pomyślałam. Regularne, eleganckie rysy twarzy Janice przypominały mi chłodną piękność Grace Kelly. Hitchcock zakochałby się w niej bez pamięci. Jasne, błękitne oczy, gładka, alabastrowa skóra, złote włosy zaplecione we francuski kok, eksponujący jej łabędzią szyję... Janice nie wyglądała jak przeciętny bywalec Silver. Ale musiałam też przyznać, że tamtej nocy nie przypominała już tak bardzo anioła.

- Dobrze się bawiliście?

- O tak, świetnie. Ale tego wieczora nie trzeba mi było wiele, żeby trochę się rozerwać. Miałam tak upiorny tydzień, że czułam się, szczerze mówiąc, jak ścierka do naczyń. Derek poprosił jakąś swoją przyjaciółkę, żeby posiedziała z Devonem i zabrał mnie na kolację. Właśnie tego potrzebowałam.

- Jestem Sam - przedstawiłam się. - Sam Jones.

- Janice King.

Uśmiechnęłyśmy się do siebie. Tylko czekałam, aż dostanę jakiegoś skurczu od tego rozkosznego gruchania.

- Znam twoje imię - powiedziałam, wskazując na chłopca. - To musi być synek Dereka, prawda? Strasznie podobny.

- Devon? O tak, to synek Dereka. Wykapany tatuś.

Chcąc go przywołać, wyciągnęła dłoń zakończoną różowymi, lśniącymi paznokciami, ale Devon kompletnie ją zignorował.

- Pewnie wiesz już, co się stało na siłowni - powiedziałam. - Ktoś zabił Lindę.

Janice uniosła brwi.

- Derek mi mówił. - Zmierzyła mnie wzrokiem. - Powinnam być przygnębiona, ale nie potrafię - przyznała szczerze.

Widząc, że nie uciekam ze wstrętem ani nie czynię znaku krzyża, Janice natychmiast się rozjaśniła.

- Zawsze jej nienawidziłam - dodała z prostotą. - Odbiła mi Dereka. Dosłownie. - Popatrzyła na mnie. - Przykro mi, jeżeli się przyjaźniłyście.

- O, wręcz przeciwnie - odparłam, wykorzystując okazję do zacieśnienia więzi. - Nie mogłam jej znieść.

W tej samej chwili na przystanku pojawiły się kolejne dwie kobiety. Jedna z nich przyprowadziła małego chłopca, którego Devon najwyraźniej znał, bo błyskawicznie zeskoczył z ławki i klepnął go w ramię.

- W porządku, Tariq?

Janice zerknęła na chłopców.

- Cześć Sue - powiedziała do matki. - Zabierasz swojego potwora na powietrze?

- Tak, od czasu do czasu musi się przewietrzyć. Chyba dobrze mu to robi.

Sue oparła się o szklaną ścianę i wyciągnęła papierosy. Poczęstowała Janice, po czym obie zapaliły. Tariq i Devon przycisnęli nosy do szyby i zaczęli chrząkać. Po chwili podjechał jakiś autobus, ale ponieważ żadna z pań do niego nie wsiadła, ja także zostałam na miejscu.

- Linda zmieniła moje życie w koszmar - powiedziałam, szykując grunt pod interesujący mnie temat. - Gdyby nie to morderstwo chyba musiałabym odejść z pracy. Nie mogłam już jej znieść.

- Witaj w klubie. - Janice wyciągnęła nogi, zerkając przez ramię na Devona, który nadal stał przy szybie. - Zawsze wiedziałam, że Derek podrywa dziewczyny na prawo i lewo. To należało do umowy. Oczywiście niełatwo było mi się z tym pogodzić, ale... - urwała. - I wiedziałam, że ma romans z kimś z siłowni. Odkąd tylko się poznaliśmy. Ale to ze mną mieszkał. Wmawiałam sobie, że większość ludzi zdradza partnerów, a on przynajmniej niczego nie ukrywa. Myślałam, że jeśli dam mu wystarczająco dużo swobody, to go przy sobie zatrzymam. Naprawdę mnie kochał. Nadal mnie kocha. I uwielbia Devona.

Nie musiałam nic mówić, wystarczyło, że pozwalani jej wyrzucić z siebie wszystko. Najwyraźniej wciąż jeszcze cierpiała po odejściu Dereka, a przyjaciele prawdopodobnie nie mogli już znieść rozmów na jego temat. Podejrzewałam jednak, że jest jeszcze jeden powód, dla którego tak otwarcie mi się zwierzała. Być może w ten subtelny sposób dawała mi do zrozumienia, że nie mam czego szukać u Dereka, bo on właśnie próbuje wrócić do niej i do dziecka.

- Ale wyszło na to, że się przeliczyłam - ciągnęła. - Linda była jak... Jak pit bull. Odkąd raz go chwyciła w zęby, nie chciała już puścić. Nie wiem, dlaczego tak jej zależało, żeby mi

go odebrać. W końcu i tak romansowali już od wielu lat. Ale nagle zaczęła na niego wywierać potworną presję. Ciągle dzwoniła, robiła awantury i nigdy nie odpuszczała.

Janice popatrzyła na mnie cudownymi, błękitnymi oczami. Pewnie opowiadała to już tyle razy, że potrafiła wyciszyć wszelkie emocje i zachować kamienny spokój na twarzy, choć w głowie kłębiły się potężne uczucia. Pomimo wiatru nawet jeden kosmyk blond włosów nie wysunął się z koka. Najwyraźniej Janice lubiła zawsze mieć wszystko pod kontrolą.

- Derek pod wieloma względami jest bardzo słabym człowiekiem - ciągnęła. - Oddałby wszystko za bezproblemowe, łatwe życie. Lou kazała mi o niego walczyć, odegnąć Lindę spod drzwi. Ale ja nie potrafiłam. Mam bardzo stresującą pracę, musiałam się opiekować Devonem... Mały daje mi wycisk od świtu do zmierzchu... Lou z pewnością mówiła to w najlepszej wierze, ale ja nie czułam w sobie energii ani woli do walki z Lindą. Postanowiłam, że to Derek powinien zdecydować, co chce zrobić, a to oznaczało, że pójdzie po linii najmniejszego oporu.

Popatrzyła przed siebie.

- Żałuję, że nie posłuchałam Lou - powiedziała wolno. - Drugi raz nie popełniłabym tego błędu.

Na przystanek podjechał autobus C2. Drzwi otworzyły się zanim jeszcze na dobre stanął. To musiał być autobus Janice - nic innego się tu nie zatrzymywało. Wstałam z ławki i zauważyłam, że ona także się podnosi. Devon i Tariq wepchnęli się na schody przed dorosłymi i pognali z krzykiem na koniec pojazdu, gdzie zajęli miejsca na podwyższeniu. Nawet nie dosięgali nogami ziemi.

- Jak daleko jedziesz? - spytała Janice, pokazując bilety kierowcy.

- Na Regent Street. - Wymieniłam nazwę ostatniego przystanku.

- Serio? Ja też. Idziemy na ten nowy film Disneya, a potem do Planet Hollywood. To dlatego jest taki nakręcony.

Janice uznała za oczywiste, że usiądziemy obok siebie, przed Devonem i Tariqiem.

- Tylko nie hałasujcie - rzuciła przez ramię.

- Mamo - jęknął Tariq. - Dev idzie do Planet Hollywood. Czemu my nie możemy iść?

- Bo nie możemy, okej? - odparła stanowczo Sue, po czym wróciła do rozmowy z przyjaciółką.

- Teraz na siłowni panuje fatalna atmosfera - powiedziałam do Janice, usiłując skierować konwersację na pożądane tory. - Derek pewnie już ci mówił.

- Skarżył się, że policja bardzo go męczy - szepnęła Janice przez ściśnięte usta.

Autobus wjechał właśnie na stację Kentish Town. To był jeden z tych malutkich busów, niewiele większych od zwykłej półciężarówki, których kierowcy wyrażają swoją indywidualność poprzez otwieranie drzwi jeszcze w biegu i zamykanie ich długo po odjeździe z przystanku. Tym razem wsiadło dwóch alkoholików, mamroczących coś pod nosem.

Ściskali w rękach puszki Tennenfs Extra. Miałam tylko nadzieje, że nie wypadną, kiedy autobus ruszy.

- Derek może mieć kłopoty - stwierdziłam. - Czy mówił coś o okolicznościach tej sprawy?

Janice uśmiechnęła się sucho.

- O tak, opowiadał, jak to pokłócił się z Lindą o jakąś dziewczynę, a potem, tego popołudnia, jakaś inna dziewczyna wlała za nim do przebieralni. Jakie to typowe.

- Ale przynajmniej jest bardzo szczerzy - zauważyłam.

- Jasne. Nie uważa, żeby musiał cokolwiek przede mną ukrywać. Między innymi dlatego tak dobrze nam się układało. - Zaczepnęła powietrza. - Ale takie drobiazgi wywrą fatalne wrażenie na policji. Zobaczą tylko tego wielkiego, czarnego faceta, który ma dziewczyn na pęczki i oto nagle ginie jedna z nich, co gorsza biała. Wszyscy wiedzą, że Derek nie skrzywdziłby muchy, tylko jak to udowodnić?

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Z jakiegoś powodu przed oczami pojawiły mi się nagle twarze inspektora Monroe i sierżanta Hawkinsa. Ta druga pojawiła się jakby na dłużej. Co za wstyd. Alkoholicy wysiedli w Camden i zaczęli się drzeć na siebie nawzajem zanim jeszcze zdążyliśmy odjechać.

- A co u Lou? - spytała Janice. - Nie widziałam jej od wieków. Derek mówił, że zarządza teraz całą siłownią.

- Czuje się przy tym jak ryba w wodzie - odparłam. - To jedyna jasna strona tej sytuacji. W innym wypadku na pewno nie dostałaby awansu, a z pewnością na niego zasłużyła.

- Lou zawsze była dla mnie bardzo miła. Szczególnie po moim zerwaniu z Derekiem. Denerwowała się tym wszystkim jeszcze bardziej ode mnie.

- To jej instynkt macierzyński daje o sobie znać. Traktuje Dereka jak jednego z synów.

- Wiem, co masz na myśli - przyznała Janice z uśmiechem.

- Ty i Derek chyba jesteście teraz bardzo blisko - powiedziałam z wahaniem.

- O tak - odparła miękkim głosem. Zobaczyłam, że się uśmiecha. Nie do mnie. Do obrazka Dereka, który przechowywała w głowie. - Nadal się kochamy. I oczywiście mamy Devona. Derek często wpada, żeby się z nim spotkać. - Jej głos nagle nabrał twardszych tonów. - Lindzie się to oczywiście nie podobało, ale co mogła zrobić? Nie można zabronić mężczyźnie widywać się z jego własnym dzieckiem. Ja też zawsze mogę na niego liczyć, kiedy wpadam w dół.

- Tak jak w sobotę, kiedy poszliście do klubu?

- Dokładnie.

Autobus wyjechał na górę Delancey Street i zaczął krążyć wokół Regent Parku.

- Musiałaś naprawdę nie znosić Lindy.

- Możesz mi wierzyć! Ale i tak teraz jestem o wiele spokojniejsza. W końcu minęły już dwa lata.

- Spotykasz się z kimś innym?

Odwrociła się, żeby na mnie spojrzeć. Była kompletnie oszołomiona.

- Ale skąd, jasne, że nie! - powiedziała, jakbym pytała o coś niedorzecznego. Przejżdżaliśmy teraz przez Great Portland Street. Zbliżał się koniec trasy. Sue i Tariq wysiedli w Camden Town, a Devon skulił się na siedzeniu, wyglądając przez okno. Janice zerknęła na niego.

- W kinie spotkamy się z moją przyjaciółką - wyjaśniła. - Ma córeczkę w wieku Devona.

- Mamo, Julie ma dopiero cztery latka, a ja już prawie sześć!

- Pięć i pół - powiedziała do mnie Janice, na co Devon popatrzył na nią spod oka.

Autobus minął budynek BBC u wylotu Upper Regent Street.

- Boże, jestem taka nieuprzejma, wciąż tylko paplę o sobie - wybuchnęła nagle Janice. - Tak mi przykro... Aż się boję, co teraz o mnie myślisz.

- Wszystko w porządku, szczerze - pocieszyłam ją szybko. - Ludzie często opowiadają mi różne rzeczy. A ja lubię słuchać.

Tom uśmiełby się jak norka i wrzasnął „Ale ściemniasz!”, ale na szczęście go tu nie było.

- No, ja z pewnością sporo ci nagadałam! Dzięki za cierpliwość. Jesteś świetną słuchaczką.

Wymamrotałam jakiś protest, drżąc na myśl o tym, co by na to wszystko powiedział Tom. Autobus przejeżdżał przez Oxford Circus. Janice na pewno wysiadła na ostatnim przystanku, skoro szła na film - wszystkie kina mieściły się w pobliżu Piccadilly Circus, na końcu Regent Street. Wyliczyłam, że gdybym wysiadła natychmiast, mogłabym złapać ten sam autobus w jego drodze powrotnej, a Janice by tego nie zobaczyła. Nacisnęłam dzwonek i wstałam z siedzenia.

- Och, już wysiadasz? - Janice miała zawiedzioną minę. - Chciałabym, żebyśmy się jeszcze kiedyś spotkały.

- Ja też. Bardzo miło się z tobą rozmawiało.

- Obawiam się, że to głównie ja mówiłam. W każdym razie do zobaczenia! - Wyglądała, jakby chciała jeszcze coś dodać, na przykład podyktować mi swój numer telefonu, ale w tym samym momencie autobus zatrzymał się z otwartymi drzwiami. Z ulgą wysiadłam na ulicę. Naprawdę polubiłam Janice i nie chciałam się z nią zaprzyjaźnić pod fałszywym pretekstem.

Idąc chodnikiem, zerknęłam za siebie, w stronę autobusu. Devon przyciskał nos do szyby, a Janice machała do mnie przyjacielsko. Poczulałam się winna. Była dla mnie taka miła. Dała się podejść i jeszcze mnie za to przeprosiła.

Żałowałam, że nie umiałam znaleźć żadnego sposobu, żeby ją zapytać, co robiła tego popołudnia, kiedy Linda została zamordowana.

15.

- Widziałam dzisiaj twoją dziewczynę, Tom - powiedziałam, wgrzając się w wielki kawałek pizzy. Zgodnie z hasłem „jedz więcej świeżych warzyw” zamówiłam wegetariańską. Była pokryta kukurydzą, oliwkami, cebulą i papryką. Nie wiem, co Anglicy zrobiliby bez pizzy. Siedzieliśmy właśnie na dywanie w salonie, oparci o kanapę. Wokół nas wałały się pudełka z pizzą, w lodówce czekała zgrzewka piwa, a pod telewizorem - dwie kasety wideo. Super.

- Którą?

- Blondynę z klubu.

- Tę z ogonem? Gorącą lalę naszego ogiera?

- Okazało się, że to jego eks-dziewczyna. Mają synka.

- Farciarz! Zapłodnił ją?

- Jak ty to elegancko ująłeś. W każdym razie wyglądała fantastycznie. Miała taki francuski kok, zawinięty od spodu. Jak Grace Kelly lat dziewięćdziesiątych.

- Jak możesz mi to mówić... - jęknął Tom. - Nie ma w tobie za grosz kobiecej empatii.

Złożył trójkąt pizzy z kurczakiem Tikka i wetknął go sobie do ust.

- Ale niczego specjalnego nie odkryłam - przyznałam. - Poza tym, że ona wciąż go kocha.

- One wszystkie go kochają - wymamrotał z goryczą Tom, żując pizzę.

- Racja.

- Więc kto naprawdę zabił tę smoczycę?

- Cholera wie - mruknięłam ponuro i wzięłam sobie kolejny kawałek. - Ale jestem pewna, że nie ja i nie wierzę w winę Dereka albo Fliss. Zostają nam Jeff, Brian i Naomi. Nie wyobrażam sobie Briana w roli zabójcy Lindy. On ma taki wyważony charakter i nie robi niczego bez zastanowienia, rozważa nawet każdy żart. A to morderstwo wygląda, jakby zostało dokonane w afekcie.

- I ten Jeff miałby to zrobić, żeby Linda nie sprywatyzowała siłowni? - w głosie Toma zabrzmiało niedowierzenie.

- Jeff należy do nowych socjalistów.

- Aha. Ale mimo wszystko...

- Wiem, co chcesz powiedzieć. Odrzuciliśmy tę propozycję w głosowaniu, czemu miałby ją zabijać, skoro mogła najwyżej usiłować załatwić coś po znajomości w gminie? To bardzo słaby motyw, chyba że Linda zdążyła już zrobić coś, o czym się nie dowiedzieliśmy. Chyba powinnam to sprawdzić. - Upiłam łyk piwa. - Wczoraj wpadłam na niego przypadkiem i był jakoś wyjątkowo zawstydzony. I taki zaskoczony, że mnie spotyka. A przecież ja tam pracuję, na litość boską! Pewnie usłyszał od kogoś, że wszystkich przepytuję i boi się, bo ma coś na sumieniu. Tyle o Jeffie - powiedziałam. - Zostaje nam Naomi. Myślę, że Derek ją kryje. Chyba kłamie, a nie robiłby tego dla nikogo poza Naomi, z tych, którzy byli na dole. W końcu zginęła jego dziewczyna. Pewnie czuje się winny. Na przykład myśli, że Linda została zamordowana, bo on zaczął romansować z Naomi.

- Bardzo poważnie podchodzisz do tego śledztwa - wtrącił Tom.

- Po moich ostatnich doświadczeniach z morderstwami pozwól, że podejść z dystansem do starań policji.

- Więc robisz to w imię sprawiedliwości, a nie dla Rambo z wielkimi, brązowymi oczami. A może raczej z wielkim...

- Pamiętaj, że wulgarność to nie to samo co złośliwość - powiedziałam, dojadając pizzę. - Co oglądamy?

- „Windą na szafot” i „Gildę”.

- A niech mnie.

Tom jest znawcą kina, szczególnie *film noir* z lat czterdziestych. Szkoli mnie w tym temacie już od paru lat, więc teraz umiem nawet odróżnić Jane Greer od Greera Garsona.

Włożył pierwszą kasetę i włączył telewizor. Ja zgasiałam światła, po czym usiadłam obok niego i wbiliśmy wzrok w migoczący ekran. Nie sposób opisać tych filmów. Mogę tylko powiedzieć, że kto ich nie oglądał, ten wiele stracił w życiu. Tom oczywiście oszalał na punkcie Virginii Mayo. Zgadnijcie, jakie miała włosy. Nagród raczej nie przewiduję.

- I tak po tygodniu by ci się znudziła - powiedziałam. - Patrzyłaby na ciebie tymi wielkimi oczętami, myśląc o tym, jaki jesteś cudowny i wsłuchiwałaby się w brzmienie każdego twojego słowa...

- Żartujesz? To moja wymarzona dziewczyna!

Zerknęłam na zegarek. Dochodziła północ.

- Sam musi iść spać - ogłosiłam, wstając z kanapy. Rzuciłam okiem na pudełka i puszki. - Szkoda, że nie pozwalasz mi zostać i posprzątać.

- Ha, ha, ha - mruknął Tom, po czym przytulił mnie na dobranoc. - Do zobaczenia niebawem.

Pojechałam do domu z głową pełną obrazów Jane Greer i Roberta Mitchuma na plaży w Meksyku, stojących w świetle księżycy, Rity Hayworth, ściągającej wolno długą, czarną, satynową rękawiczkę... Ale i tak, wbrew sobie, mój umysł wciąż powracał do morderstwa Lindy.

Z jakiegoś powodu cała ta historia wydawała mi się aż zbyt prosta. Pięć osób w piwnicy, nikt nie wchodzi, nikt nie wychodzi... Następnym razem mogłabym sprawdzić pewną interesującą możliwość, która właśnie przyszła mi do głowy, pomyślałam.

* * *

Felice Bortshe napisała, że przyjęcie trwa od szóstej do dziewiątej, więc postanowiłam zjawić się o pół do ósmej. Ubiierz się na czerwono, powiedziała. Hm, właściwie dysponowałam czerwoną sukienką - miała krótkie rękawy, głęboki, kwadratowy dekolt i sięgała mi do pól uda. W czarnych, opalizujących rajstopach i wysokich butach z suwaczkami nie wyglądałabym jak smarkula. Żałowałam, że nie wiem na ile elegancko powinnam się ubrać. Cóż, Holland Park raczej nie kojarzyło mi się z luzackimi imprezkami. Dodałam czarną, plastikową obrózkę na szyję, zebrałam włosy do góry i przejechałam szminką po wargach. Szminka była w kolorze sukienki i nie zmywała się przed upływem tygodnia, bez względu na to, co robiłam.

Czy nie wyglądałam zbyt wyzywająco? Zerknęłam do lustra i stwierdziłam, że buty uratowały sprawę. Specjalnie je wypolerowałam. Lamparci płaszcz stanowiłby jednak o jeden krok za daleko, więc włożyłam czarną, skórzaną kurtkę i wybiegłam. Po chwili wbiegłam z powrotem i zażyłam to, co zostało z grama amfy. Nie było tego wiele, ale wystarczyło, żebym wytrzymała doświadczenia koktajlowej konwersacji.

Pojechałam pod wskazany adres własnym samochodem. Nie miałam wyboru. Jazda komunikacją miejską z północno-północnego wschodu na południowy zachód Londynu to pomysł tylko dla ludzi, którzy lubią spędzać wolny czas na przedzieraniu się przez labirynt Hampton Court. Dom był wielki, biały i paraliżująco elegancki. Stał przy jednej z tych szerokich alejek, przy których zawsze mieszkają bardzo bogaci ludzie. Wzdłuż ulicy straż miejska rozmieściła mnóstwo „grubych policjantów”, żeby arystokraci nie jeździli po niej zbyt szybko swoimi beemkami i nie wpadali na siebie nawzajem. Przez pięć minut siedziałam w samochodzie, usiłując nie gryźć paznokci. Po chwili zobaczyłam grupkę wysztafirowanych elegantek, wchodzących do środka, stchórzyłam i odczekałam kolejnych dziesięć minut. W końcu wyszłam z samochodu, ale tylko dlatego, że po amfie nie potrafiłam długo usiedzieć w jednym miejscu.

Cały ogródek od frontu został wyłożony chodnikiem, nie licząc małego skrawka ziemi na samym środku, gdzie rosły dwa metrowe drzewka wystrzyżone na kształt lizaka. Jedno było odrobinę niższe od drugiego. Ten skrawek zieleni wyglądał naprawdę niesamowicie skromnie w porównaniu z sąsiednim ogrodem, gdzie każdy centymetr kwadratowy świadczył o sporych wydatkach poniesionych przez właścicieli i godzinach pracy pełnoetatowego ogrodnika, a specjalne reflektory podświetlały cały teren tak, żeby nie dało się go przeoczyć.

Jednak ledwo weszłam na pierwsze piętro, do mieszkania Duggiego Suttona, od razu wiedziałam, że to nie on zasadził tu te drzewka. Już w korytarzu stały trzy stoły, zasłane bibelotami i małymi dziełami sztuki. Wokół stołów rozstawiono połączane krzesła, podłogi były zasłane niezliczonymi dywanami, obrazy wisiały w kilku rzędach, które biegły przez całą długość ściany, jak w wiktoriańskiej galerii. Wydawało mi się, że same ściany są zielone, ale spod ram od olejnych obrazów wystawało ich niezbyt wiele.

Drzwi mieszkania otworzył mi niewysoki mężczyzna w sztruksowych spodniach, musztardowej kamizelce oraz tweedowej marynarce. Oprócz tego nosił muszkę i wielki łańcuch na piersiach. Miał małe, jasne oczka, jak leśne zwierzątko, przez co przypominał mi bohaterów „Alicji w krainie czarów”. Nazwisko Duggiego Suttona od początku brzmiało mi znajomo, a przed przyjęciem rozmawiałam dodatkowo na jego temat z osobą, która poleciła mnie Felice.

- Nie daj się zwieść pozorom - powiedziała. - Duggie jest bardzo bystry. To dziwny człowiek. Sprzedaje sztukę współczesną, ale nie trzyma jej u siebie w domu. Został współnikiem w Wellington Gallery, chociaż patrząc, jak mieszka, nigdy byś w to nie uwierzyła. Jeżeli mu się spodobaś, to nieźle na tym wyjdiesz, ale nie daj się zrobić w konia.

Wellington Gallery należy do tych białych, lśniących miejsc, które wyglądają jak wnętrze luksusowego statku pasażerskiego, tyle że bez przykręconych mebli. Rozglądając się dyskretnie po mieszkaniu natychmiast zrozumiałam, dlaczego koleżanka tak się wyraziła. Nie potrafiłam sobie wyobrazić czegoś, co mniej by przypominało artystyczną pracownię. W międzyczasie Duggie Sutton dawał ujście swoim talentom towarzyskim.

- No, czy ona nie jest zachwycająca? - zapytał, zdejmując mi kurtkę. - Fantastyczna kiecka. Jestem Duggie, kochanie, a ty?

- Sam Jones - przedstawiłam się niepewnie. - Zaprosiła mnie tu Felice Bortshe...

- Ach, oczywiście! Jesteś jej nowym odkryciem. Tyle o tobie słyszałem... - mrugnął do mnie wymownie.

Nie znoszę, kiedy ludzie do mnie mrugają.

- Rozumiem, że te małe drzewka w ogrodzie to nie twój pomysł? - powiedziałam, przyglądając się luksusowemu wnętrzu.

Duggie klasnął w dłoń.

- Kochanie, nawet o nich nie wspominaj. Chcesz mnie przyprawić o zawał? Ten stary pedał z parteru to taki minimalista. Chyba ma jakieś stłumione kompleksy. Och, Bóg mi świadkiem, błagałem go o zmiłowanie, ale bez efektów. Moim zdaniem jemu po prostu brak pewności siebie.

- Pewności siebie? - powtórzyłam w oszołomieniu. Duggie wznosił oczy do nieba.

- Nie ufa swojemu gustowi! Właśnie to nazywam minimalizmem, skarbie: brak pewności. Albo inaczej umysłowe lenistwo. Ale przecież nie wolno mi trzymać takiej pięknej

dziewczyny w przedpokoju! To byłby szczyt egoizmu. Wejdz i napij się drinka. Felice już tu jest.

Prowadził mnie do dużego salonu, który zajmował dwa frontowe pokoje, połączone łagodnym, arkadowym łukiem. Rozpoznałam dwa wielkie okna wykuszowe, które widziałam już z samochodu. Ten dom został stworzony do przyjęć. W pokoju, tak jak wszędzie, było mnóstwo mebli, stoliki pokryte górą małych objets d'art., miękkie kanapy i fotele stojące w grupkach wokół wypolerowanych stoliczków, z każdego kąta wystawały jakieś efektowne drobiazgi, całą podłogę pokrywały dywany, a wszystkie ściany - olejne obrazy. W pierwszej chwili wydawało mi się, że jest tego wszystkiego za dużo, ale po jakimś czasie doceniłam, w jak subtelny i precyzyjny sposób zaaranżowano każdy element tego wnętrza.

Początkowe wrażenie chaosu potęgowała obecność tłumu elegancko ubranych ludzi, którzy zasłaniaли sporo dekoracji. Duggie wskazał mi stół pokryty białym obrusem, przy którym stał bardzo przystojny mężczyzna w kelnerskim fraku.

- Stanford, najdroższy, daj tej pięknej dziewczynie coś do picia, dobrze? - powiedział Duggie, po czym odwrócił się do mnie. - Spróbuj ponczu, kochanie. Sam go robiłem. A Felice stoi tam.

Po chwili Duggie zniknął w tłumie, a ja spojrzałam na Stanforda.

- W takim razie poproszę o poncz. Jest bardzo mocny? - spytałam.

Stanford zanurzył chochlę w ogromnej, srebrnej kadzi, po czym podał mi szklanekę opalizującego, czerwonego płynu.

- Zabija - odparł zwięźle. - Duggie wlał tu co popadnie, nie patrząc na etykiety. Ale smakuje nieźle. - Stanford uśmiechnął się do mnie typowym amerykańskim uśmiechem, odsłaniającym wszystkie zęby. Taki uśmiech nieodmiennie budzi podziw dla osiągnięć dentystów, którzy najwyraźniej działają tylko po tamtej stronie Atlantyku. Kelner wyglądał jak męski model. Miał idealnie symetryczne rysy twarzy i uśmiech Kena, chłopaka Barbie.

- Sam! Przyszłaś!

Obróciłam się i ujrzałam Felice Bortshe, mknącą w moją stronę w białym kostiumie z czarnymi lamówkami. Jej fryzura wyglądała identycznie jak przy naszym ostatnim spotkaniu. Przysięgam. Każde kasztanowe pasmo było na swoim miejscu. Najwyraźniej należała do osób, które potrafią nosić białe ciuchy i ich nie brudzić. Jeśli o mnie chodzi, wystarczy, że włożę biały sweter i usiądę w bezruchu na fotelu, a kiedy po dziesięciu minutach wstanę, na przedzie ukaże się kilkanaście niezidentyfikowanych, wielobarwnych plam.

Felice wyciągnęła do mnie dłoń. Miała na palcu coś, co wyglądało jak pierścionek zaręczynowy księżnej Diany z szafirami i diamentami i było w równie złym guście.

- Jak miło cię widzieć! - Felice jak zwykle używała wielu wykrzykników. - Czy to nie jest fantastyczne miejsce? Uwielbiam styl Duggiego! Masz coś do picia?

- Tak, poncz...

- O, niech mnie! Tylko pij ostrożnie! Ostrzegłeś ją, Stanford?

- Hm.

- Jaki on słodki, prawda? - powiedziała Felice, prowadząc mnie przez środek pokoju. - Niestety, nie jest dla nas! Ale myślę, że Duggie wiąże z nim pewne nadzieje!

- To mieszkanie nie pasuje do współnika z Wellington Gallery - zauważyłam.

- Duggie łączy w sobie tyle sprzeczności. - Roześmiała się. - Widziałaś drzewka?

- Facet z mieszkania piętro niżej jest partnerem Duggiego. Minimalista! Postawił sobie dwa meble Le Corbusiera na środku gołej podłogi, a całą resztę poupychał w wielkich, białych szafach sięgających do sufitu. On i Duggie bez przerwy się kłócą. Dzięki temu są w formie. No, a teraz chciałabym, żebyś poznała Jima i Betty Ashleyów. On trzyma kasę, ale to ona musi zdecydować... - Felice obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem. - Fantastyczna sukienka! - pochwaliła. - Grzeczna dziewczynka. I te buty są świetne. Prawdziwa angielska bohema!

Tymczasem dotarliśmy już na drugi koniec pokoju, pod jedno z wykuszowych okien. Przy parapecie stała malutka kobietka z natapirowanymi włosami, które wyglądały jak wielka, dmuchana piłka, i w pasującej sukience. Jej ciało ledwo pokrywały drobne kości, a skóra na twarzy była tak mocno naciągnięta, że bałam się, czy nie pęknie, kiedy kobieta otworzy usta. Obok niej stał wielki, kwadratowy niemal mężczyzna o stalowoszarych włosach i szerokich ustach.

- Jim, Betty, poznajcie Sam Jones! - wykrzyknęła entuzjastycznie Felice. - To ta rzeźbiarka, o której wam mówiłam, robi wspaniałe ruchome rzeźby.

Jim Ashley wydał z siebie nieokreślony pomruk i nawet nie otwierając ust uściśnął mi dłoń. Zastanawiałam się, czy powinnam go przedstawić Brianowi. Świetnie by się dogadali.

- Jak miło cię poznać! - Betty okazała się bardziej otwarta. Na szczęście skóra na jej twarzy wytrzymała zarówno okrzyk, jak i towarzyszące mu westchnienie. - Felice tyle nam o tobie opowiadała.

Co do cholery Felice opowiadała tym wszystkim ludziom?

- Mam nadzieję, że pewne rzeczy pominęła - powiedziałam bez namysłu. Betty Ashley jednak chyba sądziła, że tak błyskotliwej riposty nie wymyśliłaby nawet Dorothy Parker do spółki z Oscarem Wilde'em i to po długiej naradzie. Felice natomiast najwyraźniej uznała, że Ashleyowie i ja dogadujemy się już jak stare konie, bo zniknęła z horyzontu, porzucając mnie na ich pastwę. Pociągnęłam długi łyk ponczu. I natychmiast pożałowałam tego kroku.

Betty grzecznie zaczekała, aż odzyskam równowagę i przestanę się krztusić.

- Felice ostrzegała nas już przed tym ponczem - wykrzyknęła z troską. - Ale ty chyba nic nie wiedziałaś.

- Zapomniałam - wyjąkałam, ocierając łzy z oczu. - A niech mnie.

- Zwała z nóg - mruknął przyjacielsko Jim.

Na szczęście Betty tego nie usłyszała, bo w przeciwnym wypadku chyba by umarła ze śmiechu.

Przynajmniej to doświadczenie jakoś nas ze sobą związało. Betty potrafiła profesjonalnie poprowadzić rozmowę na każdy temat i elegancko wydobyła ze mnie informacje dotyczące akademii plastycznej, którą kończyłam, wystaw (było ich tylko dwie, więc ta część wywiadu nie zabrała nam wiele czasu) i mojej teorii twórczości. Potworne. Zdawałam sobie sprawę, że powinnam wyrzucić z siebie jakiś bełkot na temat mistycznej więzi nieba i ziemi, odzwierciedlanej przez moje rzeźby i często używać słowa „filozofia”. Rozpaczliwie przeszukiwałam pamięć w pozyskaniu wielosylabowych słów i wiązałam je w zdania w takiej kolejności, w jakiej przychodziły mi do głowy. Zdaje się, że niezłe mi poszło. Betty poważnie potakiwała, a Jim od czasu do czasu burczał z aprobatą.

Potem pozwolono mi także zadać kilka pytań. Chociaż wszystkie kierowałam do nich obojga, odpowiadała wyłącznie Betty. Dowiedziałam się, że Jim został wezwany do Londynu w charakterze obserwatora odwiertów, które miały trwać przez kilka najbliższych lat, że wynajęli piękny dom tuż za rogim i często jadali na mieście, co stanowiło prawdziwą odmianę po pobycie w Kalifornii! (ten wykrzyknik pochodził od Betty). Ilekroć rozmawiali z Anglikami starali się wtrącić jakąś uwagę o pogodzie, bo tak im kazali ziomkowie zadomowieni w Londynie. Od razu pokochali to miasto, chociaż Anglicy od początku wydawali im się niezbyt gościnni. Kolega Jima ostrzegł ich, że Anglicy rzadko zapraszają kogokolwiek na posiłki do siebie do domu.

- Być może dlatego, że wstydzą się swojej kuchni - zasugerowałam.

Betty popatrzyła na mnie nieprzytomnym wzrokiem.

- Ale przecież musicie tu mieć jakieś usługi cateringowe!

- Samantha! Kochanie! - krzyknął ktoś za moimi plecami.

Bez trudu rozpoznałam ten głos. Poza wszystkimi innymi tylko jedna osoba na świecie nazywała mnie Samantha. Nienawidzę tego imienia, bo kojarzy mi się z laluniami z telewizji, które mają długie blond włosy i beznadziejnie głupie spojrzenia. Podejrzewam zresztą, że moja znajoma doskonale o tym wiedziała.

- Cześć, Baby - powiedziałam, odwracając się z rezygnacją.

* * *

Poznałam Baby Thompson jeszcze w szkole plastycznej i od tamtej pory nie udało mi się jej pozbyć. Baby pracuje jako PR-owiec, w związku z czym czepia się ludzi nieustępliwie jak choroba weneryczna. Jest wysoka i chuda jak wieszak, w związku z czym czuję się w jej towarzystwie jak skrzat obdarzony żeńskimi hormonami. Nic dziwnego, że raczej unikam podobnych doświadczeń.

Tym razem jednak nie mogłam uciec. Rzuciła się na mnie jak jastrząb na swoją ofiarę, przy czym jej wydatny nos sprawił, że metafora ta nabrała dosłownego sensu. Gdybyście kiedykolwiek chcieli się dowiedzieć o ostatnie trendy w modzie, wystarczy zadzwonić do

Baby i zapytać, co ma na sobie. Ostatnio, kiedy ją widziałam, miała krótkie, żółte włosy. Teraz były ciemnobrązowe i opadały jej na szyję, przypięte z jednej strony diamentową klamrą. Nie zdziwiło mnie to, bo firma Baby obsługiwała wielu dyktatorów mody, w związku z czym z wyprzedzeniem znała wszystkie nadchodzące prądy. Gdyby pewnego dnia Baby zjawiła się na przyjęciu z burzą sterczących kosmyków na głowie, z całą pewnością w dwa miesiące później Vogue ogłosiłoby, że liczą się tylko sterczące kosmyki i wydrukowałoby mnóstwo zdjęć Lindy i Christy zrobionych na wiedźmy.

Baby miała mocny makijaż: czerwoną szminkę i ciemny cień wokół oczu, nosiła diamentowy naszyjnik, cienki, czarny sweterek z krótkimi rękawami i grafitową spódnicę oraz buty na nieprawdopodobnie długich i cienkich obcasach, na których chwiała się jak drzewo w czasie wichury. Jej talię opinał - jak piszą kolorowe magazyny - bardzo cienki, czarny pasek. Zamrugałam. W Baby najbardziej irytował mnie fakt, że mogła się tak ubierać zupełnie bezkarnie. Gdybym ja włożyła coś podobnego, musiałabym się opędać od tłustych, obrzydliwych facetów, składających mi propozycje na ulicy. Co gorsza, na studiach szalało za nią mnóstwo chłopaków akademii plastycznej. Zupełnie nie potrafiłam się z tym pogodzić.

Ashleyowie popatrzyli na nią ze zdziwieniem.

- To jest Baby Thompson - powiedziałam. - Chodziłyśmy razem do szkoły plastycznej. - Baby, poznaj Jima i Betty Ashleyów.

- Jak się cieszę, że was widzę! - zaszczębiotała Baby. - Znamy się z Sam już od lat. Mówiłeś, że kim jesteś?

- Ja nic nie mówiłem - powiedział sardonicznie Jim Ashley. Natychmiast poczułam do niego sympatię.

- Jim jest wicedyrektorem *Cosolidated Drilling* - oświadczyła Betty.

- O-to-bardzo-ciekawe - wyrzuciła z siebie Baby na jednym oddechu. - Ja pracuję w *Sophie Standing* PR. Musicie do nas przedzwonić. Obsługujemy coraz więcej korporacji. - Uśmiechnęła się promiennie do Jima, po czym popatrzyła na mnie. - Słyszałam, że Duggie Sutton będzie cię reprezentował! Gratuluję! - wykrzyknęła.

- Jeszcze nie widział moich rzeźb - mruknęłam. Podobnie jak Jim Ashley, trudno znośnię zderzenia z kimś takim jak Babe.

- Naprawdę? Właśnie z nim rozmawiałam i wydawało mi się, że wszystko jest już ustalone - powiedziała Baby.

Jest taki fragment u Keatsa:

*Wyteżam uszy jak zgłodniały rekin,
By schwycić brzmienie głosu mej bogini.*

Widać po nim, że pochodzi z wczesnej fazy twórczości. Nie wiem nawet, czy rekiny mają uszy. Ale ten głodny rekin zawsze przypomina mi Baby. Tylko że ona nasłuchuje raczej głosu plotek niż bogini.

Dokończyłam poncz. Tym razem byłam przygotowana.

- Później wszyscy idziemy na kolację, musisz koniecznie iść z nami, Sam - powiedziała Baby, machając ręką w charakterystycznym geście, który uniemożliwiał jakikolwiek sprzeciw.

Mogłam się założyć, że kolacja odbędzie się w jakimś lokalu, który jest tak trendy, że nawet go jeszcze nie otwarto. Oczy Baby jak zwykle przeszukiwały nerwowo pomieszczenie, by odnaleźć ludzi, z którymi opłacałoby się porozmawiać. Zauważyłam jednak, że sam fakt bycia reprezentowaną przez Duggiego Suttona zagwarantował mi całą minutę jej wyłącznej uwagi. Awansowałam.

- Och, przyszła Gabby wykrzyknęła nagle. - Wybaczysz mi na chwilę? - Baby wbiła się w tłum, który przewyższała niemal o pół głowy. Wyglądała jak ktoś, kto przedziera się na piechotę przez głęboką wodę: wysiłek był wielki, ale skutki marne. Grafitowa spódniczka i szpilki uniemożliwiały jej stawianie kroczków dłuższych niż piętnaście centymetrów. Przynajmniej gwarantowało to, że nie wywróci żadnego z eleganckich stolików.

Tymczasem powróciła Felice.

- Muszę teraz porwać Jima i Betty - powiedziała. - Mamy stół zarezerwowany na wpół do dziewiętej. Miło wam się rozmawiało?

- O tak, cudownie - odparła Betty. - Sam dużo mi opowiadała o angielskich manierach. A potem przedstawiła nam swoją przyjaciółkę, która ubiera się dokładnie jak moja mama.

Jaka szkoda, że Baby tego nie słyszała! - pomyślałam.

- Zadzwoń do ciebie, Sam - powiedziała Felice. - Musimy cię jakoś umówić z Duggiem, żeby obejrzał twoje rzeźby!

- Też byłbym tym zainteresowany - oświadczył niespodziewanie Jim Ashley.

Felice popatrzyła na mnie z aprobatą.

- Świetny pomysł! Na pewno będziecie zachwyceni mieszkaniem Sam! Jest takie artystowskie, jak pracownie bohemy w Nowym Jorku, tylko...

- Brudniejsze - wypaliłam. Poncz najwyraźniej uderzył mi do głowy.

Felice wybuchnęła śmiechem.

- Uwielbiam to angielskie poczucie humoru! - powiedziała. - Do zobaczenia, skarbie - dodała, całując mnie w policzek.

Chyba zdałam jakiś egzamin.

- Baw się dobrze z twoją przyjaciółką - mruknął Jim zupełnie bezbarwnym tonem.

- Ona nie jest moją przyjaciółką! - odparowałam prowokacyjnie, zanim dostrzegłam ślad uśmiechu na jego wargach.

- Zdążyłem to zauważyć - powiedział Jim. - W każdym razie baw się dobrze.

Przez chwilę stałam sama przy oknie, wpatrując się w pustą szklanę. W powietrzu krążyły śmiechy i podniesione głosy, mówiące do siebie „kochanie” i „skarbie”. A co, do diabła. Podeszłam do stolika z drinkami i poprosiłam Stanforda o jeszcze jeden poncz.

16.

Obudziłam się następnego dnia... i natychmiast tego pożałowałam. Jednak nie mogłam już się wycofać. Wyczołgałam się z łóżka i przeszukałam podłogę w poszukiwaniu solpadeiny. Wyłuskałam dwie tabletki tak wprawnym gestem, że nawet nie musiałam otwierać oczu. Tabletki były rozpuszczalne, ale nie miałam na górze żadnej wody. Nie podejmowałam się schodzić w takim stanie po drabinie i nie przewidywałam raptownej poprawy sytuacji w ciągu najbliższych paru godzin, więc musiałam je przełknąć bez niczego. Kiedy zaczęły mi musować w gardle, uznałam to za godziwą karę za własny kretynizm. Kto mi kazał spędzać wieczór z Baby i jej kliką.

Po raz pierwszy zostałam przedstawiona jej znajomym nie jako zwykła koleżanka ze szkoły, ale jako koleżanka z akademii plastycznej, przyszła wybitna rzeźbiarka. Całe szczęście, że nie przytulili mnie do łona, bo uwierałyby mnie te ich wystające fiszbiny od staników. Moje akcje szły w górę. Najpierw wybraliśmy się do restauracji gdzieś w Soho, gdzie usiedliśmy w części barowej i zamówiliśmy tylko po sałatce, która w moim wypadku składała się z krążka koziego sera z dwoma plasterkami grillowanego bakłażana i trzema listkami jakichś ziół. Wydaliśmy na tę ucztę jakąś nieprzyzwoitą sumę pieniędzy, po czym poszliśmy do włoskiego barku na kawę.

Tam Baby kazała nam witać wszystkich wchodzących okrzykiem „Ciao, bello”, bo były to jedyne dwa włoskie słowa, jakie знаła. W końcu nadeszła pora, kiedy mogliśmy już iść do klubu prowadzonego przez jakichś znajomych Baby. Specjalnością tego lokalu okazała się muzyka grana w tempie sześćdziesięciu uderzeń na minutę, czyli niezbyt szybkim. Trzy osoby tańczyły świetnie. Nikt poza nimi nie próbował. Wszyscy po prostu stali na krawędzi parkietu, opierając się o niewygodne, betonowe bloki i plotkowali.

W sumie ten wieczór był jedną niekończącą się serią katastrof i z pewnością bym tego nie wytrzymała, gdyby nie kuzyn Baby, Tim, który dołączył do nas w restauracji. Tim pracował jako dziennikarz w „Sunday Herald” i miał niezwykle cyniczne poczucie humoru. Niestety, nie mógł nic poradzić na więzy krwi, które łączyły go z Baby.

To dzięki niemu mój samochód stał pod domem, a nie gdzieś w Soho. Widząc, ile już zdążyłam wypić, Tom zaofiarował się, że zostanie trzeźwy na tyle, żeby mnie odwieźć. Dla dziennikarza nie było to małe poświęcenie. Nie omieszkałam wykorzystać tej okazji i w

rezultacie upiłam się do tego stopnia, że tylko ostatni drań próbowałby to potem wykorzystać. Chyba nie wyglądałam najlepiej, bo wysiadając pod moim domem zamówił taksówkę i nawet nie usiłował mnie pocałować. Co nie znaczy wcale, że pamiętałam wszystko, co wydarzyło się tego wieczoru.

Solpadeina bulgotała dziwnie w moim żołądku. Pewnie nie znalazła tam zbyt wielu soków trawiennych, w których mogłaby się rozpuścić i właśnie głośno dawała wyraz swojemu rozczarowaniu. Zrobiło mi się niedobrze. Po raz enty zaczęłam się zastanawiać, dlaczego robię takie rzeczy samej sobie. Może cierpiałam na podświadomą skłonność do masochizmu? Na szczęście, w przeciwieństwie do makabrycznych znajomych Baby, ja nie musiałam iść rano do pracy. Zresztą kogo ja oszukiwałam - oni też z całą pewnością nigdzie nie poszli tego ranka. Tim także nie. PR-owcy i dziennikarze nigdy nie zjawiali się w biurze przed południem.

Nagle uświadomiłam sobie z przerażeniem, że o czwartej musiałam poprowadzić trening. No cóż, od czwartej dzieliło mnie jeszcze dużo czasu. Mogło się wiele wydarzyć. Gdyby znowu kogoś zamordowali, siłownia na pewno byłaby zamknięta. Postanowiłam zadzwonić tam przed wyjściem, ot tak, na wszelki wypadek.

Kierowanie uwagi na siłownię nie przyniosło najlepszych efektów. Mój mózg znów zaczął przeglądać wszystkie możliwości, co w obecnym stanie sprawiało mi fizyczny ból. Zwinęłam się w pozycji embrionalnej i spróbowałam znowu zasnąć. Trochę mi to zajęło czasu.

* * *

Dotarłam do Chalk Farm o trzeciej, z dwiema kolejnymi solpadeinami w brzuchu i nieco bardziej zdystansowanym stosunkiem do świata.

Mijając główne wejście, ruszyłam wzdłuż ściany budynku i weszłam na małą alejkę, która go okrążała. Wokół biegł dwumetrowy płot z drutem kolczastym, przez który niełatwo było cokolwiek zobaczyć. Za nim rozciągało się porządnie zaprojektowane osiedle. Z tej strony do wnętrza siłowni prowadziły tylko wąskie, kamienne schodki. Na dole zobaczyłam drzwi z napisem „Nie blokować - wyjście ewakuacyjne”. To musiały być drzwi przeciwpożarowe na końcu korytarza w piwnicy. Zeszłam po schodkach i spróbowałam je otworzyć. Ani drgnęły.

Po drugiej stronie mieścił się ogródek komunalny, złożony z małego placu zabaw dla dzieci i skrawka zniszczonej trawy z kilkoma ławkami, pokrytymi graffiti. W ogrodzie nie zauważyłam żywego ducha, widać pogoda nie sprzyjała spacerom.

W zamyśleniu obeszłam cały budynek i otworzyłam drzwi wejściowe. W recepcji siedziała Lesley, czytając jakieś kobiece pismo. Wprawdzie pokazywała sobie paluszkami

kolejne sylaby, ale moim zdaniem tylko dlatego, że ktoś patrzył. Lesley nareszcie znalazła idealne miejsce dla siebie. Jako recepcjonistka mogła się naprawdę spełnić.

- Cześć Sam - powiedziała ważnym tonem. - Wcześniej przyszedł.

- Odhacz mnie w rejestrze. Jest Lou?

- Tak, siedzi w gabinecie.

Zapukałam, po czym weszłam do środka. Lou siedziała na fotelu jak na tronie i pisała coś na komputerze. Zerknęła na mnie spod oka.

- Jest pani umówiona, pani Jones? Jeśli nie, proszę porozmawiać z moją sekretarką.

- Władza uderzyła ci do głowy - powiedziałam surowo, przysiadając na rogu biurka. - Chciałabym cię zapytać o system alarmowy.

* * *

Zakładałam, że moje pytanie poprawi jej humor. Ale się pomyliłam. Wyraz twarzy Lou, kiedy je zadałam, mówił raczej „Co to za nowe gówno?” Jednak nie zdziwiło mnie to zbytnio - teraz, odkąd przejęła rolę dyrektorki, Lou musiała poświęcić więcej uwagi zagadnieniom związanym z bezpieczeństwem. Jako zwykła sekretarka mogłaby zignorować całą sprawę. Jako szefowa natychmiast udzieliła mi odpowiedzi.

Poszłam do pustej poczekalni dla dzieci. Nikogo tu nie było, ponieważ otwieraliśmy ją tylko na czas zajęć. W soboty organizowano tu festyny, które mogły wyładować energię nawet dzieciaków z zespołem ADHD, ale ja na szczęście jakoś się od tego wykręciłam. Mam instynkt macierzyński równie silny co kogut.

W jednym rogu, pod parapetem, leżały zabawki, które nie zmieściły się do szafy w magazynie: wielki dzbanek do herbaty, który nadawałby się na wigwam dla Indian, gdyby Indianie zechcieli wykorzystać czerwono-żółty plastik jako materiał budowlany, oraz niebieski, trójkolowy rowerek z napisem „Speedy Boy”. Cały ten plastik lśnił w promieniach słońca. Kolory podstawowe odbijały światło jak lustro i przez chwilę omal się nie nabrałam, że na dworze jest ładna pogoda.

W szafie znajdowały się wyłączniki od alarmu. Otworzyłam drzwiczki i przeczytałam porządne etykiety, oznaczające kolejne przyciski. Bez trudu znalazłam to, czego szukałam. Jedna z etykietek głosiła po prostu „Drzwi przeciwpożarowe”. Przełącznik powyżej znajdował się w pozycji „On”. Przeszłam go na „Off”, po czym ruszyłam na dół. Kiedy dotarłam do drzwi przeciwpożarowych, wzięłam głęboki oddech. W końcu rozejrzałam się, przygotowałam psychicznie na wycie alarmu, nacisnęłam klamkę i pchnęłam drzwi.

Poczułam się, jakbym oglądała jakiś zakrecony film, w którym już po kwadransie wiadomo, że poważnie można potraktować tylko listę płac. W skrócie, nic się nie stało, poza faktem, że znalazłam się u stóp tych samych kamiennych schodów, po których już wcześniej zeszałam. Błyskawicznie zawróciłam i pognałam do biura. Tam oddarłam wielki kawał

kartonu od starego pudła na zapasowe kubki do automatu z wodą, po czym pobiegłam z powrotem. Raz jeszcze otworzyłam drzwi przeciwpożarowe, zatknęłam karton na wysokości klamki i znowu je przymknęłam, mając nadzieję, że blokada wytrzyma.

Potem musiałam wdrapać się po schodach i raz jeszcze wyjść przez główne drzwi. Byłam naprawdę zajęta. Potruchtałam z powrotem do alejki i po kamiennych schodkach. Tym razem udało mi się otworzyć drzwi z tej strony, nie włączając alarmu. Jeszcze raz je zamknęłam. Nie mogłam wrócić tędy na siłownię. Gdybym nie pojawiła się w głównych drzwiach, nawet kurzy mózdek Lesley mógłby zwrócić na to uwagę. Kiedy wróciłam górą, Lesley właśnie przeglądała fotoreportaż z nowej, wymarzonej rezydencji Michaela Jacksona i nawet na mnie nie spojrzała. Może jednak przeceniłam jej zdolność obserwacji. Zegar w recepcji wskazywał kwadrans przed czwartą. Weszłam do gabinetu Lou.

- Złe nowiny. A może i dobre - powiedziałam. - To możliwe. Ktoś mógł wyłączyć alarm, a potem użyć drzwi przeciwpożarowych i nie przechodzić przez recepcję.

Lou wbiła we mnie wzrok.

- Cholera - powiedziała z uczuciem.

* * *

Kiedy wróciłam, Lesley nie siedziała przy biurku, więc zakradłam się do recepcji i zaczęłam czytać „Hello”. Właśnie dotarłam do opisu podróży księżnej Di do Japonii - wizyta na grobach żołnierzy, bladoniebieski kostiumik z krótką spódnicą i pasującym kapeluszem - kiedy Lesley wyszła z toalety. Obdarzyłam ją potępiającym spojrzeniem. Nie zamierzałam odkładać „Hello” nie dowiedziawszy się, co Di włożyła na bankiet i kolację w cesarskim pałacu. Długą spódnicę z granatowej krepy z rozcięciem z boku. Niechętnie oddałam Lesley magazyn. Nagle pomyślałam, że mogłabym kupić „Hello” i po przeczytaniu położyć je w toalecie, żeby ukryć własne zainteresowanie. Rozumiecie, sama nie czytam, kupuję tylko dla gości, na wypadek, gdyby mieli ochotę sobie przejrzeć.

Lesley wymownie popatrzyła na zegarek.

- Sam - powiedziała, widząc, że nie chwytam aluzji. - Jest już dziesięć po. A twoje zajęcia zaczynają się o czwartej.

- Niech mnie! - Podskoczyłam i pobiegłam na dół, usiłując wyglądać jak ktoś, kogo wcale nie obchodzi horoskop dla nowego dziecka księżnej Stefanii. Na dole, w żeńskiej hali, czekało na mnie cierpliwie osiem kobiet. Przeprosiłam za spóźnienie. Josie, jak zwykle na środku pierwszego rzędu, uśmiechnęła się do mnie wybacliwie, co przyprawiło mnie o dreszcze. Jej włosy i oczy błyszczały jak nigdy dotąd. Włączyłam im zrobioną przez siebie składankę Dolly Parton, Madonny i Bananaramy, po czym moje podopieczne ruszyły do pracy.

Po zajęciach Josie podeszła do mnie porozmawiać. Poczułam przyptyw paniki i instynktownie zajęłam strategiczną pozycję między nią a stertą hantli.

- Uwielbiam tę kasetę, Sam - zaświergotała, uśmiechając się szeroko. - Taka świetna zabawa!

Obróciła się, po czym tanecznym krokiem wyszła z sali. Przez chwilę bawiłam się wizją, w której Josie, ogarnięta morderczą manią, zakrada się podstępnie do damskiej łazienki i rozbija Lindzie głowę ani na chwilę nie przestając się uśmiechać. Moim zdaniem Josie mogła zrobić sobie wcześniej jakiś plan. Wszyscy detektywi z powieści twierdzą, że psychopaci są sprytniejsi niż stado lisów. Może nawet przyniosła hantle ze sobą, w torbie gimnastycznej.

Poćwiczyłam tylko tyle, żeby ilość wylanego przeze mnie potu usprawiedliwiła zejście pod prysznic, po czym poszłam do biura. Moje uczennice też się tego dnia nie przemęczyły. Na korytarzu spotkałam Rachel, trzymającą czajnik pełen wody.

- Pora na herbatę - oświadczyła stanowczo. - Marzę o niej odkąd tu przyjechałam. Tylko że skończyły nam się torebki. Nie sądzę, żebyś miała ochotę skoczyć do sklepu?

- A nie możemy zabrać trochę Lou?

- Hm, o ile nie zrobiła się teraz taka ważna, że zaczęła je liczyć - wyłośliwiła się Rachel.

- Wiem, właśnie jej powiedziałam, że ta świeżo zdobyta władza zaraz uderzy jej do głowy - mruknęłam.

Rachel nastawiła czajnik, a ja skoczyłam na górę, żeby przetrzebić zapasy Lou. Na szczycie schodów poczułam coś w rodzaju déjà vu.

- Derek pewnie ma jeszcze zajęcia. Nie wiem, czy jest sens na niego czekać - oświadczyła Lesley tym samym poirytowanym tonem, którego używała w minioną sobotę.

Jednak tym razem jej oponentką nie była Naomi, lecz Janice, wyglądająca jak zawsze elegancko, z blond włosami upiętymi w kok i w czarnym, wełnianym płaszczu z uniesionym kołnierzem. Alida Valli w „The Fifth Man”. Lesley grała w innej lidze. W porównaniu z Janice przypominała jakąś słodką idiotkę ze „Słonecznego patrolu”.

- Wiem. - Janice obdarzyła Lesley czarującym uśmiechem. - Umówiłam się z nim po zakończeniu zajęć, ale najwyraźniej przyszedł za wcześnie. Zaczekam w poczekalni.

- Derek nic mi nie mówił, że się z kimś umawiał - powiedziała Lesley, mrużąc niebieskie oczy.

Janice w odpowiedzi otworzyła szerzej swoje.

- A dlaczego miałby pani mówić? W końcu to jego prywatna sprawa, czyż nie? Chodź, Devon.

Chyba dopiero teraz Lesley po raz pierwszy spojrzała uważniej na chłopca, który trzymał Janice za rękę. Nagle umilkła, zaciskając wargi tak mocno, jakby sklepiła je sobie supermocnym klejem. Tylko Derek mógł być ojcem tego chłopca. Janice i Devon szli właśnie w stronę poczekalni, kiedy nagle otworzyły się drzwi od siłowni i stanął w nich sam Derek, z torbą przewieszoną przez ramię.

- Tata! - Devon puścił rękę Janice, po czym rzucił się na Dereka, który obrócił go w powietrzu.

- Hej! - powiedział Derek, stawiając syna na ziemi. - Co ty jesteś, kula armatnia?

Devon objął mocno nogę ojca i nie zamierzał jej puścić.

- Nie, to pijawka - odparła Janice ze śmiechem. - Puść ojca, Devon.

Devon nie usłuchał. Janice podeszła do Dereka i pocałowała go w usta, jakby demonstrowała swoją siłę. Derek objął ją jednym ramieniem. Wyglądali jak z okładki romansów wydawnictwa Mills and Boon. Jasnowłosa piękność i górujący nad nią spalony słońcem heros. Devon patrzył na rodziców z ewidentną aprobatą.

Sama przyjrzałam się uważnie przystojnej twarzy Dereka z wysokimi kośćmi policzkowymi i łagodną linią dolnej szczęki. Od tej twarzy jak zwykle bił spokój. Żaden skurcz świadczący o napięciu, nie wspominając już o bólu czy żalu, nie kalał idealnie harmonijnych rysów. Jeszcze nigdy wcześniej nie zastanawiałam się, co Derek naprawdę czuł w związku ze śmiercią Lindy - smutek? strach? wyrzuty sumienia? Właśnie zrozumiałam, że nigdy się tego nie dowiem. Derek tak głęboko skrywał wszelkie uczucia, że wątpiłam, czy sam jeszcze ma do nich dostęp. Na moment ogarnęła mnie fala złości i współczucia dla Lindy. Każdy leseferyzm powinien mieć swoje granice. Derek najwyraźniej ich nie znał. Gdybym nie chciała poznać prawdy o śmierci Lindy, żeby zaspokoić własną ciekawość, chyba zostawiłabym Dereka na lodzie, czekając aż zginie albo zostanie uratowany przez kogoś innego, kto podałyby mu pomocną dłoń.

- Nie spodziewałem się was tutaj - powiedział, ale w jego głosie brzmiała tylko serdeczność, bez cienia wyrzutu.

Janice uśmiechnęła się do niego.

- Postanowiliśmy zrobić ci niespodziankę, prawda Devon? Zabieramy cię na obiad.

- Tak! - wrzasnął Devon. - Niespodzianka, tato!

W tym momencie Lou wyszła z gabinetu i stanęła w korytarzu, obserwując całą scenę z widoczną satysfakcją. Janice zerknęła na nią. Na sekundę ich spojrzenia się spotkały. Jakby coś w ten sposób zostało potwierdzone.

- W takim razie spadamy - powiedział Derek. - Nie ma sensu tu siedzieć, prawda? Mam nadzieję, że kupiłaś mnóstwo jedzenia, Jan, bo Dev i ja padamy z głodu. - Derek zburzył synowi czuprynę.

- Nie chcesz iść pod prysznic? - spytała Janice.

- Nie, mogę się wykąpać w domu.

- Zostaniesz dzisiaj na noc? - zapytał natarczywie Devon.

- Przecież tata właśnie powiedział, że tak - rzekła Janice z wyrzutem. - Czy ty nigdy niczego nie słuchasz, Devon?

- Pewnie, że nie - odparł za syna Derek. - Czego się spodziewałaś po chłopcu w jego wieku? - dodał pobłaźliwie.

Szczęśliwa rodzinka udała się do drzwi, po czym wyszła na ulicę, zostawiając za sobą dziwną pustkę. Lou wycofała się do gabinetu z niejasnym uśmiechem w stylu Mony Lisy. Tymczasem Lesley wykrzywiła się tak mocno, jakby robiła właśnie jakieś ćwiczenia mięśni twarzy. W tej samej chwili na szczycie schodów ukazała się Rachel, zdradzająca wszelkie objawy niedoboru teiny we krwi.

- Co z tymi torebkami, do jasnej cholery? - spytała słabym głosem.

17.

Następnego ranka ciągle jeszcze miałam w głowie obrazek tej szczęśliwej rodzinie czasów atomowych, kiedy zadzwoniła Lou ze złą wiadomością.

Dochodziła jedenasta, a ja dopiero co zwlokłam się z łóżka. Ciągle miałam na sobie szlafrok. Chętnie powiedziałabym, że było to japońskie, jedwabne kimono, ale nie było. Mam wprawdzie kilka japońskich jedwabnych kimon, ale temperatura w moim mieszkaniu na ogół wymaga włożenia flanelowej pidżamy i szlafroka, który wygląda, jakby został zrobiony ze starych koców. Myrna Loy nawet nie zaszczyciłaby mnie spojrzeniem.

- Co zrobili? - zapytałam, dociskając słuchawkę do ucha.

- Słyszałaś. Aresztowali Dereka - powtórzyła Lou.

- Chryste. Na jakiej podstawie?

- A skąd ja mam do cholery wiedzieć, Sam? Dzisiaj rano czekali na niego przed drzwiami z nakazem i zgarnęli go natychmiast, ledwo się zjawił.

Lou miała taki głos, jakby przepłakała całe rano.

- Kto to był - ci policjanci?

- Ci sami, co przedtem, chyba. Tylko starszy się zmienił, ten inspektor. Wyglądał bardzo poważnie. I słusznie, skoro aresztował niewinnego człowieka. Miał paru konstabli na wypadek, gdyby Derek usiłował uciec czy coś w tym stylu. - Jej głos ociekał pogardą. - Niech zgodnę, czego się po nim spodziewali.

- Zadzwonię do niego Lou. To znaczy, do sierżanta Hawkinsa. Chcę mu powiedzieć o wczorajszym odkryciu.

Lou parsknęła.

- To nie wystarczy, żeby wypuścili Dereka.

- Nie. Ale może jakoś to sobie skojarzą. I zapytam co właściwie mają na Dereka. Może wiedzą o czymś, o czym my nie wiemy.

- Oni nie mogą naprawdę myśleć, że Derek ją zabił, Sam! - Lou z trudem powstrzymywała łzy.

- Zrobię, co w mojej mocy - obiecałam. - Zadzwonię do ciebie natychmiast po rozmowie z Hawkinsem. Aha, chciałam cię jeszcze zapytać o Janice. Wczoraj zauważyłam, że od razu

znała najlepsze miejsce, gdzie mogłaby zaczekać na Dereka. Czy była kiedyś członkinią klubu?

- Oczywiście, że tak - w głosie Lou zabrzmiało zdziwienie. - Właśnie tu się poznali. I czasem przyprowadzała tu Devona na lekcje karate. Nie widziałas jej nigdy wcześniej?

- Nie - powiedziałam wolno.

- Nie sądzisz chyba...

- Nie sądzę nic zanim nie napiję się kawy - odparłam lekko, nie chcąc jeszcze bardziej denerwować Lou. - Dzwonię do Hawkinsa. A potem natychmiast do ciebie.

Odłożyłam słuchawkę, zastanawiając się, czy powinnam powiedzieć sierżantowi, że znam kobietę, która mogła wejść na siłownię przez drzwi przeciwpożarowe i wyjść tą samą drogą, która miała małe dziecko, więc znała doskonale szafkę z zabawkami w poczekalni, gdzie mieściły się wyłączniki od alarmu i, co więcej, była na tyle inteligentna, żeby wykombinować, jak można je wykorzystać...

Nie, nie chciałam mu tego mówić. Naprawdę polubiłam Janice.

* * *

Połączenie się z Hawkinsem zajęło mi sporo czasu. Uznałam, że pewnie siedział w sali przesłuchań, przepytując Dereka. Powtarzałam kolejnym rozmówcom, że sprawa jest bardzo pilna, aż w końcu kłós się zламаł i wywołał go z przesłuchania.

- Powiedzieli mi, że jakaś kobieta chce ze mną rozmawiać i nie daje się spławić - mruknął Hawkins zrezygnowanym tonem. - Od razu wiedziałem, że to ty.

- Jesteś zbyt skromny. To mogła być Michelle Pfeiffer, która chciała się z tobą umówić na randkę.

- Jeśli to wszystko, co masz mi do powiedzenia... - powiedział ze zniecierpliwieniem.

- Słuchaj - przerwałam mu w pół słowa. - Podobno aresztowałeś Dereka.

- Może nie ja osobiście - odparł wymijająco. - Ale w fizycznym sensie... właściwie...

- No świetnie. Co do tego też masz wątpliwości?

- Tego nie mówiłem. I przestań wpadać mi w słowo - warknął.

Chciałam mu zacytować artykuł z „The Guardian”, w którym napisano, że osiemdziesiąt procent zakłóceń w rozmowach spowodowanych jest przez mężczyzn wpadających kobietom w słowo. Ja tylko lekko poprawiałam statystyki. Pomyślałam jednak, że to nie byłoby na miejscu. Ach, ten wrodzony, dziewczęcy takt.

- Możemy się spotkać? Teraz? - zapytałam z nadzieją.

- Muszę ci coś powiedzieć.

- Wal. Słucham.

- To zbyt skomplikowane jak na telefon. - Nie mogłam się przyznać, że zamierzałam mu zrobić pranie mózgu, a to zawsze lepiej wychodzi, kiedy masz osobisty kontakt z ofiarą. Będąc w tak zgryźliwym nastroju chyba nie zniósłby tego najlepiej.

- Okej, ale lepiej niech to będzie coś ciekawego - odparł, przyjmując zaproszenie bez cienia wdzięczności.

- Teraz nie mogę. Może w porze lunchu. Przyjdź tu o pierwszej.

Komenda policji raczej nie sprzyjałaby zaplanowanej przeze mnie szczerzej rozmowie i wymianie informacji.

- Nie, brzmi zbyt oficjalnie. Może spotkamy się w jakimś barku z kanapkami?

Użyłam tego wyrażenia, bo wiedziałam, że zdaniem policjantów kawiarnie nie pasują do wizerunku prawdziwego mężczyzny. W telewizji nigdy nie mówi się o oficerach, którzy zginęli na środku kawiarni, prawda?

- Nie mogę podać dokładnej godziny, bo nie wiem, kiedy będę wolny - powiedział.

Pomyślałam, że po prostu nie wie, kiedy Monroe i on zrezygnują z prób wmówienia Derekowi winy za zabójstwo Lindy. Przecież wszyscy czasem wkurzamy się na swoje dziewczyny, my to rozumiemy, synu, ona pewnie zaczęła cię prowokować, prawda? Nikt by czegoś takiego nie wytrzymał... Jeśli trafisz na właściwego sędziego, może nawet da ci wyrok w zawieszeniu.

- Wpadnę do ciebie, jak skończę.

- Ale ja... - zaczęłam. Hawkins odłożył słuchawkę. *Bardzo niegrzecznie.* Zmarszczyłam brwi z irytacji, po czym poszłam na górę się ubrać. Niespecjalnie widziałam się w roli kobiety, która podejmuje lunchem oficera policji. Ależ proszę wejść, sierżancie, może kanapeczkę? Musiałam uważać, żeby nikomu się nie wygadać, że pozostaję w stosunkach towarzyskich z gliną. A może powinnam mówić, że wdarł się siłą do mojego mieszkania, pobił mnie i usiłował podrzucić mi narkotyki? Mieszkańcy północnego Londynu z pewnością by w to uwierzyli.

Hawkins zjawił się o drugiej. Na wszelki wypadek nie chciałam wychodzić z domu, bo mógłby przyjść pod moją nieobecność, więc przeczytałam „Guardiana” od deski do deski, po czym obejrzałam „Sąsiadów”. Nie był to najlepszy pomysł, zważywszy, że potrzebowałam sprawnego umysłu. W ramach rozruszania intelektu zrobiłam krzyżówkę.

Miałam na sobie dzinsy i wielki, czarny sweter. Nic szczególnie onieśmielającego. Dla równowagi nałożyłam czerwoną szminkę na usta i srebrne kolczyki w każdą dziurę w uszach. Zrezygnowałam tylko z kolczyka w łuku brwiowym, bo ludzie o słabych żołądkach kiepsko znoszą taki widok. W międzyczasie zgłodniałam tak, że chciałam już zacząć obgryzać gumowe uszczelki z lodówki, kiedy nadszedł sierżant z paczką kanapek.

- Brawo! - powiedziałam z entuzjazmem.

- Wszystkie są wegetariańskie - oświadczył dość kwaśnym tonem. - Pomyślałem, że pewnie nie jesz mięsa.

Na szczęście szybko zdjął swoją ulubioną kurteczkę, chociaż zrobił to niezbyt chętnie.

- Nie jest tu zbyt ciepło, prawda? - zauważył sarkastycznie.

- Moja agentka artystyczna twierdzi, że tak właśnie powinna mieszkać bohema - powiedziałam z wyższością, po czym tak energicznie wgryzłam się w kanapkę z pietruszką i z jajkiem, że sierżant natychmiast podał mi drugą połowę.

- Czy ty dzisiaj w ogóle coś jadłaś?

Potrząsnęłam głową, przez co kawałeczki pietruszki powypadały mi z ust. Podniosłam je z kolan i zjadłam, wzbudzając przy tym lekkie oszołomienie Hawkinsa.

- Widzę, że posłuchałeś mojej rady - powiedziałam z kanapką w ustach, wskazując na jego granatowy sweter.

- Zacząłeś nosić niebieski.

- Nie włożyłem go specjalnie - odparł obronnym tonem. - I tak miałem go w szafie.

- Okej, do roboty - zarządziłam, kończąc kanapkę.

- Chciałam cię zapytać o rzecz następującą: kiedy weszliście do klubu, czy ktoś sprawdził, czy jest włączona czujka przy drzwiach przeciwpożarowych?

- Drzwiach przeciwpożarowych?

- Tych na końcu korytarza w piwnicy. Obok łazienki, gdzie została znaleziona.

- Oczywiście, że sprawdziliśmy.

- I co, alarm był włączony?

- Czy nie sądzisz, że w przeciwnym wypadku zbadalibyśmy, kto mógł tamtędy wejść? - zapytał niepotrzebnie protekcjonalnym tonem.

- Skądże mam wiedzieć, co wy badacie? - zapytałam pokornie. - W takim razie to odpada.

Cholera, pomyślałam. A taki miałam dobry pomysł. Wstałam, żeby zrobić kawy. Poszedł za mną do kuchni i patrzył, jak nalewam wody do ekspresu, sypię kawę do środkowej części, skręcam oba pojemniki w całość i stawiam na gazie.

- A może byś mi powiedział, co macie na Dereka? Przecież nie zamknęliście go tylko dlatego, że statystycznie większość kobiet ginie z ręki męża albo chłopaka i na odwrót?

Czy tylko mi się wydawało, czy on naprawdę zrobił podejrzliwą minę?

- Rozmawialiśmy ponownie z Naomi Fisher. Powiedziała nam, że wbrew poprzednim zeznaniom nie poszła do przebieralni szukać kolczyka, tylko spotkać się z panem Brewsterem. Ale ty to wiedziałaś, prawda?

- Oczywiście, tyle się domyśliłam. - Popatrzyłam na niego niewinnym wzrokiem. - Ale przecież nie można zanudzać policji swoimi domysłami, prawda?

Przez chwilę spoglądał na mnie z aprobatą.

- Pani Fisher twierdzi, że ona i pan Brewster byli obserwowani przez szybę w drzwiach przez panią Fillman.

- Dlaczego w takim razie Derek także nie zauważył Lindy?

Ku mojemu zachwytowi Hawkins lekko się zarumienił.

- Eee... najwyraźniej... oni znajdowali się w takiej pozycji, że... cóż...

- W przebieralni? - zapytałam z niedowierzaniem. - Przecież nie mogli się nigdzie położyć, bo byłoby im zbyt niewygodnie. No, chyba że on oparł się plecami o drzwi, a ona... hm, już rozumiem. Szczęściarz. - Przez chwilę wyobrażałam sobie tę scenę. Pewnie stał pod kątem w stosunku do drzwi. Linda musiała wydać jakiś dźwięk i wtedy Naomi spojrzała w górę i ją zobaczyła. Derek prawdopodobnie był zbyt skoncentrowany na czym innym, ha, ha, ha.

Hawkins poczerwieniał jeszcze mocniej. Uśmiechnęłam się do niego.

- Zatem waszym zdaniem po tym, jak Naomi wróciła na górę, Linda zaatakowała Dereka i tak go tym wkurzyła, że rozwalił jej głowę. Nie sądzicie, że w tej sytuacji to raczej ona powinna uderzyć jego? A poza tym skąd wzięłyby hantle, gdyby zbrodnia nie została wcześniej zaplanowana?

- Właśnie to usiłujemy ustalić - powiedział Hawkins niezbyt zdecydowanym tonem.

Kawa zaczęła bulgotać, więc zajrzałam ostrożnie pod pokrywkę i zdjęłam ekspres z ognia.

- Pewnie wiesz, że Naomi szaleje na punkcie Dereka - zauważyłam. - Na twoim miejscu nie przyjmowałabym jej zeznań tak bezkrytycznie. Po tym, jak, yyy, zrobili to, co zrobili, on oświadczył jej, że nie powinna się spodziewać zbyt wiele bo, yyy, zrobili to, co zrobili i że nie zamierza się z nią wiązać. Naomi poczuła się bardzo urażona i dostała furii.

- To nie zmienia faktu, że widziała Lindę Fillman za drzwiami.

- Nie, ale też niczego nie dowodzi!

Nalałam nam kawy.

- Nie mam mleka - powiedziałam przeprasającym tonem. - Bardzo mi przykro, wiem, że dla niektórych ludzi to bardzo ważne. Ale jeśli chcesz, chyba dam radę znaleźć gdzieś trochę cukru.

Hawkins wpatrywał się z niedowierzaniem w gęsty, czarny płyn w swoim kubku.

- Tak, cukier to chyba dobry pomysł - powiedziałam, w pośpiechu przerzucając wszystko w szafkach w poszukiwaniu małych saszetek, które dają w tanich restauracjach i które zbieram na wypadek sytuacji awaryjnej. Na przykład takiej, jak ta. Były trochę pomięte i poplamione, ale błyskawicznie opróżniłam je do kubka Hawkinsa i wyrzuciłam opakowania zanim zdążył się im przyjrzeć. Następnie wyciągnęłam w miarę czyste łyżeczki z suszarki i podałam mu z uśmiechem w stylu Josie. Bez przekonania wymieszał kawę, po czym wypił mały łyk.

- Jezu, jaka mocna - jęknął z grymasem.

- Owszem. Ale prawdopodobnie wypijasz dziennie sto lur z automatu, z których każda zawiera szczątkowe ilości kofeiny i znaczne dodatków. Ta ma mniej więcej tyle kofeiny ile one wszystkie razem wzięte, żadnych dodatków i wystarczy wypić jedną filiżankę na cały dzień. Czysty zysk.

- Hm. - Upił jeszcze trochę. - Opowiedz mi o ludziach, którzy tego dnia schodzili do piwnicy.

Usiadłam przy stole w kuchni.

- Brian to dość zagadkowa postać. Uprawia kulturystykę i pracuje jako bramkarz. Jest bardzo małowówny, co prawdopodobnie zdążyłeś już zauważyć. Nie widzę żadnego powodu, dla którego mógłby zabić Lindę. To samo dotyczy Fliss. Teraz, kiedy Derek został aresztowany, zamierzam porozmawiać z nimi jeszcze raz i zapytać o to, czego mi nie powiedzieli. Jeff jest znacznie bardziej obiecującym podejrzanym. - W tym miejscu opowiedziałam Hawkinsowi całą historię o planach Lindy i petycji Jeffa. - Może powinieneś pogadać z radnymi, którzy zajmują się sportem i rekreacją i sprawdzić, czy Linda rzeczywiście knuła jakiś spisek. Poza tym zachowywała się w stosunku do niego wyjątkowo wrednie. Miała cięty język i dręczyła go, kiedy tylko zdarzyła się jej okazja. Osobiście widzę Jeffa w roli mordercy. Mogli się pokłócić, Linda rzuciła jakiś niewybaczalny tekst i Jeff stracił panowanie nad sobą. Nie zapominaj, że w biurze stały hantle.

- Ale ty nie zapominaj, że na ubraniu Jeffa nie znaleziono żadnych śladów krwi - powiedział Hawkins.

- A na ubraniu Dereka?

- Także nie - przyznał niechętnie. - Co dziwne, krwi nie było w ogóle na żadnym z ubrań, które zabraliśmy do analizy. A lekarz twierdzi, że po takim ciosie trochę krwi musiało wytrysnąć z rany. Może niezbyt wiele, ale jednak trochę. Z całą pewnością morderca stał tuż obok, więc został opryskany. Tymczasem przeszukaliśmy całą siłownię i nie znaleźliśmy nawet skrawka ubrania ze śladami krwi. Nawiasem mówiąc ustalono ponad wszelką wątpliwość, że morderca użył tych hantli jako narzędzia zbrodni. W takim razie pozostaje jeszcze pytanie o to, skąd je zabrał. I to także przemawia na niekorzyść Brewstera. Niewątpliwie mógł zajrzeć na męską halę i wziąć hantle, niezauważony przez... yyy...

- Briana.

- Tak, Briana. Felicity Brady zaprzecza, jakoby ktokolwiek wchodził na żeńską siłownię i nie słyszałem nic, co podważałoby to zeznanie. A Jeff, jak mu tam... Roberts twierdzi, że nikt nie brał hantli z biura. Co nie wygląda najlepiej z punktu widzenia Dereka Brewstera.

Dokończył kawę i odstawił kubek.

- Nie była taka zła - przyznał. - Rozjaśnia umysł, prawda?

Popatrzyłam na niego w skupieniu.

- Ty nie sądzisz, że to Derek ją zabił, prawda?

- Nie wiem - odparł, unikając mojego wzroku.

- W takim razie dlaczego go aresztowaliście?

- Monroe bardzo na to naciskał. - Hawkins wzruszył ramionami. - Zresztą musisz przyznać, że Derek to oczywisty główny podejrzany. Sama wiesz, jak wyglądają statystyki. A

w dodatku ta Fisher powiedziała, że Linda Fillman przyłapała ich sam na sam... Motyw na pewno miał.

- No i jest czarny. A Linda biała - podkreśliłam.

- Nie sądzę, żeby to akurat miało znaczenie dla inspektora - powiedział szczerze. - Ale Monroe naprawdę wierzy w winę Dereka. Tu nie chodzi o żadne uprzedzenia. Przecież Fisher też jest czarna. A będzie zeznawała przeciwko niemu.

- Ale nie widziała, jak Derek uderza Lindę, prawda? - prychnęłam. - I raczej trudno ją nazwać obiektywnym świadkiem. Moim zdaniem o wiele bardziej prawdopodobne, że ona sama to zrobiła.

- Ale skąd miałbym wytrzasnąć dowody przeciwko niej? - zapytał sierżant. - Ci ludzie w piwnicy byli jak trzy mądre małpki: nic nie widzieli, nic nie słyszeli i nic nie mówią!

Popatrzyliśmy na siebie.

- Ale sprawdzisz to, o czym rozmawialiśmy - spytałam niecierpliwie, przygryzając wargę. - I pogadasz z radnymi... - dodałam, zeskakując ze stołu i stając tuż obok niego.

- Już ci mówiłem, że tak! - warknął Hawkins przez zaciśnięte zęby. - Kiedy mówię, że coś zrobię, to zrobię, okej?

- Świetnie! - odparłam, patrząc mu prosto w oczy. Jego spojrzenie skrzyżowało się z moim na niewielkiej przestrzeni, dzielącej nasze twarze. Zapadła nieznośna cisza.

- Więc... hm... - wykrztusił w końcu Hawkins mocno zduszonym głosem. - Jak się nazywa ta twoja ruchoma rzeźba?

Zorientowałam się, że od dłuższego czasu wstrzymywałam oddech.

- Nieodkryta Planeta - powiedziałam, wypuszczając powietrze. - Właściwie tak ją nazwała ta agentka. Przyszła tu w zeszłym tygodniu, tuż przed twoją wizytą. Dlatego tak się dziwnie zachowywałam, kiedy zadzwoniłeś do drzwi. Myślałam, że to jeszcze raz ona...

Zorientowałam się, że straszliwie bredzę, więc powoli zamilkłam. Udawałam, że przyglądam się mojej rzeźbie, przez cały czas czując na sobie jego wzrok. Po chwili opuściłam głowę i znów spojrzałam mu w oczy. Błąd. Były naprawdę bardzo, bardzo niebieskie. Nie mogłam się powstrzymać. Na chwilę zapomniałam, że jest policjantem, a potem, że nie powinnam go całować, i w końcu zrobiło się za późno na tego typu rozważania.

Jak na moje standardy, całował znakomicie. Na początku wydawał się trochę zaskoczony, ale ledwo załapał, o co chodzi, wynagrodził mi wszystko z nawiązką. W rezultacie to ja pierwsza odsunęłam głowę.

- Popęlniamy błąd - powiedziałam z roztargnieniem.

- Wiem - odparł równie nieprzytomnie. - Mieszkam z kimś, a zresztą niech to szlag...

Porwał mnie w ramiona i pocałował raz jeszcze, przyciskając moje ciało do jego tak mocno, że omal nie zatamował mi krążeń. To był jeden z tych pocałunków, które mogą prowadzić do wszystkiego i omal rzeczywiście nie doprowadziły. Straciłam głowę i odleciałam w jakieś dalekie, kosmiczne rejony, a on całował mnie tak, jakby nie robił tego od

lat i właśnie chciał nadrobić stracony czas, głęboko, mocno, namiętnie, z takim pożądanym, jakby fizycznie tego potrzebował. Zakręciło mi się w głowie i przylgnęłam do niego ogarnięta równie silnym pragnieniem, przekonana, że gdybym go teraz puściła, osunęłabym się na podłogę jak szmaciana lalka.

Kiedy w końcu oderwał swoje wargi od moich i popatrzył na mnie, jego oczy wyglądały jak naładowane elektrycznie, a włosy wciąż sterczały we wszystkie strony, zburzone moimi dłońmi. Oboje nie mogliśmy odzyskać oddechu i przez dłuższą chwilę milczeliśmy, usiłując wrócić do równowagi. Moja krew krążyła teraz tak szybko, że omal nie zemdlałam.

- Z kim mieszkasz? - zapytała Sam Jones, wcielenie taktu i delikatności.

Niechętnie zdjęłam rękę z jego karku.

Hawkins miał zmieszana minę i usiłował przeczesać palcami włosy, ale nagle zorientował się, że obie ręce ma pod moim swetrem. Ten fakt chyba go zaskoczył, bo natychmiast odciągnął je z wyrazem przerażenia na twarzy. Niespecjalnie mi to pochlebiło.

- Z partnerką - powiedział, z trudem chwytając oddech.

- Twoją partnerką? - Masz na myśli partnerkę z policji? Czy też może nazywasz tak swoją dziewczynę, jakbyś robił z nią interesy?

- Daphne jest feministką - oświadczył z wyższością.

- Uważa, że wyrażenie „moja dziewczyna” jest poniżające...

- Daphne? Mieszkasz z kimś o imieniu *Daphne*? - Rzuciłam się na to imię jak wygłodniała pirania.

Hawkins obrzucił mnie morderczym spojrzeniem, po czym obciągnął sweter i zaczął się rozglądać w poszukiwaniu kurtki.

- Leży na kanapie - powiedziałam, idąc po nią. Kiedy wróciłam z kurtką w ręku popatrzyłam na niego niewinnie. - Pomóc ci?

- Nie dotykaj mnie - warknął, wyrywając mi ją z rąk.

- Czy to Daphne ci to kupiła? Niezbyt twarzowe.

- Znałem w życiu kilka wrednych bab, Sam, ale ty przekraczasz wszelkie granice! - krzyknął.

- Dziękuję - odparłam słodko.

- Nie powinienem był tu przychodzić.

- Zwróć uwagę, że to nie ja wpadłam na ten pomysł.

Ruszył do drzwi, ale ja dobiegłam tam pierwsza i zasłoniłam je własnymi plecami.

- Dowiesz się wszystkiego, o czym rozmawialiśmy, tak? Nie zapomnisz, co miałeś zrobić tylko dlatego, że na moment daliśmy się porwać namiętności, tak?

- Tak, tak. To znaczy nie! Nie zapomnę. A teraz wypuść mnie stąd!

Nadal miał rozczochrane włosy, a kurtka zwisała mu nieporządknie z ramienia. Nie mógł wyglądać gorzej, nawet gdybym przywiązała go do łóżka i zaczęła molestować. Właściwie

zaciekało mnie, jak dokładnie by wtedy wyglądał, ale nie mogłam o tym myśleć. Najpierw obowiązek, potem przyjemność. Cholera.

- Ależ ja cię nie zatrzymuję - powiedziałam, gestem ręki wskazując mu drzwi. - Nie należy więzić mężczyzn wbrew ich woli...

- Po prostu odsuń się od tych przeklętych drzwi!

- O co chodzi? Czujesz się niezręcznie, kiedy jesteśmy blisko?

Ostentacyjnie usunęłam się na bok i patrzyłam, jak nerwowo walczy z moimi zamkami. W końcu wysunęłam rękę i miękkim ruchem odemknęłam jedyną zasuniętą zasuwkę. Hawkins odskoczył, jakby mój dotyk mógł go oparzyć. Uchyliłam drzwi. W mgnieniu oka znalazł się na schodach i dopadł drzwi swojego samochodu. Zanim wsiadł, przez chwilę stał bez ruchu, odzyskując panowanie nad sobą.

- Zadzwoń do ciebie, kiedy tylko czegoś się dowiem, okej? - powiedział, akcentując słowo „zadzwoń”.

- Świetnie - odparłam, uśmiechając się słodko. - Nie mogę się doczekać.

- Masz rozsmarowaną szminkę na buzi - powiedział, patrząc mi prosto w oczy.

- Ty też - odpaliłam.

Weszłam do mieszkania i zamknęłam drzwi zanim zdążył się zorientować, że skłamałam. Zerknęłam do lustra i wyczyściłam szminkę, uśmiechając się do siebie. Nie ma to jak mały, gwałtowny flirt, żeby podnieść człowieka na duchu. Nagle zdałam sobie sprawę, że nawet nie znam jego imienia. Dziwne, na ogół to wszystko działo się w odwrotnej kolejności.

Na stoliku przy sofie leżało jeszcze pół kanapki. Ser i pikle. Zaczęłam ją jeść, kiedy nagle przyszyła mi do głowy ciekawa myśl.

Czyż nie byłaby to prawdziwa ironia losu, gdyby po tym wszystkim okazało się, że Derek jednak zabił Lindę?

18.

Jak się później okazało, gdy wpadłam do siłowni, nie byłam jedyną osobą, której myśli krążyły wokół tego tematu. W zasadzie spieszyłam się właśnie na spotkanie z adwokatem Dereka, gdyż prosiła mnie o to Lou. Ona sama poszła na komisariat, zostawiając na straży Rachel. Lesley miała akurat wolny dzień, ale nawet gdyby została w pracy i tak nie można by jej było powierzyć zadania związanego z jakąkolwiek odpowiedzialnością.

Rachel siedziała w recepcji i wyglądała na zmęczoną. Zaproponowałam pomoc, ale pokręciła głową.

- Nie jest tak źle. A Lou obiecała, że wpadnie później. - Popatrzyła na mnie z namysłem. - Wiesz, teraz po aresztowaniu Dereka zaczęłam podejrzewać, że może on naprawdę zabił Lindę.

- Chyba nie mówisz serio, Rachel?

- Pewnie, że nie - odparła zmęczonym głosem. - Ale czasem zaczynasz dociekać... i zresztą wiesz, o co mi chodzi, Sam.

- Rozmawiałam z tym policjantem, no wiesz, sierżantem Hawkinsem. - Przez chwilę zamierałam powiedzieć Rachel, co się naprawdę wydarzyło, ale w końcu uznałam, że nie zniosę jej drwin. Już i tak nieunikniona rozmowa z Tomem przekraczała moje siły. - On sam wcale nie jest o tym przekonany.

- Przecież Derek został aresztowany!

- Wiem, ale z tego, co mówił sierżant, to raczej sprawka inspektora. Może naciskali na niego z góry, ale Monroe naprawdę myśli, że Derek jest winny.

- Chyba już nic więcej nie zrobimy - westchnęła Rachel. - Wygląda na to, że sprawa stanęła w martwym punkcie.

- Wpadł mi do głowy ten pomysł z drzwiami przeciwpożarowymi, ale sierżant Hawkins wybił mi go z głowy. Niemniej jednak porozmawia z ludźmi z rady zajmującymi się rekreacją. Chce ustalić, czy Linda nie próbowała sprywatyzować siłowni.

- A jeśli nawet, czego by to niby miało dowodzić? - Rachel była najwyraźniej w sceptycznym nastroju.

- Wtedy głównym podejrzanym byłby Jeff.

- No tak. - Nie wydawała się szczególnie przekonana.

Pamiętałam, co powiedział mi Hawkins. Naomi widziała, że Linda podgląda ją i Dereka i doniosła o tym policji. Uznałam za stosowne poinformować o tym Rachel.

- Ale zdzira - skomentowała krótko.

- Trudno jej jednak odmówić inicjatywy. Przyłapała go z opuszczonymi slipkami i skorzystała z okazji.

- Może w takim razie Naomi zabiła Lindę - zasugerowała Rachel. - Gdyby nie poszła od razu na górę, ale do toalety i spotkała tam Lindę... wyobrażasz sobie tę scenę?

- Skąd by wzięła hantle? Te hantle powracają zawsze jak bumerang.

- Mówiłam ci już. Zabrnęliśmy w ślepią uliczkę.

Odsunęła od siebie książkę rachunkową.

- Jesteś pewna, że nie mogę ci pomóc? - spytałam.

Rachel podniosła na mnie wzrok.

- Właściwie tak. Nie chcę odchodzić z recepcji. Czy mogłabyś przynieść z biura skoroszyty z tegorocznymi fakturami? Chyba ze dwa albo trzy. Czerwone. Są na półce z tyłu.

Półki stały za biurkiem Lou, a że roilo się w nich od czerwonych skoroszytów, nie od razu udało mi się znaleźć te właściwe. Wystawały jednak trochę poza inne, tak jakby chciały zwrócić moją uwagę. Kiedy je wyjęłam, od razu zrozumiałam, dlaczego tak rzucają się w oczy. Tkwiła za nimi klamka.

Patrzyłam na nią przez chwilę, a potem wyciągnęłam skoroszyty z półki poniżej. Moje domysły potwierdziły się całkowicie. Najpierw znalazłam klamkę, a teraz zamek - stary, ale chyba jeszcze sprawny. A zatem półkami zastawiono drzwi, kiedy ktoś uznał, że nie są już dłużej potrzebne. Ciekawe, czy je zacementowali? Może udałoby się jeszcze je jakoś otworzyć?

Główny pęk kluczy wisiał, jak zwykle, na gwoździu za biurkiem. Do jednego z nich przyczepiono karteczkę z napisem „Tylne drzwi”, więc wsadziłam go do zamka. Przytrzymując jedną ręką akta, nacisnęłam klamkę. Drzwi otworzyły się. Na zewnątrz był korytarz ciągnący się wokół budynku, a za nim wysoka betonowa ściana. Poplamiona, odpychająca, ściana bez okien, jak więzienny mur.

Zadrżałam, ale nie miało to związku z chłodem, jaki panował na zewnątrz. Znieruchomiałam na chwilę i w tym momencie byłam pewna, że ktoś za mną stoi. Kobieta. Poczułam gęsią skórę. Kobieta nie wydała żadnego dźwięku, ale ta absolutna cisza wydawała mi się tak złowieszcza, jakbym widziała za sobą jej cień, z hantlami nad głową. Przemknęło mi przez myśl, że moja zabójczym oblicza w myślach, jak długo będę stała odwrócona do niej plecami, i zbliża się do mnie szybkimi krokami. Z twarzą wykrzywioną od wysiłku, wyraźnie zamierza mnie uderzyć.

Odwrociłam się, uchylając jednocześnie głowę przed ciosem. Nie mogłam złapać oddechu. Biuro było puste, drzwi lekko uchylone, dokładnie tak, jak je zostawiłam. Ani śladu czyjejkolwiek obecności, nic podejrzanego się nie wydarzyło, poza tym, że poniosła mnie

wyobraźnia. Chyba wpadałam w paranoję. Wypuściłam powietrze, serce biło mi jak młotem, wciąż nie mogłam przyjść do siebie, chociaż nic się nie stało.

Odczekałam chwilę, odzyskałam równowagę, zamknęłam drzwi, powiesiłam klucz na haczyku i zabrałam skoroszyty, o które prosiła mnie Rachel. Kiedy wróciłam do recepcji, Rachel siedziała z nosem utkwionym w księgach rachunkowych. Zauważyła mnie dopiero w chwili, gdy położyłam przed nią skoroszyty.

- Długo cię nie było - stwierdziła z roztargnieniem.

- Stały gdzie indziej?

Mruknęłam coś wymijająco.

- Czy przypadkiem nie wróciła tu przed chwilą Lou? - spytałam bez ogródek.

Popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.

- Nie, przecież jest na komisariacie, zapomniałaś?

Przypomniałam sobie twarz, wytwór mojej wyobraźni, i znów zadrżałam. Nie wiedziałam, dlaczego sądziłam, że kobieta zaatakuje mnie w chwili, gdy będę do niej odwrócona plecami. W końcu zabójca Lindy nie był takim tchórzem. Uderzył ją w prosto w twarz.

* * *

Sądziłam, że obrońca Dereka będzie miał lewicowe poglądy, ale sądząc po adresie jego firmy należał do establishmentu. Kancelaria mieściła się w zabytkowym budynku, większym od któregośkolwiek college'u Oxfordu, równie przesiąkniętym tradycyjną atmosferą zbytku i elegancji, mającym wszystkie inne zalety, jakich bronią członkowie klubów wyłącznie dla mężczyzn. Samochodów nie wpuszczano na dziedziniec porośnięty wspaniale wypielęgnowaną trawą. Panował tam przyjemny spokój. Byłam ciekawa, czy bluszcz porastający kamienne ściany pełnił kiedykolwiek rolę prymitywnego wyciszacza dźwięku. Kilka obrzydliwie tłustych gołębi rozsiało się na ścieżce i nie zamierzało odlecieć. Wyglądały tak, jakby można je było przepłoszyć wyłącznie przy użyciu wiatrówki. A potem dwóch mężczyzn, przy których gołębie wyglądały tak, jakby przeszły kurację odchudzającą, wyszło z drzwi po mojej lewej tak gwałtownie, że gdybym nie odskoczyła, na pewno by mnie potrącili. Mężczyźni odeszli bez słowa przeprosin, mówiąc coś do siebie przyciszonymi głosami. Najwyraźniej służyli gołębiom za wzorzec zachowania.

Po kwadransie poszukiwań, wśród innych miedzianych tabliczek przyczepionych do drzwi, odnalazłam w końcu nazwisko adwokata Dereka. Kancelaria mieściła się na trzecim piętrze, windy nie było. Najwyraźniej nikt jej tu nie potrzebował. Już na miejscu politycznie poprawny charakter praktyki stał się bardziej widoczny. Częściowo siedząc, częściowo zwisając z wąskiej tweedowej sofy w recepcji, obserwowałam twarze wszystkich barw, jakimi mógł się poszczycić naród brytyjski. Ich właściciele nosili ubrania wzorowane na

modzie typowej dla lewicowych intelektualistów, o których im mniej się mówi, tym lepiej. Większość kwiatków w doniczkach stojących na parapetach uschła. Może prawnicy woleli z nimi rozmawiać, niż je podlewać.

- Może pani od razu przejść do biura Gavina - powiedziała recepcjonistka, dając w ten sposób do zrozumienia, że z szefem łączy ją zdecydowanie przyjacielskie stosunki. W większości kancelarii o takiej lokalizacji od razu by ją za to wylali.

Gavin - gdyż tak miałam się chyba do niego zwracać - pracował przy końcu korytarza. Wyliczyłam, że okna jego gabinetu wychodzą na główny dziedziniec. Zapukałam i weszłam. Nie myliłam się. Z wysokich okien roztaczał się widok na piękny trawnik dziedzińca i porośnięty bluszczem mur. Sielsko. Byłam ciekawa, czy w wolnych chwilach Gavin nie marzy o tym, że jest dziekanem wydziału prawa, który właśnie za chwilę odbędzie seminarium z grupą studentów. Jemu jednak wiodło się chyba lepiej niż dziekanom. W dzisiejszych czasach lukratywne posady w firmach prawniczych zdobywało się na ogół przez łóżko.

Przerwałam spekulacje na temat zarobków Gavina. Zdałam sobie właśnie sprawę z tego, że panorama za oknem to nie jedyny atrakcyjny widok w tym biurze. Druga osoba siedziała na krześle przy biurku z twarzą odwróconą gwałtownie w moim kierunku. Na twarzy malował się zdecydowanie wrogi wyraz. Cofnęłam się instynktownie. Jeśli tak właśnie wyglądała Grace Kelly w napadzie złego humoru, Hitchcock z pewnością otarł z ulgą pot z czoła, gdy wreszcie przestała grać w filmach.

- To ty - powiedziała kobieta w sposób, który można by niewątpliwie uznać za teatralny, gdyby nie złowieszcze brzmienie jej głosu. Wstała i przysunęła tak gwałtownie krzesło do biurka, że aż jęknęło z urazy.

- Czy panie się znają? - spytał Gavin Pritchett. Miał na sobie beżową flanelową koszulę, brązową, sztruksową marynarkę i krawat, który wyglądał tak, jakby Gavin wyżywał się na nim w chwilach zdenerwowania.

- Owszem. Jak się masz, Janice - powiedziałam, próbując bohatercko zmyć z twarzy poczucie winy. - Jak tam Devon?

Wszystko na nic. Niemal usłyszałam, jak zaciska szczęki. Jej błękitne oczy miały laserowe promienie wściekłości. Gdyby Grace popatrzyła w ten sposób na księcia Rainier, ten podniósłby ręce w geście poddania i, aby ją udobruchać, zaproponował, by przerobiła klejnoty koronne Księstwa Monako na dowolną biżuterię.

- Czy to właśnie tej osoby się spodziewałeś, Gavinie? - warknęła. - Ona właśnie docieka, kto naprawdę zabił Linde?

- Tak, chyba tak. - Gavin z niewyraźną miną pocierał podbródek. Gdy cofnął rękę od twarzy zauważyłam, że zapuszcza brodę, która jednak na razie przypominała raczej zarost pod pachą. - Hm... proszę spocząć - zwrócił się do mnie, próbując odzyskać kontrolę nad sytuacją. - Pani Jones, prawda?

- Proszę nazywać mnie Sam.

Janice najwyraźniej nie miała wątpliwości, jak naprawdę należy się do mnie zwracać. Miałam jednak nadzieję, że nie użyje podobnego słownictwa w obecności Gavina.

- Co ty sobie, do cholery, wyobrażasz? Śledzisz mnie? Mnie? - wrzasnęła, robiąc dwa kroki w moim kierunku. Z trudem udało mi się zachować spokój. - No, bo właśnie tym się zajmujesz, prawda? Kręcisz się koło domu i wyciągasz ode mnie podstępem informacje, udając sympatię i współczucie. Jak śmiesz?!!!

- Zaraz, zaraz. - Czułam, że wzbiera we mnie irytacja. - Niczego od ciebie nie wyciągałam. Sama chciałaś mówić. Do niczego cię nie zmuszałam.

- Może... - zaczął Gavin słabym głosem - usiądziemy sobie spokojnie i napijemy się herbaty.

Janice odwróciła się i posłała mu jedno ze swoich zabójczych spojrzeń.

- W takim razie chyba się nie napijemy - skonstatował. Wyglądał jak przekłuty balon..

- Słuchaj - przerwałam Gavinowi i przygwoździłam Janice spojrzeniem, które, jak miałam nadzieję, było równie przeszywające i groźne jak kiedyś spojrzenie Lindy - jeśli przyjaciele Dereka mają prawo przypuszczać, że aresztują go za morderstwo, którego nie popełnił, to co, do cholery, mają robić? Jak myślisz? Zostawić sprawę własnemu losowi i zamówić dla niego mundurek więzienny na miarę? Powinnaś się cieszyć, że znaleźli się ludzie, którzy zadali sobie trochę trudu, aby znaleźć coś, co mogłoby go oczyścić z zarzutów. Oczywiście, pod warunkiem, że nie dążysz do procesu.

- O co ci chodzi? - Na jej twarzy malowała się jednocześnie złość i zdziwienie. - Oczywiście, że chcę, by zwolnili Dereka! Dlaczego miałabym nie chcieć?

Wzruszyłam ramionami.

- Może masz coś do ukrycia - powiedziałam zupełnie obojętnie. - W takim przypadku aresztowanie Dereka jest ci bardzo na rękę.

Widząc lodowaty wyraz jej oczu, pomyślałam, że Grace Kelly zmarnowała talent grając bohaterki pozytywne. Powinna była przyjmować wyłącznie role psychopatycznych zabójczyń.

- Co robiłaś, kiedy zabito Lindę? Tak tylko pytam - dodałam nonszalancko, uznając, że mogę iść na całość. W końcu to nie moja wina, że Janice zwierzała się obcej kobiecie na przystanku autobusowym.

- Pracowałam - warknęła. - Ty chyba sądzisz, że to ja ją zabiłam.

- Nie brakowało ci motywu - odparłam łagodnie.

Ku mojemu zdumieniu, zarumieniła się lekko. Włosy miała upięte we francuski warkocz, twarz odsłoniętą, więc widziałam dokładnie jej wyraz i kolor.

- No, a ty? - zaatakowała. - Może to ty ją zabiłaś?

- Właściwie to tak - odparłam, siadając na krześle, które wskazał mi Gavin już jakiś czas temu. - Ale na pewno bym tego nie zrobiła, gdybym przewidziała to całe zamieszanie. Ta

próba rozładowania atmosfery okazała się nietrafiona. Gavin wyraźnie się skrzywił, a piękna twarz Janice zastygła dokładnie tak jak twarz Grace Kelly, kiedy w „Oknie na podwórze” James Stewart przekonuje ją w końcu, że naprzeciwno popełniono morderstwo.

- Żartowałam. Ha ha - powiedziałam, ratując sytuację. - Jestem naprawdę bardzo dowcipna. Mogę wam kiedyś opowiedzieć całą serię kawałów o blondynkach. Zresztą nie, nie zabiłam Lindy. Mam alibi. Nawet policja mnie nie podejrzewa. A gdybym ją zamordowała, to przecież nie szukałabym prawdziwego sprawcy. Chyba mnie nie uważacie za kompletną kretynkę? Trzymałabym się od całej sprawy daleko, może nawet pojechałabym na Madagaskar.

Moje żarty przynajmniej złagodziły gniew Jane. Z policzków powoli zniknęły jej rumieńce. Janice zwykle miała cerę barwy, którą Dulux określiliby jako kremową z domieszką różu. Teraz jednak jej twarz wydawała się wyzuta z jakiegokolwiek koloru. Janice sprawiała wrażenie bardzo, bardzo zmęczonej.

- W takim razie, dlaczego szukasz mordercy? - spytała po raz pierwszy zupełnie normalnym tonem.

Wzruszyłam ramionami.

- Bo najpierw prosiły mnie o to Lou i Rachel. A jak już się za coś wezmę, to nie odpuszczę. To jedna z moich wad.

Przez chwilę myślałam, ile czasu strawiłam na przerabianie Rzeczy, zanim wreszcie wpadłam na to, że powinna być ruchoma. Nie byłam w stanie zająć się czymkolwiek innym, dopóki nie skończyłam. A co do potrzeby dociekania prawdy to można je nazwać poszukiwaniami metafizycznymi, jeśli w ogóle używacie tego rodzaju słownictwa. Dla mnie to eufemizm dla nadmiernej ciekawości.

- A tak właściwie, to co tu robisz? - Ciekawość znów dała mi kopa. A może jestem zbyt wścibska?

- Pracuję - odparła niecierpliwie Janice. - Jestem prawnikiem. Nie pamiętasz, że już ci to mówiłam, kiedy zaczęłaś węszyć w moim prywatnym życiu.

- To był zupełnie zbędny komentarz - stwierdziłam wyniośle. - Rozumiem, że to ty poleciłaś Derekowi Gavina, kiedy potrzebował prawnika?

- Tak. Sama zajmuję się przeważnie darowiznami. Gavin to nasz specjalista od spraw karnych.

Zerknęłam na Gavina, który zuł krawat. Dzięki temu zostawił przynajmniej w spokoju kozią bródkę. Zamierzałam mu powiedzieć, że ktoś mógł wejść do biura przez drzwi przeciwpożarowe, ale teraz to nie wchodziło w rachubę. Janice zmusiłaby go na pewno, żeby tuż po moim wyjściu powtórzył jej dokładnie naszą rozmowę. Gavin poczuł na sobie mój wzrok i podniósł oczy. Patrzył na mnie jak małe zwierzątko, które po raz pierwszy wyszło z norki i stwierdza, że nie sprosta wymaganiom otaczającego go świata. Miałam nadzieję, że na sali sądowej zachowuje się nieco bardziej asertywnie.

- Hm! A według pani, kto zabił Lindę Fillman? - spytał, wyjmując krawat z ust.
- Szczerze mówiąc, nie mam zielonego pojęcia - odparłam.

19.

Na wieczór umówiłam się z Tomem w chińskiej restauracji i bałam się tego, co będę musiała mu powiedzieć. Generalnie nie jestem najgorszą kłamczuchą, ale przed Tomem nie potrafię niczego ukryć. Przyszłam wcześniej i dla kurażu zamówiłam piwo żeńszeniowe.

- Co jest? - spytał, gdy tylko na mnie popatrzył. - Widzę, że coś nie gra.

- Najpierw usiądź.

- Boże, co się stało? - spytał, wyraźnie poruszony, opadając na krzesło.

Wpatrywałam się w niego w milczeniu.

- Sammy, jeżeli mi nie powiesz...

Zaczerpnęłam powietrza.

- Skoro już musisz wiedzieć, całowałam się z policjantem.

Wybuchnął śmiechem.

- Jezu - wykrztusił w końcu. - Prawie ci się udało. Jesteś dobra w te klocki. Pamiętasz, jak chciałaś mi kiedyś wcisnąć ten kit o...

- Nie, Tom. Ja nie żartuję. Naprawdę całowałam się z policjantem. - Za drugim razem poszło łatwiej.

Nastąpiła chwila przeraźliwej ciszy.

- Nie wierzę.

- Naprawdę.

- Nie masz wstydu, kobieto? - zagrzemiał. - Nie znasz granic? Jezu, gdyby to jeszcze był ksiądz... zrozumiałbym... Ale policjant... Zmienił ton. - A hełm nie przeszkadzał? - spytał z prostacką ciekawością.

- Nie miał na sobie munduru. Za kogo mnie masz? Chodzi w zwyczajnym ubraniu. Dosłownie. Nosi okropne ciuchy. A teraz smakowity kąsek: jego dziewczyna ma na imię Daphne.

- Nie!

- A jednak.

- Daphne - powiedział Tom z namysłem. - To pasuje do kapitana żeńskiej drużyny hokejowej.

- Musi nazywać ją partnerką. Daphne nie uznaje wyrażenia „moja dziewczyna”, bo uważa, że to poniżające dla kobiety.

- Okropne są te baby - odparł współczująco. - Miałem kiedyś taką, która kazała mi przeczytać całą swoją kolekcję romansów, a potem o nich rozmawiać.

- Biedactwo.

- Nawet nie wiesz, co ja przeżyłem. Nie tyle te książki, co dyskusje, chociaż jedno i drugie było diabła warte. - Wzdrygnął się. - Wolę o tym nie myśleć. - No i jak? Dobrze całował?

- Nawet bardzo. Ale miałam wrażenie, że nie robił tego od lat. Mogę się założyć, że Daphne nie uznaje seksu związanego z penetracją, bo jest zbyt inwazyjny. Dlatego pewnie nie pozwala sobie włożyć języka do ust.

- Ta od czytadeł była dokładnie taka sama. Nigdy ci o tym nie mówiłem, bo się bałem, że mnie wyśmiejesz.

- Nie pozwalała ci włożyć języka do ust?

- Nie, moja słodka. Nie tylko do ust. W ogóle nigdzie.

- Rany. - Myślałam chwilę. - Ale po co takim w ogóle mężczyźni, skoro nie chcą penetracji?

- Mnie o to nie pytaj.

- To już nie jest feminizm - orzekłam stanowczo. - A ja jestem feministką.

- Dziewczyny takie jak ty są idealne dla facetów - odparł pogodnie. - Wyprawiają świństwa w łóżku, ale nie każą płacić za kolację.

Uznałam to za przesadę.

- Dostyc - powiedziałam ostro. - Dzisiaj ty stawiasz.

Tom prychnął z oburzeniem.

- Niech ci ten glina funduje. Nie mają funduszu reprezentacyjnego?

- Wątpię. On jest tylko detektywem w stopniu sierżanta.

- Ale jest dobry w te klocki?

- Nie bądź taki dociekliwy. W twoim życiu nie dzieje się nic godnego uwagi? Nic, czym chciałbyś się ze mną podzielić?

Pokręcił z ubolewaniem głową.

- Tylko ty się bawisz. A tak na marginesie: coś mi wczoraj przyszło do głowy. - Pochylił się nad stołem. - Czy nigdy nie przemknęło ci przez myśl, że Mr Muscle może naprawdę być winny? Taka ironia losu, co?

Popatrzyłam na niego ponuro.

- Jeżeli znów ktoś mi coś takiego powie, rozstanę się z odznaką Nancy Drew.

* * *

- Sam, Sam, tutaj!

Zeszłam właśnie do piwnicy i mijałam biuro. Wiedziałam, kto mnie wzywa. Brian, nawet gdy szeptał, miał bardzo charakterystyczny głos. Zerkał właśnie do biura. Biały T-shirt, niewątpliwie rozmiar XXL, opinał mu wszystkie zakrzywienia i wgłębienia klatki piersiowej. Weszłam do biura, mocno zaciekawiona. Brian nie był typem podglądacza.

- Co jest?

Nie odpowiedział. Schylił głowę i rozejrzał się podejrzliwie, niczym aktor w filmie szpiegowskim trzeciej kategorii.

- Co jest? - potworzyłam, lekko poirytowanym tonem.

- Muszę ci coś powiedzieć.

- Co jest? - Powtórzyłam po raz trzeci. Widać było mi to pisane. - No mów - zachęciłam.

- Chodzi o Fliss.

Nie chciałam powtarzać „co” po raz czwarty, więc zatrzepotałam tylko bezradnie rękami. Brian dostrzegł moje zniecierpliwienie i postanowił uchylić rąbka tajemnicy.

- Chce z tobą rozmawiać.

- O czym? - wycedziłam. Tylko efektowna postura umożliwiała Brianowi funkcjonowanie w społeczeństwie. W przeciwnym razie ktoś, kto zadałby mu najbardziej niewinne pytanie, typu „Która godzina?”, złapałby go potem za uszy i, w akcie desperacji, walnął głową o ścianę, bo nie uzyskałby niczego na kształt odpowiedzi. I rzeczywiście. W kwestii tematu ewentualnej rozmowy z Fliss, Brian zachował się jak wyrocznia delfijska po godzinach pracy. Jego masywna budowa usprawiedliwiała całkowicie to mityczne porównanie. Niemniej jednak wykonywałam, że mogę złapać Fliss na targu.

- Czy to pilne? Sądysz, że powinnam się zaraz z nią zobaczyć? - spytałam. Tego dnia akurat nie miałam zajęć.

Brian przytaknął gorliwie. Podziękowałam mu za informację, bardziej zaciekawiona, niż zaniepokojona.

Na pewno martwiłabym się bardziej, gdybym wiedziała, że Brian zaczyna mnie śledzić.

* * *

Był weekend i w Camden wrzało jak w ulu. Przed wejściem na targowisko, które przybrało nazwę jarmarku staroci, choć sprzedawało się tam więcej części samochodowych niż antyków, stał naganiacz w pełnym rynsztunku, w trójgraniastym kapeluszu na głowie, wymachujący ogromnym dzwonkiem i wykrzykujący: „Oyez, oyez”. Najprawdopodobniej chciał w ten sposób przekonać potencjalnych klientów o autentyczności antyków. Niewątpliwie osiągnąłby lepszy efekt, gdyby w ręce wolnej od dzwonka nie trzymał hot doga i nie zajadał go z apetytem pomiędzy tradycyjnymi zawołaniami.

Przecisnęłam się wolno przez tłum. Minęła mnie para gotów, najlepiej ucharakteryzowanych, jakich miałam okazję widzieć od niepamiętnych czasów - oboje straszliwie wychudzeni, ubrani w czarne, obszerne płaszcze i buty na wysokich obcasach, mężczyzna w wysokim czarnym kapeluszu, kobieta z piórami boa owiniętymi wokół szyi. Karnację mieli tak bladą, jakby już byli martwi. I może rzeczywiście nie żyli. W Camden wszystko jest możliwe. Zwykle spotykałam tam też całe cztery małych szlajających się po kątach, czyhających na przystankach. Udawali, że są nastolatkami ze Stanów - mieli obowiązkowo tłuste włosy, czapki baseballowe, różne części ubrania przepasywane jak popadło na różnych częściach ciała i buty z płótna z rozwiązanymi sznurowadłami. Ten ostatni szczegół wydawał mi się zawsze szczególnie kretyński - żyłam w nadziei, że wreszcie któryś z nich potknie się o sznurowadło i przewróci.

Kiedy szłam pod łukiem wiaduktu, w nozdrza uderzył mnie zapach mocno przyprawionego smażonego jedzenia i zaburczało mi w brzuchu. Może później skuszę się na samosę. Kramik, przy którym zaplatano warkoczyki prosperował wspaniale; grupka chichoczących Francuzek stała w kolejce po kolorowe sznurki do włosów. A trzeba przyznać, że włosy miały piękne, lśniące i zadbane. Na kontynencie dzieciaki myją włosy o wiele częściej. Nawet fryzury Francuzów wyglądały tak, jakby chłopcy regularnie używali odżywk i starannie ją spłukiwali.

Fliss obsługiwała właśnie klienta, więc zaczekałam, aż skończy. Był to jeden z tych, którzy macają wszystko, pytają o cenę, nawet jeśli przy towarze jest metka, a potem odchodzą, niczego nie kupując, bez słowa podziękowania.

- Fliss? - rzuciłam pytająco. Rozejrzała się i popatrzyła na mnie ze zdziwieniem. Na jej twarzy malowała się czujność, której nigdy wcześniej nie dostrzegłam. Zakołysała się na obcasach, zaczęła kciuki o kieszenie dżinsów i otaksowała mnie wzrokiem. W lśniacej, czarnej kurtce, z ogoloną głową, z daleka wyglądała jak skin.

- O, cześć Sam - powiedziała bez entuzjazmu.

Uniosłam pytająco brwi.

- Brian twierdził, że chcesz ze mną rozmawiać - zaczęłam. - Przynajmniej tak go zrozumiałam. Znasz przecież Briana.

- No. - Przez chwilę odnosiłam wrażenie, że Fliss zamierza na tym poprzestać. Potem jednak wyjęła mały grzebyk z kieszeni dżinsów, przejechała nim po włosach, włożyła z powrotem na miejsce i powiedziała wolno, tak jakby podejmowała tę decyzję z ogromnym trudem:

- Andy, miej oko na interes. Muszę pogadać z Sam.

Zdziwiłam się. Nie zauważyłam Andy'ego, chłopaka Fliss. Popatrzyłam w kierunku, w którym mówiła i rzeczywiście zobaczyłam Andy'ego, zasłoniętego od pasa w dół artystycznie ułożonym stosem walizek Fliss. Nietrudno jednak było przeoczyć Andy'ego; szczególnie w porównaniu z Fliss wydawał się kruchym stworzeniem. Widać zdążył się już pogodzić z tym

stanem rzeczy, bo nie wydawał się urażony - przeciwnie, pokazał zęby w uroczym uśmiechu i odrzucił głowę do tyłu. W jego jasnych lokach błysnęło słońce. Kurtka, rozpięta pod szyją, odsłaniała obojczyk, filigranowy niczym figurka ze starej kości słoniowej. Fliss uśmiechnęła się do niego czule.

- Cześć, Sam - powiedział.

- Cześć, Andy - odparłam z miną winowajczyni. - Przepraszam, że cię nie zauważyłam.

Fliss i ja przesunęliśmy się w zacisze ściany osłaniającej stoisko. Fliss przyjęła swoją zwyczajną męską pozę - jedna noga zgięta w kolanie, stopa oparła o ścianę. Ręce skrzyżowane na piersi. Wyglądała odpychająco, wręcz groźnie. Nie wiedziałam, co powiedzieć, sądziłam, że to Fliss ma mi coś do zakomunikowania. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu poczułam się nagle jak młodszy oficer, który musi przesłuchać starego generała.

W końcu Fliss przemówiła.

- Brian mówił, o co biega?

- Nie powiedział nic, poza tym, że chcesz ze mną rozmawiać. - Zaakcentowałam drugą część zdania.

- Hm - mruknęła Fliss niczym stary generał. - No dobra. Brian uważał, że powinnam ci o tym powiedzieć. Zresztą moim zdaniem nie powinien się wcinać.

Uśmiechnęłam się grzecznie i czekałam.

- Tego popołudnia, kiedy zginęła Linda, trochę się pokłóciłyśmy.

- O co?

- Przyszła do siłowni z tym swoim klipbordem - powiedziała Fliss, wymawiając słowo „klipbord” z najwyższą pogardą. - Robiła notatki, mruzczała coś pod nosem. Aż w końcu zapytałam, o co jej chodzi. Burknęła, że o racjonalizację. - Fliss popatrzyła mi prosto w oczy. - Rozumiesz, cięcia budżetowe. Cholerny idiotyzm. Nie było na czym oszczędzać, a ona dobrze o tym wiedziała. No to mówię: „Skoro chcesz prywatyzować, dlaczego nie powiesz wprost?”. Papierosa?

Pokręciłam odmownie głową. Fliss wyjęła z kieszeni tytoń i bibułki i zaczęła robić skręta jedną ręką tak fachowo, że patrzyłam na nią z podziwem. Musiała ćwiczyć godzinami przed telewizorem, oglądając westerny. Mogę się założyć, że Andy był pod wrażeniem.

- W każdym razie - ciągnęła, osłaniając papierosa dłońmi i zapalając go doświadczonym gestem eksperta - Linda powiedziała, że oskarżam ją o tchórzostwo, a ja jej na to, żeby nie owijała w bawełnę.

Paliła, zaciągając się krótko i głęboko, oczy zwęziły się jej w szparki. Patrzyła gdzieś w dal.

- Wszystko się pochrzało. Linda zaczęła mnie wyzywać. Nie jestem znów taka wrażliwa, było mi wszystko jedno. Ale potem zabrała się do Andy'ego. Obrażała go. - Fliss

zaciśnięła zęby. - Kazałam jej przestać. Krótko mówiąc, zagroziłam, że jeżeli sama nie zamknie gęby, to ja jej w tym pomogę.

Popatrzyłam na nią uważnie.

- Brian cię słyszał? Dlatego uznał, że powinnaś ze mną pogadać?

Skinęła głową.

- Powiedział, że jeżeli ja ci nie powiem, to on sam to zrobi. Chociaż jak już mówiłam, to nie jego sprawa.

- Ale jak to się stało, że was usłyszał? Myślałam, że w siłowni gra muzyka. Słyszałam ją wyraźnie, kiedy schodziłam na dół.

Fliss zaciągnęła się skrzemem po raz ostatni i przydeptała peta obcasem.

- Taśmy, nie radio - wyjaśniła w telegraficznym skrócie. Chodziło jej o to, że wieża nie była nastawiona na Kiss FM, tak jak zwykle, ale zamiast tego włączali kasety. Pomiedzy końcem jednej a początkiem drugiej zapadała chwila ciszy, więc nawet jeśli ktoś nie podsłuchiwał z rozmysłem, to do jego uszu musiało dotrzeć wszystko, co się działo obok. Ta rozmowa też.

- Nawet nie załapałam, że skończyła się muzyka - powiedziała Fliss. - Nigdy zresztą nie zauważam, bo mocno się koncentruję. A wtedy już krzyczałyśmy. Brian mógł nas z łatwością usłyszeć.

- A słyszał, jak Linda wychodziła z siłowni? - Nie potrafiłam delikatnie zapytać, czy Linda wyszła stamtąd o własnych siłach, czy trzeba było ją wynieść. Jeśli jednak Brian słyszałby odgłos padającego ciała, a potem Fliss wynoszącą trupa do toalety, to chyba jednak by o tym wspomniał.

Fliss rzuciła mi przeciągłe spojrzenie.

- Musisz go sama zapytać.

- To nic osobistego, Fliss. Zrozum.

Przytaknęła gwałtownie głową.

- W takim razie to by było na tyle.

Odwróciła się do stoiska na znak, że definitywnie zakończyła rozmowę. Andy usiłował właśnie namówić klientkę, żeby oprócz zabytkowego lustra nabyła też pasujący do niego komplet szczotek.

Skierowałam ostrożnie swoje kroki w stronę budki z fast foodem, gdzie kupiłam samosę owiniętą w serwetkę. Stałam przez chwilę w miejscu, dmuchając na samosę, żeby ją ostudzić. Ku memu wielkiemu zdziwieniu przed oczami wyrósł mi nagle Brian. Stał przy kramie naprzeciw, częściowo schowany za wieszakiem z T-shirtami ozdobionymi szkieletem na samym przedzie. Nie wyglądał jednak zupełnie jak ktoś, kto chce nabyć taki T-shirt. Najwyraźniej się tam zaczął. Zauważyłam, że ma zawstydzoną minę.

- Brian? - spytałam, wciąż jeszcze nie zdenerwowana. Zrobiłam krok w stronę jego kryjówki i zajrzałam za wieszak. - Co tu robisz?

Spuścił głowę i mruknął coś w charakterystyczny dla siebie sposób.

- No? - nacierałam.

- Wszystko w porządku? - spytał nieśmiało.

- Oczywiście - odparłam z roztargnieniem. - O co ci chodzi?

Wzruszył ramionami, na których najwyraźniej dźwigał jakiś ogromny ciężar. Wciąż dzielił nas wieszak z dzinsami i Brian zupełnie nie zamierzał zza niego wyjść. Mruknął coś jeszcze, czego już nie dosłyszałam.

Zdałam sobie jednak sprawę z tego, że Brian musiał za mną iść aż z siłowni, zerknęłam na kramik Fliss i odkryłam, że ze swej kryjówki mógł obserwować wszystko, co się tam działo, choć oczywiście nie słyszał rozmowy. Świetnie się tam zadekował - gdybym nie zatrzymała się na chwilę przy kramie na wprost, na pewno bym go tam nie zauważyła.

Ta myśl wprawiała mnie w niepokój. Cofnęłam się o kilka kroków i rozejrzałam niespokojnie, szukając wzrokiem innych przechodniów. Brian wydawał się rozumieć, o czym myślę, bo zrobił krok naprzód i omal nie przewrócił wieszaka z dzinsami.

- Nie, nie - szepnął, wyraźnie zdenerwowany.

Popatrzyłam na niego pytająco.

Tuż obok usłyszałam rozgniewany głos sprzedawcy dzinsów:

- Nie wolno jeść przy wieszakach z ubraniami. Ślepa?

- Przepraszam - odparłam, cofając się o krok. Popatrzyłam na samosę, z której kapał tłuszcz, plamiąc serwetkę. Gdy znów podniosłam wzrok, Briana już przy mnie nie było - dostrzegłam tylko jego plecy znikające w oddali.

Zwinęłam serwetkę i chciałam ją wyrzucić, ale z trzech najbliższych koszy śmieci wysypywały się już na chodnik. Bardzo wolno, z serwetką w dłoni, poszłam w stronę siłowni. Czułam się fatalnie. Świadomość, że śledził mnie Brian nie była pocieszająca. Miałam do czynienia z ogromnym, silnym facetem, z pięściami jak młoty. A przecież nawet nie musiałby robić z nich użytku. Wystarczyłoby w zupełności, żeby przetoczył się po mnie jak walec po asfalcie i po prostu mnie rozpląszczył.

Kompletnie wytrącona z równowagi, omal nie wpadłam na Jeffa przechodzącego na drugą stronę.

- Boże - jęknęłam. - Ta siłownia to prawdziwa *Marie Celeste*. Cała załoga przechadza się po targu.

- Wyszedłem tylko na chwilę po kanapkę - odparł tonem człowieka, który czuje, że musi się wytłumaczyć. - Wracasz tam?

- Hm.

- Ja też. - Zrównał ze mną krok. - Co tu robisz?

- Rozmawiałam z Fliss - odparłam z roztargnieniem.

Jeff podjął temat.

- Fliss - prychnął. - Jeśli o mnie chodzi, to uważam, że naprawdę wyszła obronną ręką z tej całej kabały.

- Chodzi ci o kłótnię z Lindą?

- Kłóciły się? - Był wyraźnie zdziwiony. - Nie wiedziałem. Tak czy inaczej, sprawa nie była nowa.

Zgubiłam wątek.

- Jaka sprawa? Pomysł z prywatyzacją wypłynął dopiero w zeszłym tygodniu.

- Nie o to chodzi. - Jeff był świetnie poinformowany, co napawało go najwyraźniej nieskrywaną dumą. - Linda leciała na Andy'ego. Nie wiedziałaś?

- Daj spokój - powiedziałam lekceważąco. - Przecież to bzdura.

Jeff zrobił urażoną minę.

- Właśnie, że prawda. Chciała, żeby Derek był o nią zazdrosny. Spytaj Rachel. Już ona coś o tym wie.

- Żartujesz.

- Nie, mówię ci. Rachel widziała na własne oczy, jak Linda flirtuje z Andym. Fliss dostała szału.

Pokręciłam głową. Już nie wiedziałam, w co mam wierzyć. Doszliśmy do siłowni.

- To prawda - upierał się Jeff. - Zapytaj Rachel.

- Zapiszę to sobie, żeby nie zapomnieć.

Kiedy zamknęły się za nami drzwi do siłowni, podjęłam nagłą decyzję: za wszelką cenę nie mogłam się tam znaleźć sam na sam z kimkolwiek. Powiedzenie „bezpieczeństwo w tłumie” utkwilo mi w głowie i rozgościło się tam na dobre.

20.

Było jeszcze dość wcześnie jak na Freedom Arms, które rozkręcało się dopiero koło dziewiątej. A jak już się rozkręciło, nie chciało przestać, ale to inna sprawa. Tom zostawił mi wiadomość na sekretarce - chciał się ze mną spotkać o siódmej i aby nie zawieść starego przyjaciela, zjawiłam się tam posłusznie, chociaż tak naprawdę miałam ochotę posiedzieć spokojnie przed telewizorem i przemyśleć wydarzenia całego dnia.

Przyszłam wcześniej, zupełnie przez przypadek, i znalazłam spokojny kącik, gdzie mogłam sobie posiedzieć przy kuflu Guinness. Nie wyobrażałam sobie, żeby akurat tutaj zamówić cokolwiek innego. Za mną wisiała fotografia Oscara Wilde'a, po prawej miałam Jamesa Joyce'a i Constance Markiewicz w sukni i fryzurze tak pięknej i wyszukanej, że moja ulubiona spódniczka mini i T-shirt, jakie wybrałam na to spotkanie, wprawiły mnie w zażenowanie. Narzuciłam wprawdzie także fioletowy zamszowy żakiet, który dodawał mi nieco elegancji, ale niemniej odnosiłam wrażenie, że Constance na pewno patrzyłaby na mnie krytycznym wzrokiem.

Tego wieczoru na kominku nie buzował ogień - było to najwyraźniej zarezerwowane dla zimowych miesięcy. Mimo to ogień, nawet sztuczny na pewno pasowałby świetnie do drewnianej podłogi i swojsko pobrudzonych ścian. W tym pubie nachodziła mnie zawsze chęć, żeby pojechać do Dublina - tam roiło się wręcz od takich pubów, które nigdy się nie zamykały - obcy ludzie podchodzili, żeby zamienić z tobą parę słów, potem zapraszali cię na do swoich stolików; Guinness płynęło niczym Liffey, a Bono pisał o tobie piosenki.

- Cześć, Sammy? Zamówić ci drugie?

Niechętnie oderwałam myśli od Dublina. Może nie powinnam tam jechać - pewnie przeżyłabym rozczarowanie. Skinęłam głową. Tom wrócił szybko z drinkami i usadowił się obok. Stolik stał we wnęce, między dwoma długimi ławami. Tom rozejrzał się z aprobatą. W drugiej części pubu, tuż obok pianina usadowiła się grupa studentów. Wydawali głośne, ochryple dźwięki, pasujące raczej do spotkania maklerów, ale poza tym było względnie spokojnie.

- Skąd to zaproszenie, Tom? - spytałam. - To znaczy, widzieliśmy się przecież wczoraj. Odczuwasz potrzebę towarzystwa bardziej niż kiedykolwiek?

Tom wychylił małe Guinness jednym haustem. Pochodzi z Irlandii i w grupie innych Irlandczyków mocno ten fakt podkreśla. Miałam nadzieję, że dziś wieczorem do tego nie dojdzie - mówił wtedy akcentem, który doprowadza mnie do szału.

- Właściwie dla twojego dobra - odparł. Był najwyraźniej zadowolony z siebie. Miał na sobie jeden ze swoich wełnianych, niebieskich swetrów - kupił chyba dwa czy trzy naraz i nosił je na zmianę. Nie sądzę, by przez ostatni tydzień, gdy ich nie widziałam, suszyły się po praniu - leżały gdzieś po prostu bezużytecznie, bo gdy pojawiły się znowu były tak samo poplamione jak zawsze.

- Umówiłem się z takim jednym, że wpadnie tu na drinka.

- Z kim? Chyba nie zamierzasz mi nikogo naraić?

- On nie jest w twoim typie - odparł twardo Tom. - Spotkałem go za moich labourzystowskich czasów. Pomyślałem, że będziesz chciała z nim pogadać. Jest - dodał z miną iluzjonisty wyciągającego królika z kapelusza - nowym socjalistą. Chyba mógłby ci coś opowiedzieć o tym debilu Jeffie.

Uniosłam z aprobatą brwi. Nad stolikiem zamajaczył cień.

- Cześć, Tom - powiedział ktoś nosowym głosem, typowym dla nowego socjalisty. - Jak leci, stary?

- Cześć, Pegg - odparł grzecznie Tom. - Pegg, to jest Sam. Przyniosę drinki.

- Kufel lagera - odparł pewnie Pegg, skinąwszy mi głową. Usiadł naprzeciwko. Chyba nie słyszał rozmowy, jaką odbyliśmy, zanim się zjawił, bo Tom na szczęście mówił cicho.

Pegg był wysoki i wychudzony, jak większość lewaków, co jest dość dziwne, bo lewicowcy spożywają ogromne ilości smażonego jedzenia.

Cera - blada i krostowata - od razy zresztą nasuwała takie podejrzenie. Pegg miał charakterystyczną łysinę na czubku głowy; reszta rzadkich włosów opadała na uszy. Kosmyki na czole zachowały kasztanowaty kolor, jakby na wspomnienie dawnej świetności, choć odcień imbirowego brązu był tak okropny, że nie widziałam powodu, by rozpaczać nad utraconymi pozostałościami fryzury z młodych lat swojego rozmówcy.

Roztaczał wokół siebie zapach stęchlizny - efekt dawno nie mytych włosów i nie pranego ubrania, który świadczy nieodmiennie o tym, że przebywasz w towarzystwie kogoś o mocno lewicowych poglądach. Nawet ci, którzy nie mieszkają w ruderach bez bieżącej wody, co mogłoby stanowić jakiegokolwiek usprawiedliwienie takiego stanu rzeczy, traktują ową woń jako symbol przynależności. Czarne džinsy były wyraźnie znoszone i poplamione, a nieodłączna kurtka z kapturem zwisała z grzbietu Pegga, jakby zakotwiczyła na jego ciele wyłącznie dzięki wystającym kościom.

Tom przyniósł kolejne drinki i kilka paczek chrupek. Pegg rzucił się na jedną z nich, rozerwał na całej długości i pożarł zawartość tak szybko, jakby nie jadł od tygodni.

- Tom twierdzi, że byłeś nowym socjalistą - powiedziałam, uznawszy, że Pegg nie należy do ludzi, których trzeba najpierw rozmiękczyć rozmową o błahostkach, aby dopiero potem przejść do rzeczy.

- Zgadza się. - Bezwstydnie wsypał sobie okruszki chrupek do ust. - Ale oni po prostu chcą stworzyć własną hegemonię. Po jakimś czasie to do mnie dotarło. Teraz jestem anarcho-syndykalistą.

- Ach, tak - powiedziałam z zainteresowaniem, ale natychmiast sobie przypomniałam, że mam się skupić na nowym socjalizmie. Zmusiłam się zatem do podjęcia tematu. - Więc ten nowy socjalizm ma już swoje wypracowane struktury.

Spojrzał na mnie z ukosa.

- Chcesz wstąpić?

Pokręciłam głową.

- Tak tylko pytam.

- Nie radzę. Szczególnie kobiecie.

- Dlaczego? - spytał Tom.

- Bo to pieprzona, seksistowska partia - powiedział poważnie. - Mają takie poziomy, rozumiecie. Jak w karate. Ćwiczyliście kiedyś karate?

- Dany? Kolory pasów i tak dalej?

- Coś w tym rodzaju. - Pegg znów zwrócił się do mnie? Jest ich siedem, nie? Znaczących poziomów. Kobiety nie mogą wyjść poza trzeci. Taka jest zasada. A nie-robotnicy poza piąty. Mają swój dom w Peekham. Otoczony drutem kolczastym i musisz się dostać na szósty albo siódmy stopień, żeby tam wejść.

- Co oni tam właściwie robią? - spytał sarkastycznie Tom. - Planują powstanie zbrojne?

- Niby skąd mam wiedzieć? - Pegg wydawał się rozdrażniony brakiem tej informacji; pozycja eksperta najwyraźniej mu schlebiała. - Pewnie się zabawiają. To po prostu kolejny klub, taki jak ten dla bogaczy i prezenterów telewizyjnych w Pall Mall. Tam też kobietom wstęp wzbroniony. Takie samo gówno jak wszystko, tylko w innym kolorze.

Wypił piwo i zabrał się do drugiej paczki chrupek.

- Czarnoskórych też tam nie zobaczysz. Nie wiem tylko, czy ich nie przyjmują, czy zwyczajnie nie mają chętnych.

- Tak więc są to głównie biali robotnicy, którzy chcą upiec własną pieczeń przy jednym ogniu?

- Mniej więcej, ale wcale mnie to nie bawi. Paru z nas chce przejąć budynek komunalny w okolicach New Cross. Ludzie w różnym wieku, różnej rasy. Handel raczej wymienny, jak najmniej obrotu pieniędzmi.

- Może by wam było lepiej na wsi - zasugerowałam. - Tam łatwiej wprowadzić taki system. W niektórych wioskach już się udało. Mają własną walutę i jeżeli dla kogoś

pracujesz, zarabiasz określoną kwotę, którą potem możesz zapłacić za jedzenie albo coś innego.

- Naprawdę? - Pegg wydawał się zainteresowany.

- Wiesz może gdzie?

Pokręciłam głową.

- Słyszałam o tym od faceta z New Age. Mogę ci podać jego numer telefonu.

- Świetnie - powiedział entuzjastycznie Pegg.

Dokończyłam Guinness.

- Teraz ja stawiam - oświadczyłam, wstając.

- Nie, ja pójdę - Pegg zebrał ze stolika puste szklanki.

- To samo?

Pokłusował do baru. Tom uniósł kciuki w górę.

- Świetnie ci idzie. - Nigdy nie słyszałam, żeby powiedział tyle naraz i to składnie.

Zwykle wygłasza tylko jakieś bombastyczne komunały.

Pod nieobecność Pegga zjadłam kilka chrupek. Wcześniej nie chciałam mu przerywać konsumpcyjnego szau.

- Przejdę teraz do Jeffa - powiedziałam z pełną buzią. - Czuję, że jestem na fuli.

Kiedy Pegg usadowił się na krześle i postawił przed sobą piwo, powiedziałam niewinnie:

- Znam kogoś, kto jest nowym socjalistą, właściwie to on nawet pracuje w tej samej siłowni, co ja. Ale jest w porządku, jeżeli chodzi o feminizm i te inne sprawy. Inny niż mówiłeś.

- Jak się nazywa? - spytał natychmiast Pegg, przyjmując wyzwanie. Nie ma nic bardziej jadowitego niż nienawiść między frakcjami lewaków. Zawsze w takich sytuacjach przypominam sobie „Życie Briana” Monthy Pytona i tę scenę, w której Brian szuka ludzi należących do Żydowskiego Frontu Narodowego i kiedy wreszcie sędzi, że ich znalazł, następuje konfrontacja. Okazuje się wtedy, że nie rozmawia z przedstawicielami Żydowskiego Frontu Narodowego, tylko Narodowego Frontu Żydów, a członek Żydowskiego Frontu Narodowego siedzi na schodach o kilka stopni wyżej i łypie na Briana złym okiem. Z kolei frakcje prawicowe nie angażują się tak bardzo w tego typu wyszukane polemiki, ale raczej podkładają bomby pod swoje siedziby.

- Jeff Roberts - powiedziałam, czując się jak ktoś, kto wyrwał zawleczkę z granatu i czeka na eksplozję. Wybuch oczywiście nastąpił.

- Jeff Roberts? - prychnął Pegg z niedowierzaniem. - Ja to pieprzę! Miałem z nim wspólną celę. - Pomyślałam, że chyba źle go zrozumiałam, ale na razie nie chciałam podejmować tematu.

- Żaden z niego feminista - ciągnął Pegg pogardliwie. - Myśli tylko, że na ten cały feminizm będzie podrywał dziewczyny. Przepraszam. Kobiety. - To dokładnie potwierdzało moją opinię o Jeffie, ale miło ją było usłyszeć z ust osoby trzeciej.

- Ale wcale tak nie jest. To znaczy nie podrywa - dodał złośliwie. - Jeff pochodzi z klasy średniej, skończył uniwersytet i jak wielu takich łebków zaczyna mówić robotniczym akcentem. Tacy nawet udają, że się wychowali w południowym Londynie.

- Pewnie musiał naśladować taki akcent, żeby zostać przyjętym przez nowych socjalistów - zasugerowałam łagodnie.

- Nikogo nie nabierze i dobrze o tym wie - prychnął Pegg. - Może wrzeszczeć głośniejsz od innych i sprzedawać gazetki na demonstracjach, ale i tak pozostanie kawałkiem gówna z klasy średniej. - Upił łyk piwa. - Wybaczcie, nie mam nic przeciwko ludziom ze średniej klasy, jeżeli tylko nie wciskają mi kitu. Wkurzają mnie gnojki, które udają solidarność z robotnikami.

Pomyślałam o wielu znajomych z akademii, którzy porzucili swój wykwintny akcent i całe trzy lata mówili językiem ulicy. Przynajmniej Baby, mimo swych licznych wad, nigdy się tak daleko nie posunęła. Ona jednak była zbyt gruboskórna; do głowy by jej nawet nie przyszło, że musi się jakoś zmienić. Poprzestała na imieniu - od jej kuzyna Tima dowiedziałam się kiedyś, że naprawdę nazywała się Eleonora. Bardzo mnie to ubawiło.

- Co miałeś na myśli mówiąc, że miałeś z Jeffem wspólną celę? - spytałam z zaciekawieniem. - Socjaliści grupują was w celach, tak żebyście nie mieli okazji poznać nikogo poza współlokatorem? To już zakrawa na terroryzm.

Pegg wybuchnął śmiechem.

- Nie - odparł, z trudem łapiąc oddech. Nie, oni nie stosują takich metod. Wolą wielkie zbiegowiska z szynchami na trybunach. Pieprzony socjalizm, co? Nie, mnie i Jeffa wsadzili razem do kicia po jednej z takich nowosocjalistycznych demonstracji. Myślałem, że dostanę szafu. To była jedna z takich żółtych cel, naprawdę jaskrawych, aż biła w oczy, a w środku tylko my, ja i Jeff, który nawijał bez końca. Omal nie zastosowałem wobec niego jego własnych metod.

Popatrzył na moją zdziwioną minę.

- Nie wiesz, o co mi chodzi, prawda? Jeff uderzył kogoś po głowie wielkim plakatem z dykty. Dlatego go zamknęli. A mnie, za to samo, co zawsze - znieważenie policjanta. Ale na demonstracji byli też jacyś marksiści i Jeff wdał się w gadkę-szmatkę z jednym z nich, wiesz, na temat drugiego tomu „Kapitału” Marksa czy czegoś tam jeszcze. Sam tego nie znam. - Urwał na chwilę, upił łyk piwa i patrzył, jakie wrażenie udało się mu na nas wyrzucić. A my czekaliśmy niecierpliwie na każde jego słowo.

- Tak czy inaczej Jeff naprawdę się wkurzył i walnął tamtego po głowie. Facet dostał wstrząsu mózgu, ale policjanci i tak go zamknęli. Faszystowskie świny - dodał natychmiast. Trudno mu się było wyzbyć nawyków z czasów nowych socjalistów.

Popatrzyłam na Toma, który aż otworzył usta ze zdziwienia.

- A on w końcu wyzdrowiał? - spytał Tom.

- Kto? - nie zrozumiał Pegg. Aha, ten marksista, którego walnął Jeff. Tak. Jest w porządku. Jak na marksistę. - Zjadł jeszcze kilka chrupek. - Jeff to zadymiarz, zgoda, ale nie przesadzajmy, nie morderca.

21.

- Nie wiem, co robić - powiedziała bezradnie Janey. - Gospodarz twierdzi, że zrobił, co mógł. Używał trzech rodzajów trucizn, ale one jakoś na nią nie reagują. Gdyby mieszkanie nie było takie ładne, na pewno bym się przeprowadziła.

- Widać ich układy trawienne mogą znieść wszystko. Pomyśl, co one jedzą na ulicach.

Janey westchnęła i wstała. Była bardzo ładna, urodą osiemnastowiecznej nimfy. Pulchna, delikatna, i biała jak welwetowa poduszka z wytartą apreturą. Oczy miała duże, a ręce, układające teraz talerze po kolacji w zgrabny stosik, niemal okrągłe, z krótkimi malutkimi paluszkami.

- Mogę ci pomóc? - spytałam.

- Nie, wszystko idzie do zmywarki.

- W takim razie pójdę do toalety.

- Świetnie - powiedziała Janey z zadziwiającym zadowoleniem w głosie. - Są teraz na miejscu. Zobaczysz, o co mi chodzi.

Ledwo usiadłam na sedesie, usłyszałam szum piór i tupot nóg, a następnie coraz głośniejsze gruchanie. Występ, na którym rezydowały gołębie, był w zasadzie przeznaczony do osłony kraty wentylacyjnej nad umywalką. Teraz oczywiście kratka była prawie całkowicie zatkana. Ta mała nisza, o powierzchni kilkudziesięciu centymetrów kwadratowych, stała się popularnym miejscem wypoczynku dla kolonii ptaków mieszkających w okolicy. Ptaszyska latały ponad dachami sąsiednich domów, potem stawały na rynnie upozowane niczym porcelanowe figurki i znów startowały do lotu.

Kiedy wychodziłam z toalety, przelatywały z jednego okna na drugie. W małym saloniku Janey, obwieszonym tkaninami z brokatu, unosił się bogaty, tak bardzo upragniony aromat kawy. Janey popatrzyła na mnie ponuro pytającym wzrokiem.

- Tak, są tam?

- Boże! Znowu narobią i rano znajdę te czarne, rozmazane gówienka na całej ścianie. Czasem mi się wydaje, że celują prosto w moją szczoteczkę do zębów. I od niepamiętnych czasów siadają na parapecie. Uchylam okno dosłownie na milimetr. A gospodarz nie chce zasłonić kratki. Mówi, że to wbrew przepisom sanitarnym.

Opadła na krzesło. Zaczynałam czuć się winna za sprowokowanie tematu.

- Wspaniała kolacja - powiedziałam, próbując odwrócić jej uwagę od gołębi. - Szkoda, że nie umiem tak gotować.

- Umiesz. Tyle że nie zawracasz sobie tym głowy - odparła twardo. Jej wygląd, wszystkie zwiewne apaszki, naszyjniki i warstwy haftowanych ubrań w zestawieniu z jej niezwykłą urodą tworzyły parawan, za którym krył się skutecznie silny charakter Janey. Oczywiście wyłącznie przed tymi, którzy nie znali jej dobrze. Tak naprawdę była ambitną redaktorką telewizyjną, odnoszącą ogromne sukcesy, ale wyglądała na nauczycielkę garncarstwa w prywatnej szkole dla dziewcząt, w której kochały się zarówno uczennice, jak i niektórzy z rodziców.

Nalała kawę.

- Jedzą i pieprzą się przez cały dzień. Nic poza tym - powiedziała, wracając nieuchronnie do gołębi. - I srają mi po ścianach. Małe dranie.

- Ach, to ten zwyczajny seks tak cię wytrąca z równowagi - powiedziałam. - Mogę się założyć, że gdyby to była kolonia gołębic-lesbijek uprawiających wolną miłość, na pewno okazałybyś im więcej serca.

Janey nie zniżyła się do odpowiedzi. Uniosła tylko brwi i poprawiła jeden z licznych pierścionków na palcach.

- Jak tam Helen?

- Rzuciła mnie dla kogoś z produkcji. Flądra.

- Jest aktorką, prawda?

Janey przytaknęła.

- I zawsze czeka na swoją wielką szansę. Kurt był bardziej użyteczny.

- Kurt to niewątpliwie jednoznacznie męskie imię, o ile się nie mylę.

Zaśmiała się krótko.

- Helen przespałaby się nawet z sitkiem do herbaty, gdyby dzięki temu mogła dostać rolę w serialu telewizyjnym. - Skrzywiła się. - Nie mówmy o mnie, dobrze? Te gołębie i nieudany romans... pogadajmy lepiej o tobie. Opowiedz, co słyhać. Muszę się trochę rozerwać.

- Tak się dziwnie składa - powiedziałam filuternie - że mogę ci dostarczyć rozrywki.

Przez godzinę składałam Janey relację z wydarzeń minionych kilku tygodni. Niczego przed nią nie ukrywałam. Była świetną słuchaczką, od czasu do czasu, gdy czegoś dokładnie nie rozumiała, zadawała mi pytanie. W końcu zaczerpnęła głęboki oddech.

- To wszystko jest stanowczo zbyt skomplikowane. Gdybym dostała taki scenariusz, porosiłabym, żeby wycięli parę wydarzeń. Tych najmniej prawdopodobnych.

Choć nie dostrzegłam tego od razu, była to najbardziej inteligentna uwaga, jaką ktokolwiek dotychczas wygłosił na temat całej tej sprawy.

- Wydaje mi się, że najbardziej prawdopodobnym sprawcą jest Jeff - ciągnęła. - Miał zresztą skłonności do przemocy.

Przytaknęłam.

- Ale z drugiej strony, Jeff dał przecież alibi mnie i Rachel, a przecież wcale nie musiał tego robić. Do Rachel zawsze czuł słabość. Ale dlaczego chronił mnie?

- Rzeczywiście, rozumiem. Zznał, że widział Lindę, bo tak chyba miała na imię zamordowana, w korytarzu potem, jak Rachel poszła już na górę na zajęcia. Tak?

- Masz świetną pamięć - powiedziałam z uznaniem.

- I nie ma co do tego żadnych wątpliwości? Nie mógł jej wziąć za kogoś innego?

- Absolutnie nie. Nikt nie wygląda tak jak Linda, no może z wyjątkiem Lesley, ale ona się ubiera i rusza zupełnie inaczej. Trudno by je było pomylić.

Urwałam. Poczułam, że serce staje mi w gardle. Miałam gonitwę myśli, fakty, których dotąd nie łączyłam układały się w logiczną całość, w kompletny wzór, wyjaśniający wszystko, dokładnie wszystko, co się wydarzyło.

Janey nie odrywała ode mnie wzroku.

- Co się stało, Sam? - spytała nagle. - Wyglądasz, jakby ktoś przeszedł po twoim własnym grobie.

* * *

Musiałam przedyskutować wnioski, do których doszłam z kimś bardziej zaangażowanym w sprawę niż Janey, a szczęśliwym zbiegiem okoliczności następnego dnia byłam już umówiona z Rachel. Zupełnie odwrotnie niż zwykle, ona tym razem przyszła wcześniej, a ja się spóźniłam. Kiedy weszłam do środka, siedziała już przy naszym stoliku pod oknem i czytała gazetę, obstawiona z obu stron torbami pełnymi sprawunków.

Uniosła żartobliwie brwi, udając zagniewanie.

- O której to się przychodzi? Mogłam obejść Sainsbury'ego jeszcze raz!

- Przepraszam. - Zamówiłam herbatę rumiankową, zaczekałam chwilę przy ladzie i zaniósłam dzbanek do stolika. Siadając, powiedziałam bez zbędnych wstępów.

- Chyba wiem, kto zabił Lindę.

- Co? - Rachel otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia. - Żartujesz!

Pokręciłam wolno głową.

- A wiesz, co mi pomogło? Okropny gust Lesley.

- Nie rozumiem. - Rachel była najwyraźniej kompletnie zagubiona. Wychyliła się do przodu, patrząc na mnie pytająco.

- Wracamy do Jeffa - powiedziałam. - Twierdził, że widział Lindę, całą i zdrową, na korytarzu. Był tego absolutnie pewny, bo najpierw wziął ją za Lesley, a dopiero potem, gdy odwróciła głowę, dojrzał kątem oka fragment jej twarzy. Jeff przesolił. Nikomu nie przyszło do głowy, że Jeff mógłby pomylić Lindę, kobietę mojego wzrostu, zawsze ubraną w coś ciemnego, z Lesley, niską, której najciemniejsza kiecka może być co najwyżej jasnoróżowa.

Tak, obie były blondynkami, ale to jedyne podobieństwo. Zresztą Linda upinała włosy, a Lesley ma krótką puszystą fryzurkę.

Rachel spijała mi dosłownie z ust każde słowo.

- Wtedy pomyślałam o Janice. Wiesz, o kim mówię, Janice jest wzrostu Lindy i można by je było pomylić, nawet jeśli się rozróżnia francuski warkocz od zwykłego upięcia. Ilekroć widziałam Janice, miała na sobie coś czarnego. Jeff mógł ją z łatwością wziąć za Lindę. Ale wtedy powiedziałby po prostu, że widział Lindę. Nie wspominałby wcale o tej pomyłce z Lesley. Przecież, jak się nad tym dobrze zastanowisz, to absurdalne.

Sięgnęłam po papierosa Rachel. Poczułam nagle, że mam ochotę zapalić.

- Mogę?

- Jasne. Mów. Zamieniam się w słuch.

Zapaliłam.

- Poza tym, wczoraj jadłam kolację z moją przyjaciółką, Janey. Zajmuje się scenariuszami i ma świetnego nosa do wszelkich opowieści. Kiedy jej to wszystko opowiedziałam, stwierdziła, że za dużo tu komplikacji. I dodała, że gdyby to był scenariusz, kazałaby natychmiast wyciąć najmniej prawdopodobne fragmenty, i wtedy zadałam sobie pytanie, co tu właściwie jest najmniej prawdopodobne. Odpowiedź okazała się łatwa. Jeff powiedział, że Linda podrywała dla zabawy Andy'ego, a Fliss strasznie się o to wściekała. Nie uwierzyłam mu wtedy i nie wierzę teraz.

- Zaraz. W dalszym ciągu nie wiem, kogo zobaczył Jeff - przerwała Rachel.

Zaciągnęłam się papierosem i skrzywiłam. Smakował obrzydliwie. Z trudem mogłam uwierzyć, że ludzie robią takie rzeczy dla przyjemności.

- Myślę, że nikogo - powiedziałam. Popatrzyłam na herbatę, która tymczasem stygła. Jakoś straciłam na nią ochotę. - On to wszystko wymyślił. A potem, indagowany przez policję, czy to na pewno była Linda, przesadził, opowiadając o Lesley. Lepiej by zrobił, zachowując najprostszą wersję.

Rachel sączyła herbatę, nie spuszczając ze mnie wzroku.

- I wtedy zadałam sobie pytanie: Po co Jeff miałby to wszystko wymyślać? Nie dla własnych korzyści, bo gdyby zabił Lindę, na pewno chciałby rozszerzyć maksymalnie krąg podejrzanych. Jedyna odpowiedź brzmi tak, że on jest niewinny, ale chciał pomóc mordercy. A jego kłamstwo pomogło wyłącznie tobie, Rachel.

Na tle bladej twarzy oczy Rachel wydawały się jeszcze większe. Patrzyła na mnie bez mrugnięcia powieką.

- Ale ty nie miałaś motywu - ciągnęłam. - Ten pomysł o morderstwie, popełnionym by uniemożliwić Lindzie prywatyzację, zawsze wydawał mi się mało wiarygodny. A w przeciwieństwie do Jeffa, ty się nie dajesz łatwo wyprowadzić z równowagi. Bo widzisz, ja nie wierzę, że ta zbrodnia została zaplanowana. Nikt, a już na pewno nikt tak inteligentny jak ty, nie zaplanowałby zabicia kogokolwiek w równie niebezpieczny sposób. Wiedziałaś, że

wszyscy pracujący na dole mieliby alibi, więc od razu stałoby się jasne, kto zabił. Nie, działałaś pod wpływem impulsu. A jedyna rzecz, która mogłaby cię doprowadzić do stanu, w którym byłabyś gotowa zabić Lindę to motyw, który już wielokrotnie krążył po siłowni. Konkretnie Derek.

Rachel odstawiła filiżankę. W dalszym ciągu milczała.

- Kiedy po raz pierwszy rozmawiałam z Janice, powiedziała coś, co zupełnie nie grało. Tyle, że ja wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy. Janice wspomniała, że Derek miał romans z Lindą na długo przedtem zanim spotkała go Janice. A skoro ich syn ma sześć lat, musiało to mieć miejsce co najmniej sześć lat temu. A Linda, według Fliss, zjawiła się w siłowni dwa czy trzy lata temu, więc jedyną kobietą, z którą romansował Derek w czasie, gdy poznał Janice mogłaś być ty, Rachel. I to byłaś ty, prawda? Pracujesz w siłowni od dawna. Mogę się założyć, że to właśnie Derek jest tym twoim żonatym kochankiem, o którym mi mówiłaś. Powinnam była wcześniej skojarzyć to z faktem, że Derek miał inne romanse. Poza tym tylko instruktorka mogła wiedzieć wystarczająco dużo, żeby donieść na Lesley do Stowarzyszenia Ochrony Praw Autorskich. Derek domyślił się, że to ty i kazał ci się od niej odwalić. Ale Lesley nie miała o niczym pojęcia i wyżyła się na Lindzie, która kazała jej tylko dla odmiany zacząć myśleć, ale nie wyjaśniła szczegółów. I na całe szczęście, bo Lesley i tak by się w tym wszystkim pogubiła. Nic dziwnego, że Linda wiedziała o tobie i Dereku. W końcu romansowałaś z nim przez cały czas od wielu lat. Derek odszedł od Janice do Lindy, potem z powrotem do Janice, mając też oczywiście wiele kochanek na boku, ale wy dwie byłyście na stałe, prawda?

Nastąpiła długa chwila ciszy. Przez chwilę mi się wydawało, że Rachel już się nie odezwie i na chwilę ogarnęło mnie przerażenie. A jeśli to wszystko, co właśnie opowiedziałam, to tylko strumień absurdalnych pomysłów nie mających żadnego związku z rzeczywistością? A potem, spokojna jak przez cały ten czas, powiedziała nagle:

- Nigdy nie wywierałam na niego żadnej presji, nigdy. Byłam zbyt dumna. Miałam nadzieję, że odejdzie od Janice z własnej woli, ale on tego nie zrobił. Potem zjawiła się Linda. Wbiła w niego szpony i dopóty uprzykrzała mu życie, dopóki nie opuścił dla niej Janice. Mnie nie byłoby na to stać, nie potrafiłabym tak bezwstydnie na niego naciskać. Uważałam, że musi to zrobić z własnej woli. Jak Linda mogła być szczęśliwa, wiedząc, że Derek wybrał właśnie ją, bo to ona krzyczała najgłośniejsze?

Natychmiast przypomniały mi się słowa, jakich Janice użyła w rozmowie ze mną. Ale Janice odrobiła lekcje dopiero za drugim podejściem; rozumiała, że jeśli pragnie Dereka, a bardzo go pragnęła, to nie istnieje żaden inny sposób, by go zatrzymać. W ten sposób starła na proch nie tylko Lesley, pozbyła się również Rachel, nawet o tym nie wiedząc.

- Nie chciałaś jej zabić - bardziej stwierdziłam niż zapytałam.

- Oczywiście, że nie. - Zadrzała, jakby ta chwila stanęła jej znów przed oczami. Zmarszczyła czoło, wychyliła się do mnie, wyraźnie pragnąc, żebym zrozumiała, jak to się

wszystko odbyło. - Wiesz, jak ona się czasem zachowywała. Dosłownie pluła jadem z wściekłości. Wtedy weszła do damskiej toalety i na mój widok czara się chyba przelała. Jak się okazało, właśnie przyłapała Dereka i tę małą kurewkę, Naomi, w męskiej przebieralni. Powtarzała bez końca: „A więc on tu robi takie rzeczy! Prawie na moich oczach! W mojej siłowni!”

Znowu zadrżała.

- Tak, jak się domyśliłaś, Linda wiedziała o mnie i Dereku. Wcale się jej to wszystko nie podobało, ale wolała się nie wtrącać. Wiedziała, że spotykamy się od lat i z pewnością rozpoczęła już jakieś dyskretne działania, żeby ze mną skończył. Najpierw jednak musiała być pewna, że Derek przestanie się puszczać. Dlatego kiedy przyłapała go z Naomi, musiał to być dla niej cios.

Popatrzyła na mnie rozszerzonymi oczyma, tak jakby chciała mnie przekonać do swojego punktu widzenia, tak żebym pojęła, co zrobiła.

- Widzisz, ja rozumiem Dereka. Dorastaliśmy obok siebie, chodziliśmy do tej samej szkoły i tak dalej. Pewnie dlatego on zawsze uważał, że za dobrze go znam, wiedziałam, kim jest, skąd pochodzi. Miał zawsze powodzenie u kobiet, nawet jako mały chłopiec. Matkę i siostry owijał sobie wokół palca. Z braku ojca, stał się jedynym mężczyzną w rodzinie. Mógł z nimi zrobić co chciał i świetnie zdawał sobie z tego sprawę. Aby go zatrzymać, wystarczyło czekać i pozwolić mu być sobą. Właśnie w ten sposób postępowałam i zawsze do mnie wracał.

Zacisnęła usta.

- Ale kiedy Linda zaczęła się na mnie wyzywać, kompletnie straciłam głowę. Powiedziała mi, że jestem głupia, bo na niego czekam. Zapytała, czy naprawdę nie widzę, że on woli białe kobiety, blondynki? Tracę tylko czas i niezależnie od wszystkiego pozostanę na zawsze ochłapem na boku. I tak dalej. O wiele, wiele, gorzej. Przecież wiesz, jaka on była. Mówiła wszystko, co tylko przyszło jej do głowy, byle cię zranić. Wtedy jednak zupełnie o tym nie myślałam - chciałam tylko, żeby się zamknęła. Wrzeszczałam, żeby przestała, ale ona nacierała na mnie jak czołg. Przyniosła ze sobą hantle i położyła je na półce, przy umywalni. Stała tuż obok mnie i wygrażała mi palcem przed nosem. Kiedy jednak nazwała mnie głupią, czarną suką, miałam dość. Chwyciłam hantle i walnęłam ją w twarz. - Przerwała na chwilę. - Zapadła cudowna cisza.

Patrzyłam tylko na nią, brukowało mi słów.

- Jeff widział, jak idę na górę. Musiałam mieć dziwną minę. Chciałam pochylić głowę, ale on patrzył prosto na mnie i byłam pewna, że mnie widział. Na schodach zatrzymałam się na chwilę, żeby się uspokoić i na górze miałam już wszystko pod kontrolą. Ale kiedy Jeff usłyszał, co się stało, wiedział od razu, że to ja zabiłam Lindę. Zresztą skłamałam dla mnie nie tylko ten jeden raz. Linda zabrała hantle z biura wcześniej. Jeff powiedział, że chciała spytać Dereka, po co je tam zaniósł, bo według niej są w porządku. I dlatego szukała Dereka w

męskiej przebieralni. Ale jak zobaczyła, co się tam wyprawia, zrezygnowała. Poszła dalej przed siebie, z hantlami w ręku. Ironia losu, co? Gdyby ich nie zabrała, pewnie rozkwaślibym jej tylko nos i nic wielkiego by się nie stało.

- Skoro Jeff tak ryzykował, czuje do ciebie więcej niż słabość.

- On mnie kocha - powiedziała cicho Rachel. - A przynajmniej tak to nazywa. Oświadczył mi, oczywiście ubrał to w słowa, że będzie powtarzał do skutku swoją wersję policji, jeżeli pójdę z nim do łóżka.

Nagle zaczęło mi się wydawać, że to jest właściwie najgorsze w całej sytuacji.

- Powtarzał - powiedziałam - więc pewnie musisz to zrobić.

Skinęła głową.

- A jak inaczej?

Zrobiło mi się niedobrze. Przypomniało mi się, jak tydzień czy dwa wcześniej natknęłam się na Jeffa, wychodząc z siłowni. Wydawał się wtedy zdziwiony i zażenowany moim widokiem. Rachel wyjaśniła, że omawiali petycję, ale wyglądała na zmęczoną i zdenerwowaną. Tak jak teraz.

- Jak to znosisz?

- Tylko mi nie praw morałów. Decyzja należy do mnie.

- Powiniście byli lepiej opracować wersję - powiedziałam, z trudem rozpoznając swój własny głos. - Weźmy bodaj tę absurdalną historyjkę Jeffa o Andym i Lindzie. Jeff wiedział, że tego nie kupuje, więc wciągnął ciebie w całą aferę. Twierdził, że widziałaś, jak Linda flirtuje z Andym. To był błąd. A ty? Ty wysłałaś mnie do biura Lou, żebym znalazła te ukryte drzwi. Dopiero później zrozumiałam, że to dziwne miejsce jak na tegoroczne faktury. Powinny stać na górze, w chronologicznym porządku, a były upchnięte niżej, przy klamce. Tak, żeby nie udało mi się ich przeoczyć. Chyba próbowałaś rzucić podejrzenie na każdego, kto się tylko nawinął. Wiedziałaś, że Lou poszła do biura zapalić w czasie, gdy zginęła Linda, czy po prostu dopisało ci szczęście?

Rachel wzruszyła ramionami.

- Wpadała tam często na papierosa. Warto było spróbować. Nie sądziłam, że zaczniesz podejrzewać Lou. Chciałam tylko na chwilę zniknąć z pola widzenia.

- I nawet ci się udało, dopóki sobie nie przypomniałam, że policja zdążyła już sprawdzić alarm. Lou mogła go wyłączyć, ale nie miała sposobności, aby ponownie uruchomić system - byłaś przecież na sali, z kursantami. Więc zaczęłam się zastanawiać, kto poddawał mi zawsze najbardziej nieprawdopodobne pomysły. I doszłam do wniosku, że byłaś to zawsze ty albo Jeff.

Milczała. Zgasila papierosa i zmieniała temat.

- A co zamierzasz zrobić w sprawie Dereka teraz, kiedy siedzi w areszcie?

- To jego problem, nie mój - odparła, patrząc na mnie kamiennym wzrokiem. - Widziałam, jak przyszła po niego Janice, widziałam, jak odgrywali szczęśliwą rodzinę. I on

mnie też zobaczył. Ale jego spojrzenie było martwe. Patrzył, jak przez szybę. Pieprzony hipokryta. Najpierw się przeraziłam, że go aresztują, a teraz mam to gdzieś. Jakoś sobie poradzi. Tkwimy w tym razem po uszy.

- Ale on chroni ciebie, nie rozumiesz? Dlatego odmawia zeznań. Nie chodzi mu o Naomi, tylko o ciebie. Wiedział, że to ty zabiłaś Lindę, czy tylko się domyślił?

- Domyślił się. Ale ja mu nic nie mówiłam. Nie ma dowodu. Ale wie.

- Jest kiepskim kłamcą - powiedziałam. - Woli trzymać buzię na kłódkę i zapewniać tylko o swojej niewinności. Mogą go skazać. Przecież widać, że coś ukrywa.

Rachel popatrzyła mi prosto w oczy. Miała zaciśnięte szczęki.

- To on mnie do tego doprowadził. Zbyt wiele obietnic, zbyt wiele kłamstw, o które nawet nie prosiłam.

- Gdybyś o niego walczyła, pewnie to wszystko wcale by się nie wydarzyło. Wystarczyło, że podjęłabyś walkę z Janice, a na pewno by z tobą został. To wszystko narastało całe lata i ktoś w końcu musiał...

- Nigdy by ze mną nie został. - Każde z tych słów było żrące jak kwas. - Z prostego powodu: nigdy ze mną nie był. Zawsze trzymał mnie w cieniu. - Odsunęła krzesło. - Przykro mi, że domyśliłaś się prawdy, Sam. Naprawdę cię lubiłam. I nadal lubię. - Przerwała na chwilę. - Chciałabym, żebyś zrozumiała mój punkt widzenia - dodała miękko. - Nie rozumiesz, przez co przeszłam, jak cierpiałam?

Wbijała we mnie wzrok, czekała na jakiegokolwiek oznaki współczucia. Kiedy stało się jasne, że nie zamierzam odpowiedzieć, wyraźnie się rozłościła?

- To, że odkryłaś prawdę, niczego nie zmienia - warknęła. - Lepiej, żeby to było jasne.

- Co masz na myśli? - spytałam, czując, że przeszywa mnie chłód.

Wzruszyła ramionami.

- Nie masz dowodu - powiedziała. - Jeff nie wycofa swojej bajeczki. Szaleje za mną. Jak już mówiłam, Derek musi sobie radzić sam.

Wstała i tak po prostu, upiornie, zwyczajnym gestem wzięła torby z zakupami. Panowała nad sobą do tego stopnia, że nie zapomniała o takim drobiazgu. Wyglądała tak bezlitośnie, jak anioł śmierci naszych czasów, tyle że bardziej przerażająco, może przez te torby. Codziennosc budzi największy strach - na moich oczach twarz mojej przyjaciółki zmieniła się w mściwą maskę, za którą zginął na zawsze ktoś, kogo lubiłam, ktoś pożarty przez własne najgorsze uczucia.

Przypominałam sobie tę chwilę, gdy myślałam, że Lou chce mnie zabić dokładnie tak, jak zginęła Linda, przypominałam sobie jak bardzo bałam się odwrócić. A lękałam się nie tyle narzędzia ewentualnej zbrodni, ile wyrazu twarzy osoby, która zada mi cios. Przez Rachel cierpiałam podwójnie. Ta dobrze znana mi twarz stała się nagle twarzą morderczyni. Morderczyni, która nawet nie żałowała popełnionej zbrodni. Nie powinnam była odczuwać takiego bólu po straconej przyjaźni. Niemniej jednak ten ból odczuwałam. Naprawdę mocno.

Patrzyłam, jak Rachel wychodzi z kawiarni. Sprawa wydawała się beznadziejna.
Rozwiązałam zagadkę i zabrnęłam w ślepią uliczkę.

A Derek pozostawał w areszcie.

22.

Co do reszty wydarzeń dnia, to zamazały mi się trochę, gdyż po powrocie do domu wyjęłam z zamrażalnika mocno schłodzoną wódkę i szybko pozbawiłam ją nakrętki. Było kilka telefonów, ale włączyłam automatyczną sekretarkę i telewizor stereofoniczny na pełny regulator, więc nie słyszałam ani słowa. Zresztą wcale się o to tak bardzo nie starałam. Nie byłam szczególnie życzliwie usposobiona do ludzi.

Około dziesiątej w przypiływie nagłego głodu i chandry zadzwoniłam po pizzę. Gdyby Ray Milland ze „Straconego weekendu” po wypiciu połowy trzeciej butelki whisky uznał, że to czego mu trzeba to pizza z czterema serami, czosnkiem i kukurydzą, na pewno nie wybełkotałby w słuchawkę swojego zamówienia w lepszym stylu. Niemniej jednak, gdy czterdzieści minut później zadzwonił dzwonek, zapomniałam o pizzy i otworzyłam z impetem drzwi, wściekła, że ktoś zakłóca mi oglądanie nocnego sitcomu, a potem zrobiłam okropną awanturę kurierowi, przez co musiałam mu dać potem podwójny napiwek.

Jako osoba przeżywająca tak bolesne rozterki egzystencjalne, powinnam była oczywiście z godnością odepchnąć od siebie ogromne pudło z pizzą w środku, z którego unosił się niezwykle aromat - dlaczego, u licha, zamówiłam dodatkowy czosnek? Oczywiście, rozerwałam pokrywkę i pochłonięłam pizzę z szybkością błyskawicy, nie zadając sobie nawet trudu, by przeżuć ją dokładnie przed połknięciem. Z przykrością muszę dodać, że nie umyłam zębów przed pójściem spać. Jednak, biorąc pod uwagę fakt, że właściwie wcale się nie kładłam, ale po prostu usnęłam na kanapie, mogę znaleźć coś na swoje usprawiedliwienie.

Obudziłam się, co było nietrudne do przewidzenia, o piątej rano, ogromnie spragniona i, ziejąc czosnkiem niczym smok ogniem, otworzyłam usta, by wlać w nie trochę wody. Opadłam na sofę i zacisnęłam usta, żeby nie udusić się we śnie, po czym znów zapadłam w sen. Niestety. Nie zadałam sobie trudu, by przybrać pozycję, pozwalającą stawić czoło znanym wybrykom mojej kanapy, w wyniku czego rano odkryłam na policzku okrągły odcisk jednej ze sprężyn, która już od dawna próbowała się wydostać na wolność.

Najlepiej nie komentować stanu, w jakim znalazłam się rano - wystarczy nadmienić, że moja ucieczka od rzeczywistości została uwieńczona sukcesem. Poprzedniego wieczoru próbowałam uniknąć myślenia o czymkolwiek, a rano stać mnie było jedynie na przepłukanie ust - musiałam zatrzeć wrażenie, że wdarły się tam podstępnie dwie główki czosnku, a

następnie dokonały tam żywota. Oczywiście zażyłam solpadeinę. Gdybym była wierząca, na pewno czciłabym właśnie Świętą Solpadeinę, królową migren, świętą od tych okropnych, pulsujących bólów głowy. W każdej kapsułce znajdowała się niewątpliwie kropla jej błogosławionej krwi.

Po pewnym czasie postanowiłam się ubrać i uczesać, żeby poprawić sobie samopoczucie. Na szczęście po wielkim niedzielnym sprzątanu mieszkanie prezentowało się w miarę schludnie, więc przynajmniej nie popadłam w jeszcze głębszą depresję z powodu faktu, jaki to ze mnie flejtuch i prymityw. Potem znów położyłam się na kanapie i starałam się leżeć bez ruchu. Pomogło, przynajmniej odrobinę. Czas włókł się niemiłosiernie.

O drugiej po południu zadzwonił dzwonek u drzwi. Byłam niemal całkiem pewna, że tym razem nie zamawiałam pizzy, ale czułam się lepiej i głód zaczynał dawać mi się we znaki, więc przyłożyłam oko do wizjera. Natychmiast tego pożałowałam.

Na schodach stali: Felice Bortshe, Duggie Sutton oraz państwo Ashley, dokładnie w takiej kolejności, jakby ustalili wcześniej pewien schemat poczynąń. Błysnął mi w głowie pomysł, że najlepiej będzie, jeśli wrócę na sofę i poleżę tam cichutko, dopóki nie odejdą, ale Felice patrzyła w wizjer z taką miną, jakby wiedziała, że stoję za drzwiami. Zniekształcenie obrazu w soczewce powodowało wrażenie, że patrzy mi prosto w oczy, więc - osłabiona i niezdolna do walki - nie potrafiłam się jej przeciwstawić. Posłusznie otworzyłam drzwi.

Zalali korytarz niczym wzburzona fala - Felice, rzecz jasna, wiodła prym. Zachowywała się niczym antropolog oprowadzający grupę zwiedzających po skansenie fascynującego, choć prymitywnego plemienia.

- Sam, kochanie, więc dostałaś moją wiadomość? - wykrzyknęła, chwytając mnie za rękę i całując w policzki. Zapach jej perfum owiał mnie szczerze i osiadł na moim ciele. Pomyślałam, że będę musiała się wykąpać.

- Cudownie! Betty, Jim, wchodźcie do środka! Czyż nie jest dokładnie tak, jak wam mówiłam?

Zrobiła charakterystyczny gest ręką. Najwyraźniej miała na myśli mieszkanie, nie rzeźbę.

- A Sam śpi na antresoli, o tam, widzicie drabinę? To takie nowojorskie, prawda?

- Interesujące sąsiedztwo - odezwała się Jim Ashley. - To więzienie, i w ogóle.

- Widocznie jechaliście przez Holloway - powiedziałam. - A pan opanował angielskie niedomówienia.

Uśmiechnął się. Przynajmniej tak mi się wydawało, bo tak naprawdę rozluźnił nieco zacisk dolnej szczęki, a w kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki. Jim Ashley uosabiał moje wyobrażenie o tym, jak prezentują się silni, milczący bohaterowie romansów, gdy zaczynają się już zbliżać do emerytury. Betty stanowiła zapewne jego damskie uzupełnienie.

- Ależ więzienie jest spory kawałek drogi stąd. Sam nie mieszka przecież pod więzieniem.

Uśmiechnęła się do mnie, sztucznie podciągnięta, wymalowana twarz kontrastowała z przyjaznym usposobieniem. Włosy miała natapirowane, podobnie jak na przyjęciu. Widać było wyraźnie, że nie ma ich wiele, jednak poszczególne pasma oddzielał jakiś superlakier, równie skuteczny jak klej. Zastanawiałam się, co ona z tym robi w nocy. Lakier wyglądał tak, jakby dawał się zmyć tylko jakimś rozpuszczalnikiem przemysłowym.

Poczułam się zobowiązana do gościnności.

- Napijcie się herbaty? - spytałam w nadziei, że uznają za stosowne odmówić. Byłam pewna, że podałam cały cukier sierzantowi.

Propozycję przyjęto entuzjastycznie. Felice, antropolog, klasnęła w ręce, jakbym właśnie wykonała jakąś niezwykłą sztuczkę i zwróciła się do Ashleyów:

- A nie mówiłam! Tradycja to tradycja! To ich narodowy napój. Kiedy wpadam do galerii, Duggie proponuje mi zawsze uprzejmie filiżankę herbaty! - Uśmiechnęła się do mnie olśniewająco. - Nie, serdeczne dzięki.

Ashleyowie również odmówili. Zerknęłam na Duggiego. Stał pod rzeźbą z głową lekko przekrzywioną na boki, był chyba ubrany identycznie jak wtedy na przyjęciu; nawet łańcuszek do zegarka miał ten sam. Najwyraźniej czuł się swobodnie w tweedowej marynarce i sztruksowych spodniach - Felice nazwałaby to niewątpliwie klasycznym angielskim ubiorem dżentelmena. Duggie najwyraźniej zwracał uwagę na jej słowa. Odnosiłam wrażenie, że taki właśnie mają sposób na życie.

- Rzecz! - powiedziała Felice, idąc za moim spojrzeniem. Zrobiła kilka kroczków w jej kierunku, ruchy ograniczała jej krótka, obcisła spódniczka. Za nią szła Betty Ashley, ale Jim pozostał na miejscu. Już dawno uznałam Jima za rozsądnego faceta stamtąd widział rzeźbę w całej okazałości i nie musiał nadwierać karku.

Jeszcze nie zamontowałam drutów podtrzymujących ekspozycję, ale i tak tego dnia nie wiało, więc nie mogłaby się ruszać. Duggie odsunął się kawałek i przymrużył oczy z miną znawcy. Nogawki jego sztruksowych spodni pocierały jedna o drugą - z jakiegoś niezrozumiałego powodu zacisnęłam zęby. Okropność. Rozglądałam się wokół bezradnie w poszukiwaniu pustej butelki po wódce; nie pamiętałam, czy wyrzuciłam ją do śmieci, czy też wciąż leży nieopodal kanapy, krzycząc „alkoholiczka”. Nie widziałam jej z miejsca, w którym stałam, ale nie chciałam się ruszyć i tym samym zwrócić na siebie uwagi.

Nagle omal nie zwała mnie z nóg fala zażenowania - czworo ludzi przyglądało się mojej rzeźbie w pełnej skupienia ciszy. Czułam się tak, jakbym to ja sama tam wisiała, tam na łańcuchu, naga, a oni wszyscy przyglądali mi się krytycznie. Jak te kandydatki na Miss Piękności radziły sobie z taką sytuacją?

Duggie zaczerpnął powietrza i wypuścił je z gwizdem przez zacisnięte zęby. Był to chyba jakiś sygnał dla Felice, która rzuciła mu przeciągłe spojrzenie i powiedziała do Betty:

- Mocne, prawda? Nazywa się Nieodkryta Planeta. Kocham to poczucie nieznanego. Czujesz to podniecenie towarzyszące każdemu odkryciu, coś takiego jak kometa wychynająca z bezgranicznej, czarnej przestrzeni, wirująca w próżni, oczekująca na znalezienie...

Mówiła jeszcze długo w podobnym stylu. Próbowałam jej nie słuchać, żeby nie wczłgać się ze wstydu pod kanapę. Może znalazłabym tam butelkę po wódce? Przez pomyłkę pochwytiłam spojrzenie Ashleya - spojrzenie absolutnie nieprzeniknione. Betty kiwała milcząco głową, wsłuchana w rapsodię Felice. Jej fryzura znosiła tego rodzaju wstrząsy bez żadnych problemów. Kasztanowata czupryna Felice wydawała się niewzruszona. Betty miała na sobie spodnie szyte na miarę i jedwabny sweter. Do tego beżowy płaszcz i lśniące, białe sportowe buty. Efekt był naprawdę schizofreniczny.

- Jim, kochanie - zawołała jego żona. - Podejdź tu i zobacz, dobrze?

Mąż podszedł pewnie do stolika i stanął nad szkicami Córki Rzeczy z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Duggie uśmiechnął się do mnie promiennie. Jim zachowywał się tak nienagannie, że trudno było odgadnąć, co naprawdę myśli.

- W jakim stadium znajdują się te szkice? - spytał. - Bliżej końca, czy początku?

Odchrząknęłam. Zapewne nadszedł moment, w którym powinnam była przyjąć pozę Felice, ale nie mogłam tego zrobić. Za żadne skarby świata.

- To się właściwie nie zmieni - odparłam bezradnie.

- Będzie tylko większe - dodałam, bo przypomniałam sobie właśnie, jak bardzo zachwyliły Felice rzeźby okazałych rozmiarów. - O wiele większe.

Duggie kiwał głową.

- Wspaniale, kochanie. Nie chcesz zbyt wiele zmieniać. Za dużo zamieszania. Czy mogę obejrzeć szkice, kochanie?

Bez ostrzeżenia podszedł do stolika i popatrzył przeciągle na rysunki, które Felice układała właśnie w porządkowy stosik. Dostrzegłam z przerażeniem, że pusta butelka po wódce leży pośrodku stołu, tuż obok miejsca gdzie stał. Duggie wyciągnął rękę i ustawił ją w pozycji pionowej. Pochwytiłam spojrzenie Jima Ashleya. Nie miałam złudzeń - uśmiechał się sardonicznie. Złośliwy typ.

- Dobrze - odezwała się Felice. Chyba zobaczyliśmy wszystko, co chcieliśmy zobaczyć, prawda? - Zwróciła się do Ashleyów.

- To naprawdę wspaniale odparła Betty. - I niezwykle. Choć sam Pan Bóg wie, gdzie to powiesić, jeśli się nie ma aż tyle miejsca, ile jest tutaj.

- Nie mówiłaś coś czasem o kolacji, Felice? - spytał nieoczekiwanie Jim. - Może Sam mogłaby do nas dołączyć i wtedy wszystko byśmy sobie omówili.

Felice rzuciła mi twarde spojrzenie. Odmowa nie wchodziła w grę. Odparłam, że z przyjemnością przyjdę i usłyszałam, że mam się stawić w L'Orange o ósmej. Zamrugałam powiekami. Czyżbym musiała coś wyprasować? Rozpływając się w uśmiechach, pozęglowali na korytarz. Duggie zatrzymał się na chwilę.

- Kochanie, myślę, że mogłabyś to sprzedać - powiedział. - Ale pewnie nie masz pojęcia, jakiej ceny żądać. To znaczy realnej ceny.

- Boże - szepnęłam, czując, jak ogarnia mnie panika.

Przewidział taką reakcję.

- Nie martw się, po to tu jestem. Powinniśmy pomówić o reprezentacji. Może wpadniesz jutro do galerii, tak koło dwunastej i przejrzymy papiery. Wiesz, gdzie to jest, prawda?

Skinęłam głową. Na nic więcej nie mogłam się zdobyć. Posłał mi całusa i podryfował do drzwi. - A więc do wieczora, kochanie.

Popatrzyłam za nimi ze zdumieniem. Potem znów się odwróciłam i zerknęłam na Rzec. Wydawało mi się niemożliwe, by ktokolwiek chciał to kupić. Ja zresztą tak wcale nie marzyłam o sprzedaży. Wiele razem przeszłyśmy i czułam się tak, jakbym miała prehandlować przyjaciółkę. Rzeźba kołysała się w powietrzu, potężna jak zwykle, ale tym razem zdecydowanie wroga. Tak ponuro nie wyglądała od chwili narodzin. I jakoś nie pragnęłam, by stała się Nieodkrytą Planetą Betty Ashley.

* * *

Wiedząc, że jeśli zostanę w domu, zacznę się zamartwiać, co włożyć do tak eleganckiej restauracji jak L'Orange, narzuciłam na siebie lamparci płaszcz i ruszyłam do siłowni. Nie wiedziałam, dlaczego. Może chciałam pogadać z Lou. Zorientować się w sytuacji.

Okazało się, że Lou jest na spotkaniu z zastępcą szefa ds. rozrywki i nie wróci wcześniej niż za parę godzin. Krążyłam niezdecydowanie po recepcji; nie byłam pewna, czy czekać na nią, czy nie.

- Spójrz tylko! - powiedziała nagle Lesley z tak szeroko otwartymi oczyma, jakby nagle dokonała ważnego odkrycia i podsunęła mi pod nos pismo kobiece. - Tu są fotografie Michaela Jacksona w wieku dziecięcym i fotografie zrobione niedawno. Przyznasz, że jest różnica! Na pewno przeszedł operację plastyczną i skórę też ma chyba jaśniejszą, jak sądzisz?

Popatrzyłam na nią zdumiona.

- To tylko gra świateł, Lesley - odparłam łagodnie. - Te halogeny czynią cuda.

Zmarszczyła brwi.

- Naprawdę? - spytała, pochylając się nad pismem. - Tutaj piszą, że Jackson ma nietypową karnację.

Otworzyły się drzwi i do środka wkroczyła kobieta w ciąży - brzuch wydymał się jej majestatycznie niczym żagiel na wietrze. Czesła się z przedziałkiem na środku głowy, z tyłu pyszniła się cała masa loków i warkoczyków. Mogłaby pełnić rolę wspaniałego galeona na eleganckim statku.

- Co mogę dla pani zrobić? - spytała Lesley, odkładając pismo.

Podobieństwo do galeona sprawiło, że kobieta miała omdlewające spojrzenie.

- Może mogłabym kupić bilet na stretching? - powiedziała kobieta, miazdząc Lesley wzrokiem.

- Stretching? - powtórzyła Lesley. Ze zmarszczonymi brwiami wpatrywała się w rozkład zajęć. - Niedługo ruszają dwie grupy - joga dla przyszłych matek i ta druga, stretching i kondycja.

- A jak pani myśli, do której grupy ja powinnam uczęszczać?

Nie wiedziała biedaczka, że dobór czasowników nie ma wpływu na Lesley, która popatrzyła na nią tylko bezmyślnymi, niebieskimi oczyma.

- Cena jest taka sama, chyba że ma pani zniżkę.

Z trudem wydrukowała bilet.

- Dzięki - odparł wyniośle galeon. - Czy może mi pani pomóc w czymś jeszcze? - spytała takim tonem, jakby nie wierzyła, że Lesley czy w ogóle ktokolwiek dokończył i zrozumiał lekturę „Krótkiej historii czasu”. Najwyraźniej uznając Lesley za osobę niekompetentną rzuciła mi przez ramię jednoznaczne spojrzenie.

- Chyba zabrałam to przypadkiem ostatnim razem, gdy tu byłam. Nie mam pojęcia, dlaczego. Jak widać nie miałabym szans, żeby się w to zmieścić? Czy mogłyby panie odnaleźć właścicielkę i oddać jej to z przeprosinami?

Rozpostarła nam swoje znalezisko przed oczyma. Był to sweter robiony na drutach, z golfem i szeroką wypustką na wysokości bioder.

- Och! - powiedziała Lesley... - To chyba sweter Rachel, nie sądzisz, Sam? Ona lubi czarne ciuchy też i...

Tymczasem odbierałam już czarny sweter od kobiety, obdarzając ją jednym ze swoich najbardziej czarujących uśmiechów.

- Dzięki wielkie - powiedziałam. - Wszędzie go szukałam. Co za zbieg okoliczności, że przyniosła go pani akurat teraz! Sądziłam, że zostawiłam go w poczekalni dla dzieci - dodałam na tyle naturalnie, na ile było mnie stać. - Pracowałam tam w zeszłym tygodniu. Tam go pani znalazła?

- Właściwie - powiedział galeon, marszcząc lekko brwi - nie mam pojęcia, jak to się stało. Nie pamiętam, żebym go pakowała. Znalazłam go na dnie torby i domyśliłam się, skąd pochodzi. Bardzo mi przykro. Pewnie bardzo się panie martwiły.

Uśmiechnęłam się wyrozumiale.

- Nie ma problemu - powiedziałam. - A nie pamięta pani przypadkiem, kiedy go pani zabrała. Pytam z czystej ciekawości.

- Ach, to chyba było wtedy, kiedy znaleziono tę martwą kobietę - powiedziała bez zastanowienia. - Od tego czasu nawet do was nie zaglądałam. - Poza tym nie jestem roztrzępana. Gdyby nie nadzwyczajne okoliczności, nie wyszłabym z siłowni z cudzą własnością w torbie.

Uśmiechnęła się jeszcze raz.

- Bardzo przepraszam - powtórzyła. - Nie wiem, dlaczego włożyłam go do torby. - Z pewnością jednak tak się musiało stać. I ma pani rację, musiałam znaleźć go w tej salce, bo poszłam prosto na zajęcia i nie wyszłam aż do dzwonka.

Trzymałam w ręku sweter równie ostrożnie, jakby to było dziecko, które nosiła w wystającym brzuchu. Rzuciłam na niego tylko dość powierzchowne spojrzenie, ale byłam pewna, że na przodzie widniały ślady krwi. Krwi Lindy.

- Nie musi pani przepraszać. Naprawdę - powiedziałam.

23.

W dużym pokoju ze świeżo umytą podłogą panował przeciąg. Pożałowałam, że nie wzięłam swetra i zadrżałam, bardziej z powodu natychmiastowego skojarzenia, niż z zimna. Pomarańczowe nowoczesne krzesło było twarde i niewygodne. Ekstrawagancy i kiepscy projektanci mają coś ze sobą wspólnego - ani jedni, ani drudzy nie potrafią wymyślić niczego, na czym siedziałoby się z prawdziwą przyjemnością.

Ale czy można wymagać wygody w więzieniu?

Otworzyły się drzwi - weszła, za nią strażniczka. Zupełnie inaczej ją sobie wyobrażałam; akurat ta była drobna i ładna. Rachel podeszła do mnie bez pośpiechu, strażniczka, profesjonalistka w każdym calu, nie spuszczała oczu z więźniarki. W świecie poza murami czas traktowano jak towar, tu najwyraźniej obowiązywały inne reguły gry.

Rachel usiadła naprzeciwko mnie. Strażniczka zaczęła grzecznie, aż przysunie sobie krzesło do stolika, a dopiero później odczytała jej prawa. Miała miły głos i prawie udało się jej nie zdradzić, że powtarzała tę formułkę już co najmniej sto razy. Następnie cofnęła się o parę kroków, skrzyżowała ręce na piersiach i znieruchomiła. Przypominała grecką nimfę, tę zamienioną w drzewo. Jak ona miała na imię? Prawda. Daphne.

Więzienne ubranie nie przyćmiło piękności Rachel. Włosy zaczesła do tyłu, w gruby warkocz, eksponując w ten sposób delikatne kości policzkowe. Wdzięku dodawał jej nawet sposób trzymania głowy, osadzonej na szyi, której nie zdołał zeszepecić brzydki kołnierz munduru. Wszyscy byli w niej z pewnością zakochani do szaleństwa.

Popatrzyła prosto na mnie. Poruszała tylko oczami. Ciało miała równie nieruchome, jak strażniczka. Wyraźnie czekała, żebym zaczęła mówić. W końcu to ja chciałam się z nią zobaczyć. Miałam nawet przygotowaną pewną przemowę, ale zabrakło mi słów. Było tak, jakby co inteligentniejsi rezydenci przebywający w tym miejscu wypracowali sobie pewną postawę, dzięki której mogli pokonać nudę, niekończący się kierat każdego nowego dnia, jakby znaleźli sposób, by odpechnąć wszystko na bok i żyć własnym życiem bez względu na to, co działo się wokół nich. Rachel znajdowała się znacznie dalej ode mnie niż stolik, który nas dzielił. Jak pod wpływem narkotyków wyobraziłam sobie nagle, że stolik odjeżdża na drugi koniec pokoju, a postać Rachel maleje w oddali, mimo że usłyszałam wyraźnie jej słowa.

- Przyszedłaś, bo chciałaś się poczuć choć trochę mniej winna, Sam - powiedziała. - No i jak? Udało się?

- Na razie nie. Ale nic na to nie poradzę.

- To już przeszłość. Dokonałaś wyboru.

Wychyliłam się do przodu.

- Zrobiłam, co musiałam - odparłam, a mój głos był równie niepewny jak ja sama. W tamtej chwili czułam do siebie tylko pogardę.

Pokręciła głową. Bardzo wolno. Siedziała tak nieruchomo, że nawet ten drobny gest wywarł na mnie ogromne wrażenie.

- Nieprawda. - Jej głos brzmiał tak obojętnie, jakbyśmy rozmawiały o ludziach, których ledwo znamy. - To nie była twoja sprawa.

- Sama mnie w to wplątałaś. Od samego początku.

- Mój związek z Derekiem nie miał żadnego związku z tobą.

- Przecież nie mogłam pozwolić, żeby niewinny człowiek został oskarżony o zbrodnię, której nie popełnił - zaprotestowałam. Słyszałam wyraźnie, jak w moich słowach dźwięczy zażenowanie. Brzmiały zupełnie jak cytaty z kiepskiej powieści kryminalnej.

- Przecież by go nie skazali - powiedziała Rachel i zacisnęła usta tak, jakby niczego poza tym nie żałowała.

Jej uroda dodawała naszej rozmowie niezwykłego charakteru, zupełnie jakby Rachel była aktorką, znacznie bardziej fotogeniczną od postaci, w którą się wcielała. Nie nosiła makijażu, a wyglądała tak, jakby została w ten sposób umalowana przez charakteryzatora.

- Jak możesz być tego tak pewna? - spytałam. Gniew przyniósł mi ulgę.

Wzruszyła ramionami.

- Więc naprawdę uważałaś, że Derek musi sobie poradzić sam? Nie zaczęłabyś mówić, nawet gdyby doszło do procesu? Gdyby zanosilo się na to, że go skazażą?

Wykrzywiła usta w smutnym uśmiechu.

- Nie poprawię ci samopoczucia, Sam. Nie odpowiem na to pytanie.

Zapadła chwila grobowej ciszy. Rachel - jak zwykle - trafiła w sedno sprawy. Nadal nie byłam pewna, czy postąpiłam właściwie. I co właściwie chciałam osiągnąć, przychodząc tutaj? Chciałam, żeby poklepała mnie po rękę i powiedziała, że nic się nie stało?

- To nie mnie powinno gryźć sumienie - odcięłam się, żeby jej nie zostało na wierzchu.

Odpowiedź wprawiła mnie w zdumienie.

- Nie wiem, o co ci chodzi - powiedziała słodko. - Ciemne oczy miała lekko rozszerzone ze zdziwienia. - Nie zrobiłam nic złego. Dobra, romansowałam z facetem, który miał już inną, ale przecież nie był nawet żonaty.

- O czym ty, u diabła, mówisz?

- Czyżbyś nie rozumiała? - Wyciągnęła ręce w geście wystudiowanej nonszalancji, nie tyle po to, żeby mnie zwieść, ale raczej by wyrzucić na mnie wrażenie swoim opanowaniem. - Nie zrobiłam nic złego.

Wpatrywałam się w nią bezmyślnie. Na chwilę zabrakło mi słów.

- Brytyjski system prawny reprezentuje chyba inny pogląd na ten temat - powiedziałam w końcu. - Sądziłam, że przyznałeś się do winy.

- Pod przymusem - odparła krótko.

- Nie bądź głupia, Rachel. Nie miałaś adwokata?

- Jeszcze wtedy nie.

- Zamierzasz zmienić zeznanie? - spytałam z niedowierzaniem.

Skinęła głową.

- Ale przyznam się do związku z Derekiem.

- Nie masz wyjścia. Lou o was wie - przypomniałam.

Zwężała oczy, ale mówiła dalej, tak jakbym się w ogóle nie odezwała.

- No jasne, jesteś taką kruchą, niewinną istotką. Cieszę się, że możesz na mnie wypróbować tę historyjkę - dodałam sarkastycznie. - A co z Jeffem? Myślałaś o tym? Sądziś, że skłamię dla ciebie pod przysięgą?

Zamiast odpowiedzi zrobiła rozbawioną minę. Usadowiła się wygodniej na krześle, krzyżując nogi.

- A te plamy krwi na swetrze? Na twoim swetrze? - naciskałam. - I kto włożył sweter do torby tamtej kobiety, jeśli nie ty?

W dalszym ciągu miała rozbawioną minę.

- Ktoś go włożył, żeby zasłonić ubranie, a potem po prostu się go pozbył.

- Sweter pasowałby od biedy tylko na Fliss albo Naomi, chociaż i tak ledwo, ledwo - zauważyłam. - Co za szkoda, że nie możesz w to wrobić Dereka.

Znów stała się tak odległa i obca, jak na początku naszej rozmowy.

- Chcesz jeszcze coś dodać? - spytała chłodno. - Bo mnie to już zaczyna męczyć. Mam dość przesłuchań.

- Nie, to wszystko.

Odsunęłam krzesło, które skrzypnęło przeraźliwie. Przez ostatnie dwadzieścia minut tak bardzo skupiałam się na brzydkim odrapanym stoliku i tej części Rachel, która znad niego wystawała, że widok strażniczki wprowadził mnie w zdumienie.

- Jest pani gotowa do wyjścia? - spytała miło.

Wstałam.

- Można by to tak określić - odparłam.

* * *

W tanich powieściach kryminalnych, kiedy ktoś wychodzi z więzienia, blask panujący na zewnątrz razi go w oczy. Tego ranka z przyjemnością doświadczyłabym tak często opisywanego stanu, ale niebo przybrało kolor szarej flaneli i wyrzucało z siebie strumienie deszczu z taką energią, jakby sprawiało mu to przyjemność.

Nie wzięłam parasolki. Ani samochodu. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego. Może nie chciałam prowadzić w takim stresie, chociaż nie wynaleziono chyba jeszcze testów, żeby to sprawdzić. Stałam na kamiennych stopniach, łypiąc ponuro na strugi deszczu. Rozważałam, czy nie lepiej by było przeczekać ulewę? Mogła jednak potrwać jeszcze co najmniej dwie godziny, a ja zupełnie nie miałam ochoty sterczeć pod więzieniem niczym były skazaniec nie całkiem jeszcze gotów na to, by sprostać wymaganiom normalnego świata.

Nagle tuż przede mną zatrzymał się samochód. Popatrzyłam na niego zazdrośnie. W środku musiało przynajmniej być sucho. Drzwiczki od strony pasażera otworzyły się, ale nikt nie wysiadł. A potem kierowca przechylił się przez siedzenie i zaczął nerwowo gestykulować. Popatrzyłam przez ramię. Nikt za mną nie stał.

- Wsiadasz, czy nie? - wrzasnął kierowca. Deszcz lał się strumieniami.

Nie chciałam, by pomyślał, że tęskniłam za jego towarzystwem, więc zesłam z godnością ze schodków, zamiast po prostu z nich zbiec, w wyniku czego zmokłam o wiele bardziej. Hawkins rzucił mi pogardliwe spojrzenie.

- Gdybym wiedział, że nie przeszkadza ci deszcz, nie proponowałbym podwiezienia - powiedział, wyjeżdżając z parkingu.

- Od początku zamierzałeś mnie podwieźć - odcięłam się. - Na pewno tu na mnie czekałeś. W końcu to ty chciałeś, żebym się z nią zobaczyła.

- Nie pochlebiaj sobie - warknął. - Dlaczego w taką pogodę nie wzięłaś samochodu?

- Więc zauważyłeś, że mojego auta nie ma na parkingu? Bardzo dobrze. A może nie wzięłam samochodu, bo wiedziałam, że po mnie przyjedziesz? Przyszło ci to do głowy?

Nie raczył odpowiedzieć. Objężdżał właśnie skomplikowane rondo. Prowadził bardzo dobrze.

- Masz ze sobą koguty? Robią tyle hałasu - spytałam, próbując wyżyć wodę z włosów.

- Nie bądź dziecinna. - Zaparkował tak szybko, że nie zdołałam się odciąć, a już wyłączył zapłon.

- Gdzie jesteśmy? Na komendzie?

Wyjrzałam przez okno. To nie był komisariat, chyba że zakamuflowany witryną pubu „The King’s Head and Artichoke”. Hawkins szybko wysiadł z samochodu. Wzięła mnie znów chętką na dowcip, ale nagle poczułam ogromne zmęczenie. Poszłam więc po prostu w milczeniu za Hawkinsem. Dopiero gdy zapytał, czego się napiję, poprosiłam o podwójną wódkę.

Popatrzył na mnie ostro.

- Dobrze się czujesz?

Wzruszyłam ramionami. Po co miałam odpowiadać?

- Od początku wiedziałem, że ta wizyta w więzieniu to nie najlepszy pomysł.

- Musiałam.

Podano drinki. Wychyliłam swój jednym haustem, czując na sobie wzrok Hawkinsa.

- Czy ten właśnie środek znieczulający wybierasz najczęściej? - spytał.

- Po whisky mam gorszego kaca - odparłam, patrząc znacząco na zawartość jego szklaneczki. Aby uciąć temat, Hawkins szybko dopił drinka.

- Chyba nie poszło najlepiej - mruknął.

- Nie lepiej niż można by sądzić.

Nie zamierzałam go informować, że Rachel zamierza wycofać zeznania. W stosownym czasie i tak musiał się o tym dowiedzieć. I choć tak naprawdę nie mogłam mu nic zarzucić, miałam wrażenie, że powiedziałam już dość. W ustach czułam gorycz, bynajmniej nie po wódce. Nigdy przedtem nie występowałam w roli kapusia i nieszczególnie lubiłam swoje nowe ja.

- Jeszcze raz to samo - powiedziałam do barmana, który krążył w pobliżu. Hawkins otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale barman już zabrał się do roboty. Uniosłam brwi ze zdziwienia.

- Oni cię tu znają? - spytałam z zaciekawieniem. - Jeszcze nigdy nie zostałam tak błyskawicznie obsłużona w porze lunchu.

- Paru z nas rzeczywiście dość często tu wpada - przyznał. - To niedaleko od komisariatu.

- Z tego wnioskuję, że Daphne nie jest twoją dziewczyną na stałe - powiedziałam złośliwie. - Bo gdyby było inaczej, to byś mnie tutaj nie przyprowadzał.

Na szczęście w tej samej chwili postawiono przed nami drinki, dzięki czemu przestałam wyładowywać swoją irytację na Hawkinsie. On nie był niczemu winien. Nie odpowiadał również za to, że wciąż mi się podobał, co wprawiało mnie we wściekłość.

- Wypijesz to w końcu, czy nie? - spytał przez zaciśnięte zęby. - Czy może wolisz tak stać w tej pelerynie ekshiba i się na mnie wyżywać?

- Może jedno i drugie? I to wcale nie jest peleryna ekshiba. Oni nie noszą czarnego PVC, nie chcą zwracać na siebie uwagi, zanim nie przystąpią do rzeczy.

Niemniej jednak podniosłam szklanekę do ust i zaczęłam pić. Moje myśli przypominały butelkę wódki w zamrażalniku; były chłodne, czyste i jasne. Alkohol nie wywierał na mnie wrażenia. Jeszcze nie. Piliśmy w ciszy. Hawkins zaczął od razu. Nie zniosłabym, gdyby ktoś zaczął mi współczująco tłumaczyć, że najlepiej się wygadać. On na szczęście rozumiał, co czuję, i wcale nie musiałam się odzywać.

Popatrzyłam na jego odbicie w lustrze za barem. Deszcz wygładził mu trochę włosy i było mu w tym do twarzy. Oczy miał niebieskie, usta zaciśnięte w linijkę, co chyba znaczyło, że jest na mnie wściekły. Świadczyła o tym również wysunięta szczęka. Miał na sobie jeden z tych płaszczy, które wyglądają śmiesznie na facetach zbyt niskiego wzrostu i mikrej budowy

ciała. On jednak należał do tego drugiego gatunku i dlatego okrycie eksponowało doskonale jego szerokie bary. Nagle zdałam sobie sprawę, jak dojrzałe wygląda. Miał dobrą pracę, całą masę odpowiedzialnych zadań, dziewczynę i pewnie hipotekę do spłacenia. A także bardzo niebieskie oczy. Zastanawiałam się, dlaczego, u licha, pije ze mną whisky w porze lunchu.

- Idziemy? - zapytał, przerywając te rozważania. Odstawił szklanę. Powtórzyłam ten gest; ręka nawet mi nie drgnęła. Zapłacił rachunek tak zdecydowanie, że nawet nie proponowałam podziału. Wyszliśmy i otworzył drzwiczki samochodu.

- Możesz prowadzić po dwóch podwójnych whisky? - spytałam, gdy wsiedliśmy.

- Z całą pewnością nie.

Z pubu do mojego domu było bardzo blisko.

- Dzięki za podwiezienie - powiedziałam, wysiadając. - Nie pogniewasz się, jeżeli polecę? Strasznie pada.

Nie chciałam słuchać, co ma do powiedzenia, zatrzasnęłam tylko drzwiczki i stanęłam na schodach, szukając w kieszeni kluczy. Bardzo, bardzo chciałam zostać sama, nawet gdyby nie miało mi to wcale wyjść na dobre. Otworzyłam trzeci zamek, pchnęłam drzwi i weszłam do środka, zatraskując je nogą. Ale one się nie zamknęły albo też nie słyszałam charakterystycznego szczęknięcia Yale. Odwróciłam się.

Hawkins stał w drzwiach, przytrzymując framugę swoim ogromnym łapskiem. Nasze oczy spotkały się. Wszedł do pokoju i zamknął kopniakiem drzwi, nie spuszczając ze mnie wzroku. Łoskot zamka wydawał się pochodzić z zupełnie innej rzeczywistości.

Odwiązałam pasek płaszcza i zaczęłam rozpinąć guziki.

- Co tu robisz? - spytałam, siląc się na obojętność.

- Sądziłam, że masz o mnie wyrobioną opinię. Antychryst i jawnochrześcijaństwo babilońska w jednej osobie, prawda? Chyba już nigdy nie zamierzałeś ze mną zostać sam na sam? Przynajmniej tak cię zrozu miałam.

Powiedział coś, co nie zabrzmiało zbyt wyraźnie. A potem odchrząknął.

- O tym właśnie chciałem z tobą porozmawiać. Uznałem, że pub to niewystarczająco intymne miejsce na takie rzeczy. Chodzi o to, że taka sytuacja nie może się powtórzyć. - Nogi trzymał w lekkim rozkroku, pozie typowej dla policjantów. Widać dodawało mu to pewności siebie. Czekałam tylko, aż splecie dłonie z tyłu i zacznie się kotłować w tył i naprzód.

Zdjęłam płaszcz i powiesiłam go na krześle, żeby wysechł.

- W porządku - zgodziłam się łaskawie. - Masz kogoś, a mnie na pewno nie zależy na takim układzie. Popatrz na to mieszkanie. Czy mogłabym oczekiwać, że szanowany mężczyzna zechce je ze mną dzielić? A ty jesteś szanowanym mężczyzną o nieposzlakowanej reputacji. Poza tym nie sądzę, żebyśmy mieli wspólne upodobania. Chodzi mi na przykład o wolny czas.

Poruszył się lekko.

- No tak, właściwie masz rację. Myślę, że powinniśmy zapomnieć o tym, co zaszło... i że to w ogóle miało miejsce. Zresztą w końcu nie posunęliśmy się zbyt daleko - jeśli spojrzymy na problem perspektywicznie.

Ta uwaga przypieczętowała jego los. Poza tym zauważyłam, że Hawkins nie robi nawet kroku w stronę drzwi.

- Wejź na chwilę na górę - powiedziałam z uśmiechem. - Chcę ci coś pokazać.

Wszedł za mną posłusznie na drabinę i już po chwili wdrapywał się na antresolę.

- Wiesz, co to jest? - spytałam. - Tu śpię. A teraz przyjrzyjmy się faktom. Czyhałeś na mnie, zabrałeś mnie do pubu, postawiłeś drinka, odwoziłeś do domu i wszedłeś nieproszony do środka tylko po to, żeby mi oświadczyć, że już nie będziemy się całować. A teraz jesteś w mojej sypialni, a twoje intencje i zamiary nie budzą wątpliwości. Każdy sąd mnie uniewinni.

- Uniewinni? A o co miałybyś być oskarżona?

- Posłuchaj - ciągnęłam, zrzucając buty. - Zagramy w pewną grę. Ja zdejmę ubranie, a ty będziesz mnie musiał pocałować w miejsce, które sama ci wskażę. To jak?

Zwykle nie czuję się wcale kobieca i słaba, ale on wziął mnie podstępem. Nie sądziłam, że policjant może wykazać tyle inicjatywy. Pocałował mnie tak mocno, że zobaczyłam gwiazdy w oczach; nie były to jednak te gwiazdy z romantycznych piosenek.

- Rany! Hawkins! - wyjąkałam, uwalniając na chwilę usta. Hawkins trzymał mnie tak mocno za pośladki, że nie mogłam się nawet odchylić do tyłu, żeby na niego popatrzeć. - Jeszcze nie powiedziałam „Start”.

- Zamknij się, ty diabolic - nakazał, a oczy miał naprawdę bardzo niebieskie. - A jeśli chcesz zdjąć ubranie, proszę bardzo, masz pół minuty, bo zaraz potem sam ci je zedrę. No już!

Puścił mnie niechętnie i czekał. Chciałam powiedzieć coś w rodzaju: „ale z ciebie ogier”, ale po namyśle zrezygnowałam. Może powstrzymały mnie przed tym jego bary. Zamiast gadać, zaczęłam rozpinąć dzinsy. Uznałam to za niezły wstęp.

I wcale się nie spieszyłam. Może i byłam trochę pijana, ale nie miałam nic przeciwko temu, żeby zostać odarta z ubrania. Wydawało mi się to bardzo zabawne.

24.

Lou znów płakała. Zdążyłam się tymczasem do tego przyzwyczać. Nie znałam tylko proporcji pomiędzy wylewanymi przez nią łzami ulgi i smutku. Lou bardzo schudła. Ubranie dosłownie na niej wisiało. To przecież nie mogło się stać w ciągu tych kilku dni, kiedy aresztowano Rachel i wypuszczono Dereka. Przez ostatnie dwa tygodnie prawie nie jadła. To do niej nie pasowało. Miałam nadzieję, że odzyska humor i teraz, kiedy najgorsze minęło, kamień spadnie jej z serca. Straciła swoje znaki firmowe - majestatyczność i pompatyczny sposób bycia.

Otarłaś twarz chusteczką, podniosła na mnie wzrok.

- Przepraszam, Sam. Nie powinnam. Ale to częściowo dlatego, że jestem szczęśliwa. Widzę, że znów wchodzi tutaj przez drzwi, wygląda identycznie...

Tego dnia Derek wznowił zajęcia w siłowni. Lou miała rację. Pobyt w areszcie zupełnie na niego nie wpłynął. Był taki jak zawsze - wyluzowany i spokojny.

- Ale kiedy pomyślę o Rachel, wiesz, o niej, tam... niezależnie od tego, co zrobiła. Wolę sobie tego nie wyobrażać.

Nagle wzięła się w garść, wyprostowała plecy.

- Okropność - dodała, kręcąc głową. - Jak ona wyglądała?

- Cudownie, jak zwykle.

- Jest na ciebie wściekła?

Przytaknęłam.

- Jasne, głupie pytanie. Powiedziałaś jej, że tak naprawdę to ja ją wydałam? To nie fair, że wszystko spadło na ciebie.

Wzruszyłam ramionami. Wolałam nie odpowiadać.

- Co za różnica.

- Owszem, jest różnica. Ja zadzwoniłam na policję. Ja im powiedziałam o swetrze. Nie ty. I to ja znalazłam nazwisko i adres tej kobiety.

Popatrzyła mi twardo w oczy. Już całkiem doszła do siebie.

- To nie twoja wina, Sam. Zrobiliśmy, co należało, a kiedy mówię „my” naprawdę mam to na myśli. Jeśli ja muszę sobie z tym poradzić, to ty też. Nie miałyśmy wyboru. Wiesz o tym tak samo dobrze, jak ja.

Niechętnie przytaknęłam. Nie czułam się przez to lepiej, ale nic nie mogło mi pomóc. Usłyszałam stukanie do drzwi, które otworzyły się, zanim ktokolwiek zdołał powiedzieć „proszę”. Cały Derek. Najwyraźniej wszystko wracało do normy.

- Wpadłem zobaczyć, czy wszystko gra. Poza tym chciałem zostać z wami sam na sam i podziękować za wszystko, co dla mnie zrobiłyście. Lou...

Podszedł do niej i mocno przytulił. Wyglądała tak, jakby zamierzała się rozplakać, ale stłumiła łzy.

- Sam...

Chciał mnie pocałować, ale ja tylko wyciągnęłam rękę, którą mocno uścisnął.

- Nie wiem, jak wam dziękować - powtórzył.

- Dziękujesz za coś, czego nie mogłeś zrobić sam. Albo nie chciałeś - prychnęła.

Derek pokręcił głową.

- Naprawdę nie mogłem na nikogo donieść, Lou, zrozum.

- Na szczęście ja nie miałam takich skrupułów - odparła Lou. - Sam też cierpi. Co nie znaczy, że mnie jest łatwo. Lubiłam tę dziewczynę. Powtarzam sobie tylko bez przerwy, że Rachel nie kiwnęłaby nawet palcem, żeby ci pomóc.

Derek miał niepewną minę.

- Nie wiemy tego na pewno - powiedział. - Może po prostu zamierzała zaczekać na rozwój wypadków. Nie mam do niej o to pretensji.

- Co ty na to, Sam? - zwróciła się do mnie Lou.

Odwróciłam w milczeniu wzrok.

- Potraktowałem ją okropnie - Derek był najwyraźniej zażenowany. - Miała prawo być na mnie wściekła. Na Lindę też. Wcale jej o to nie winię.

Na samo wspomnienie imienia Lindy przeszedł mnie dreszcz. Zresztą nawet Derek wymówił je jakoś inaczej. Ostrożnie. Tak, jakby żadne z nas nie chciało głośno wypowiadać imion Rachel i Lindy. Woleliśmy zapomnieć. Aresztowanie Rachel stwarzało szansę na nową przyszłość.

- Mam nadzieję, że teraz zaczniesz się zachowywać o wiele lepiej. Będiesz dobrym chłopcem. Ustatkujesz się wreszcie u boku Janice i wychowasz syna. Zawsze lubiłam Janice, a Devon to skóra zdarta z ojca.

Na sam dźwięk imienia syna Derek od razu się rozjaśnił.

- Pewnie! Zamieszkać z Janice. Może nawet się pobierzemy.

- Świetnie - przytaknęła Lou z aprobatą i znów przybrała mentorską pozę, włączając komputer. - Musicie tu sterczeć? Nie macie nic lepszego do roboty? Jakies zajęcia albo coś innego w tym rodzaju?

Miała wycucie czasu. Oboje chcieliśmy wyjść. Wstałam i ruszyłam do drzwi, a Derek zaraz je za mną zamknął.

- Chodź ze mną do przebieralni, Sam. Muszę ci coś powiedzieć na osobności.

Niechętnie poszłam za nim w obawie, że będzie mówił o Rachel; zapyta na przykład jak wygląda i już zaczynałam się powoli na to przygotowywać. Ale on oparł się o ścianę, po czym skrzyżował nogi w kostkach, a ręce na piersiach w pozie, na którą mógł sobie pozwolić tylko taki przystojniak jak on.

- Mam dla ciebie coś w rodzaju wiadomości od przyjaciela.

Wybałuszyłam oczy.

- O czym tym mówisz?

- Od Briana - Derek uśmiechał się szatańsko. - Wiem, że to jak zabawa chłopców z podwórka... „Słuchaj, podobasz się mojemu kumplowi”... te sprawy. Ale Brian naprawdę cię lubi. I jest strasznie nieśmiały. Więc bardzo cię proszę: kiedy będzie próbował cię zaprosić do pubu, pozwól mu przynajmniej dojść do słowa.

Patrzyłam na niego z niedowierzaniem.

- No i jak? Tak, czy nie?

- Ale... - W dalszym ciągu patrzyłam na niego ze zdziwieniem. - Myślałam, że Brian nie ma do mnie zaufania. Umówił mnie na rozmowę z Fliss, a potem nas śledził. Myślałam, że mnie sprawdza.

- Nie, nie. - Uśmiech Dereka stał się jeszcze bardziej szatański. - Opacznie to wszystko rozumiałaś. Brian podejrzewał Fliss. A ona mogła uznać, że jej zagrażasz i dać po głowie którymś z tych swoich staroci. Pilnował cię. Miał w tym zresztą swój prywatny interes. Zresztą, z tego, co mówił, w dalszym ciągu to robi. To znaczy: obserwuje Fliss. Wie, jak bardzo cię przestraszył tam na targu.

- Boże! Nigdy by mi to nie przyszło do głowy! - Zachichotałam. - Biedna Fliss. Chodzi za nią krok w krok?

- Tak, a ona jest już nieźle na niego wkurzona. Lepiej jednak nie trzymać faceta w niepewności. Po co?

Szukałam słów.

- Spotykam się z kimś - wykrztusiłam z trudem. - I nigdy nie myślałam w ten sposób o Brianie.

- Dobra. Starczy. Gość będzie płakał w poduszkę. - Oderwał się od ściany i zrobił krok w moim kierunku. - A może byśmy skoczyli wieczorem na drinka? Nie chcę bruździć kumplowi, ale skoro on nie ma szans, to...

Stał bardzo blisko mnie. Niespiesznym, łagodnym ruchem uniósł dłoń i pogładził mnie po włosach, uśmiechając się pewnie.

- Nie zapomniałem o tej nocy, Sam - powiedział. - Jesteś naprawdę super. - Przesunął mi palcem po policzku. I znasz reguły gry. To, że jestem z kimś nie znaczy, że nie wolno mi się zabawić od czasu do czasu. Chyba to rozumiesz. I ty chyba też lubisz rozrywki.

Odsunęłam palec Dereka, zanim zdołał się przesunąć poniżej szczęki, z trudem powstrzymując chęć, żeby go boleśnie wykręcić.

- Dzięki Derek. Bardzo mi miło. Ale raz wystarczy. Bez urazy. OK?

Odwróciłam się na pięcie, ale on nie zamierzał tak łatwo zrezygnować. Poczułam na ramionach wielkie łapska Dereka, jego gorący oddech musnął mi ucho.

- Co jest grane, Sam? No już nie mów, że ci się nie podobało. Chodzi o Jan? O nią się nie martw. Wszystko rozumie. Nie będzie się czepiać. No, daj spokój. - Pochylił się, żeby pocałować mnie w szyję. - Wyluzuj.

Wyrwałam się z jego objęć i popatrzyłam mu prosto w oczy.

- Masz za bardzo rozdmuchane ego - warknęłam. - Raz i dosyć. Jasne? Nie cierpię takich gładkich, delikatnych facetów. Lubię ostrych i gotowych na wszystko. I nawet jeżeli masz jaja, to nie jesteś w moim typie.

Nigdy przedtem nie widziałam Dereka w takim stanie. Był wściekły. Moja odprawa dała mu się chyba bardziej we znaki niż areszt.

- Więc jaki ma być ten twój facet? Ostry i gwałtowny?

- Dokładnie - odparłam słodko, po czym wyszłam z przebieralni, trzaskając drzwiami, nawet się za siebie nie oglądając.

Wiosna wreszcie chwyciła Londyn za serce - wystawiłam twarz do słońca, a jego promienie i ciepło stanowiły obietnicę lepszych czasów. Nagle zdałam sobie sprawę, że od czasu, gdy Linda została zamordowana, jestem odpowiedzialna wyłącznie za siebie, a sam Pan Bóg wiedział, jaki to bagaż. Ruszyłam w stronę Camden z lekkim sercem, pogwizdując pod nosem.

W dużej witrynie sklepowej dojrzałam swoje odbicie i postanowiłam przyjrzeć mu się uważniej. Nieźle, jak na laskę gliny. Dopiero po chwili zrozumiałam, że stoję przed Satins, zakładem fryzjerskim, w którym pracowała przyjaciółka Naomi, Cath. W tak ciepły dzień drzwi były otwarte na oścież; zajrzałam do środka. Cath siedziała w recepcji, wyglądała na znudzoną. Włosy miała zwinięte w dredy i jedno z nich obracała właśnie w palcach.

- Cześć - powiedziała. - Co tam u was? - Zniżyła głos. - Słyszałam, że złapali morderczynię. Kochała się w Dereku, nie? Nic dziwnego, że się w to wszystko zaplątała. Mogłam im to od razu powiedzieć.

- *Cherchez l'homme.*

- Co? Jasne. Tak czy inaczej - ciągnęła - przysłaś sobie zrobić farbę. - Chcesz rozjaśnić? Chyba szkoda by było.

Pokręciłam wolno głową.

- Dzięki, ale chyba zostawię wszystko, jak jest.

- Na pewno?

- Tak, zdecydowanie. Im więcej o tym myślę, tym bardziej dochodzę do wniosku, że mamy za dużo blondynek.

Skinęłam jej ręką i wyszłam z zakładu.

Powinam była pójść do domu - miałam masę pracy. Betty i Jim zmienili zdanie. Nie chcieli Rzeczy, chcieli Córkę Rzeczy, w ogromnych rozmiarach, chociaż jeszcze nie całkiem uzgodnili, gdzie ją postawią. Powinam była natychmiast zabrać się do pracy, jeśli chciałam stworzyć coś, co przynajmniej mniej więcej przypominałoby moje projekty. Tak czy inaczej, warto było. Duggie, mój obecny dealer, wynegocjował całkiem przyzwoity kontrakt.

Na chwilę wróciłam myślami do siłowni. Cath trafiła w sedno. Derek był *homme fatale*. Wiedział, że kobiety będą zawsze o niego walczyły. Byłby naprawdę wściekły, gdyby wiedział, z kim przegrał.

Spotkanie z Derekiem przypomniało mi o Hawkinsie. Nie mogłam o nim myśleć bez uśmiechu.

Czy spodobałby mu się opis „ostry i gotowy”? Cóż, chyba nie należy sobie wyrabiać zdania o mężczyźnie na podstawie pierwszego wrażenia.

Ale gdybym miała szansę na drugie, na pewno kazałabym mu najpierw zdjąć płaszcz.